

NOWA Fantastyka

NUMER 5 (212)

MAJ 2000

CENA 5 ZŁ 50 GR



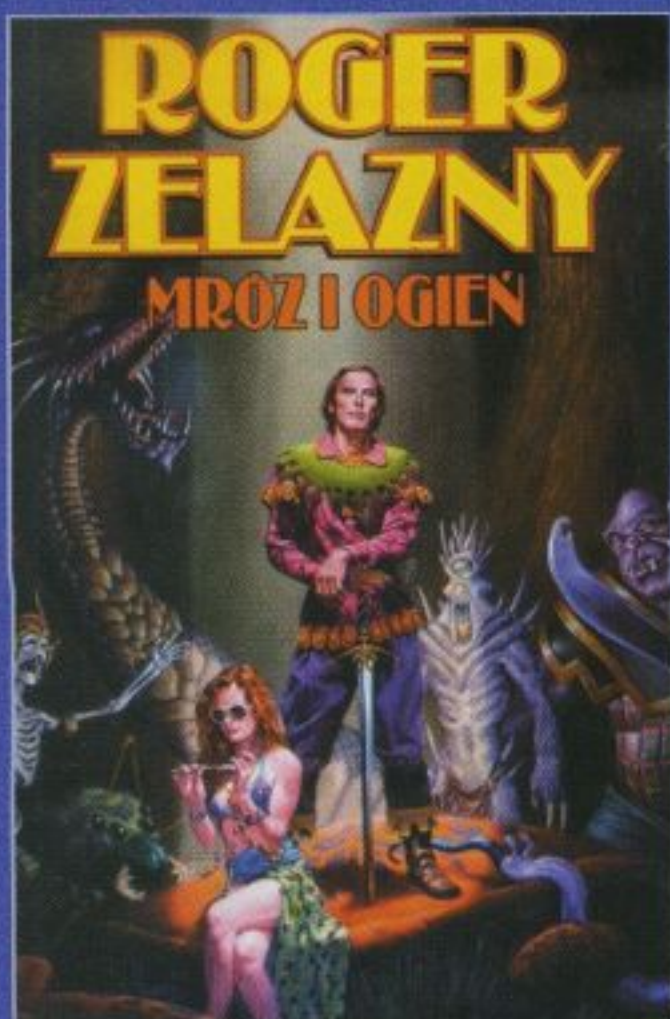
FILM BRIANA DE PALMY

MISJA NA MARSA

Przez stulecia szukaliśmy źródeł życia na Ziemi. Szukaliśmy nie na tej planecie.

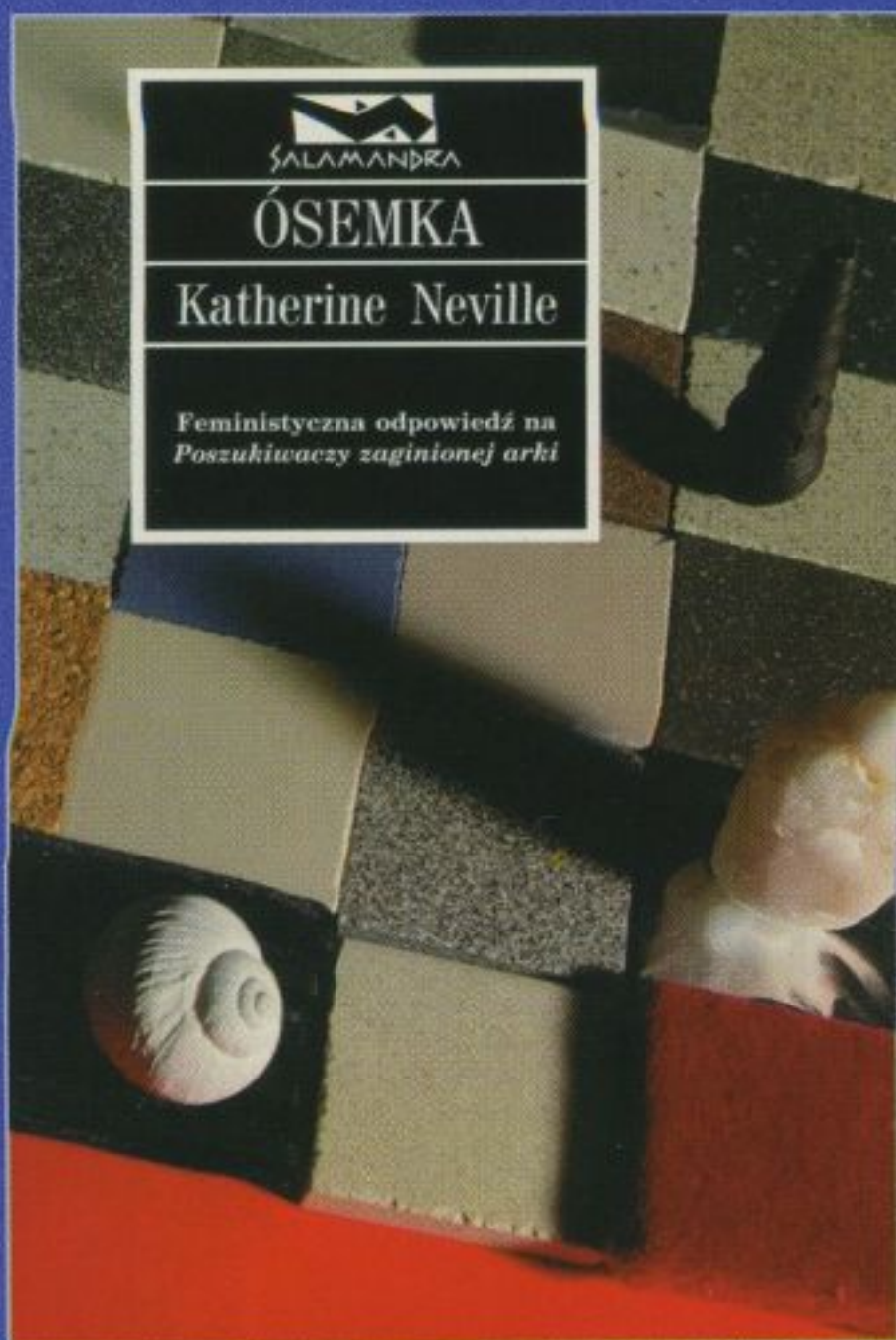
W KINACH OD 5 MAJA

REBIS POLECA



Roger Zelazny MRÓZ I OGIEN

Zbiór rewelacyjnych opowiadań. Zelazny jak zwykle w pozornie banalnej fabule przemycą poważne religijno-mitologiczne treści. Wartość tomu podnoszą dwa wyróżnione nagrodą Nebula opowiadania (24 WIDOKI GÓRY FUDZI oraz WIECZNA ZMARZLINA) oraz interesujące posłowie pisarza.



Katherine Neville ÓSEMKA

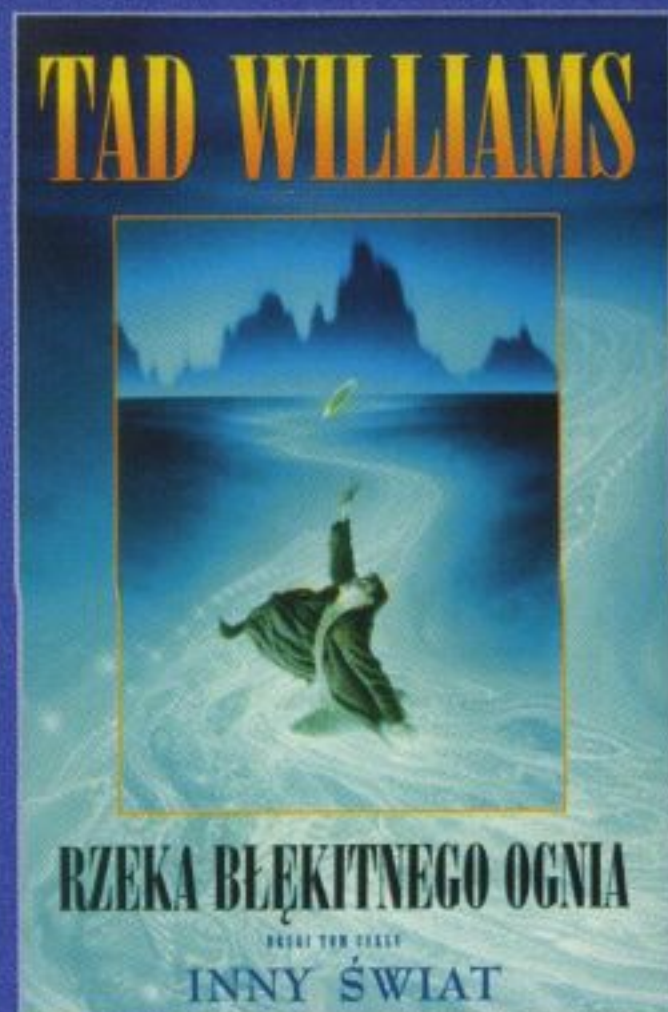
seria z Salamandrą

We Francji trwa rewolucja. Mireille de Remy i jej kuzynka Valentine odbywają nowicjat w opactwie Montglane, którego mury kryją komplet szachów Karola Wielkiego. Jego magiczna moc pozwala przejąć władzę nad światem, toteż kobiety starają się rozproszyć wszystkie figury. W tym fascynującym dziele Neville połączyła powieść współczesną, historyczną, fantastyczną i thriller, całość zaś okrasza szczyptą średniowiecznych tajemnic.

Isaac Asimov MAGIA I ZŁOTO

seria Konstatacje

Ten tom esejów Asimova doskonale uzupełni wydany wcześniej przez REBIS zbiór opowiadań ZŁOTO I MAGIA. Zamieszczono w nim prace teoretyczne dotyczące SF i fantasy. Autor poświęca wiele uwagi warsztatowi, omawia też własny wkład do SF, np. teorię robotyki i psychohistorii, oraz rolę kobiet i religii w tym nurcie literatury.



Tad Williams RZĘKA BŁĘKITNEGO OGNI

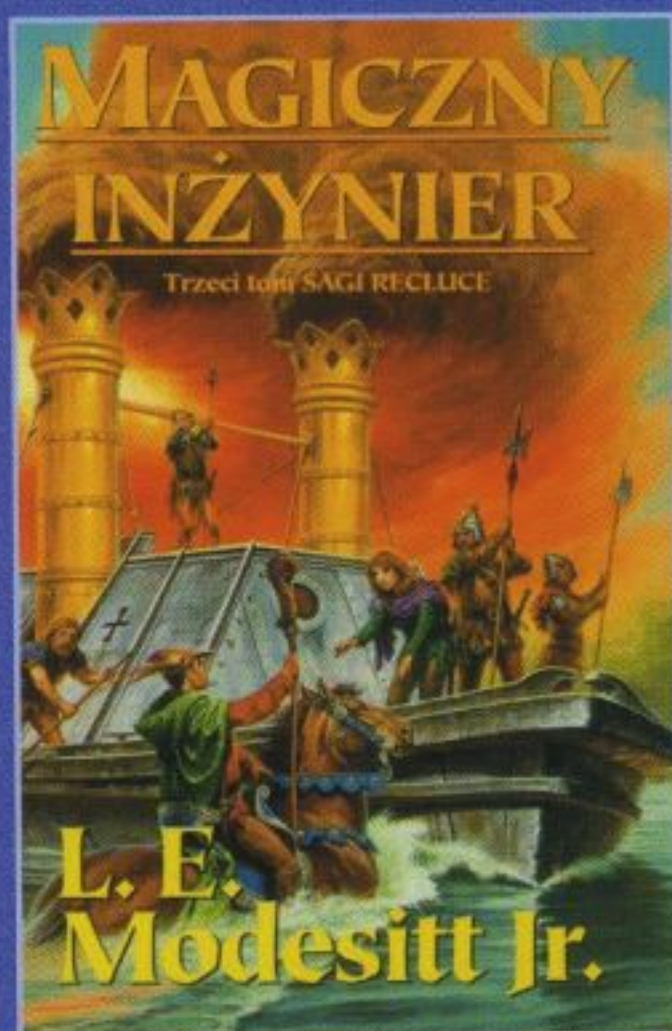
Drugi tom porywającego cyklu
INNY ŚWIAT.

To godne podziwu przedsięwzięcie epickie sprawi przyjemność miłośnikom różnych gatunków literackich: SF, fantasy, powieści sensacyjnej, baśni, a także entuzjastom komputerów, Internetu i rzeczywistości wirtualnej.

Polecamy tom 1 –
MIASTO ZŁOCISTEGO CIENIA.

L. E. Modesitt Jr. MAGICZNY INŻYNIER

Trzeci tom cyklu fantasy o czarnych – i dobrych – magach z wyspy Recluce. W sprzedaży także: MAGIA RECLUCE oraz WIEŻE ZACHODZĄCEGO SŁOŃCA.



Wkrótce w sprzedaży: OGIEŃ W JEGO DŁONIACH – t. IV cyklu IMPERIUM GROZY G. Cooka,

PLACÓWKA BASILISK – t. I cyklu HONOR HARRINGTON D. Webera, PRELUDIUM FUNDACJI – t. I sagi FUNDACJA I. Asimova

Sprzedaż: Dom Wydawniczy REBIS Sp. z o.o., skr. poczt. 107, 60-959 Poznań 2, tel. 867-60-11 w. 272, 273, faks 867-37-74, e-mail: rebis@pol.pl
Prowadzimy też sprzedaż przez Internet: www.rebis.com.pl



DRODZY CZYTELNICY! Dwukrotnie, za sprawą powieści Marcina Wolskiego i wywiadu z Edmundem Wnuk-Lipińskim, wracamy w tym numerze do fenomenu polskiej fantastyki socjologicznej. Schyłek lat siedemdziesiątych, po Czerwcu '76, po pierwszej wizycie w kraju papieża – był to czas wielkiego duchowego ożywienia. Ruszał w Polsce wydawniczy drugi obieg, system trzeszczał, opozycja wychodziła spod ziemi. Także fantaści całkiem stracili już smak do stereotypowej „księżycowej” gry wyobraźni. Nie wiedząc zrazu o sobie – Żwikiewicz, Oramus, Zajdel, który szybko wysunął się na czoło stawki; także Edmund i Marcin – dali, w kilkunastu w sumie powieściach, metaforyczne świadectwo polskiej systemowej opresji.

Po stanie wojennym nurt przycupnął, ale na dobrą sprawę trwa do dziś. Tamta fantastyka badała społeczeństwo podbite, ocenzone, stojące na progu wymarzonej wielkiej przemiany. Fantastów dzisiejszych zajmują duchowe, technologiczne, socjalne konsekwencje eksplozji wolności. Może w ogóle nie ma innej fantastyki, jak socjologiczna?! Nawet ta opowiadająca o Księżycu nigdy *stricte* „księżycową” nie była – traktowała serio i swe kosmiczne lęki oraz marzenia, i perspektywy ery kosmicznej, w owym czasie rysujące się jak najbardziej realnie.

W dziale nauki wielki przebój sprzed lat – komputerowa biblia „Gödel-Escher-Bach” Douglasa R. Hofstadtera. To książka kultowa, choć daje się demaskować jako przejaw komputerowego chciejstwa i zakamuflowanego barwną anegdotyczną retoryką naiwnego mechanizmu. Najlepiej zrobimy traktując ją jako ciekawą intelektualną prowokację. Przedstawialiśmy ją zresztą już w pierwszym numerze „Fantastyki” z października '82. Nie miałem wtedy pojęcia, że Marek Hołyński, który pożyczył nam amerykański egzemplarz dla przełożenia paru fragmentów, był konsultantem autora, który parę lat wcześniej odwiedził go w Warszawie.

Wspominałem o wielkiej przemianie; rzecz trwa od co najmniej dwu dekad. Historia ewidentnie przyspiesza, choć Bóg jeden wie dokąd nas doprowadzi. Oglądając w telewizji sprawozdania z wizyty Jana Pawła II w Ziemi Świętej, miałem wrażenie uczestnictwa w wydarzeniach, które nie zdarzają się często. Raz, dwa – nie na wiek – na tysiąclecie. W kontekście pięknych słów i gestów towarzyszących papieskiej podróży poczułem niechciany niepokój, jako ten, który dwa lata wcześniej pokazał w „NF” konfrontacyjne jakoby opowiadania Regalicy. Ale potem przeczytałem o belgijskim tygodniku, donoszącym o przeprosinach papieża pochodzącego z „kraju, który wymyślił Auschwitz”, i sporą część pozytywnego napięcia diabli wzięli. W takim świecie żyjemy; fantastykę socjologiczną chętną udawać, że jest to świat prostszy, uczciwszy, że wręcz zmierza w fukuyamowski posthistoryczny czas totalnego pojednania – wypadaloby zwyczajnie uznać za dziecinną. Zdziecinnienia zaś Państwu ani sobie nie życzę.

Maciej Parowski

W MAJU: CZY PRZETRWAMY ROK 2030?

Zapraszamy na kolejne spotkanie do Warszawskiego Ośrodka Kultury

SZTUCZNA INTELIGENCJA KONTRA LUDZKOŚĆ!

Panel dyskusyjny poprowadzi Marek Oramus. Zaproszeni goście: Marek Hołyński, Janusz Cyran, Piotr Staniewski.

Wtorek 23 maja 2000 r., godz. 18.00, WOK, Elektoralna 12

NOWA
Fantastyka

NUMER 5 (212) MAJ 2000

OPOWIADANIA ZAGRANICZNE

Richard Bamberg i Del Stone Jr. EFEKT PAMIĘCI **3**
Gene Wolfe CZŁOWIEK Z MŁYNKA DO PIEPRZU **10**

GALERIA

JÜRGEN ZIEWE **17**

POWIEŚĆ

Marcin Wolski KWADRATURA TRÓJKĄTA (1) **25**

Z POLSKIEJ FANTASTYKI

Jacek Sobota WIECZÓR TRZECH PSÓW **44**

FILM I FANTASTYKA

Maciej Parowski 2020: DRAMAT W KOSMOSIE **57**

Aleksander Ogaza TWARZ **58**

Arkadiusz Grzegorzak LAMBERT = WIEDZMIN **60**

CZYTELNICY I „FANTASTYKA”

PLEBISCYT 1999 – WYNIKI! **62**

WŚRÓD FANÓW

Paweł Ostrowski KRAKON 2000 **65**

Wojtek Sedeńko PYRKON 2000 **65**

Anna Woźniak HISTORIA KOBIETĄ
SIĘ TOCZY **65**

SPOTKANIE Z PISARZEM

EDMUND WNUK-LIPIŃSKI **66**

KRYTYKA

RECENZJE **68**

Andrzej Sapkowski LEKSYKON MIŁOŚNIKA FANTASY (7) **75**

NAUKA I SF

Krzysztof Gurba FANTAZJA SZTUCZNEJ INTELIGENCJI **72**

Douglas R. Hofstadter DWUCZĘŚCIOWA INWENCJA **72**

Douglas R. Hofstadter TRZYCZĘŚCIOWA INWENCJA **73**

FELJETONY

Lech Jęczynek DODZWONIĆ SIĘ DO SIERRA LEONE **76**

Marek Hołyński ZRÓB SAM COŚ DLA SIEBIE **77**

Marek Oramus ARKA OTCETENA **78**

Wojtek Sedeńko SAMO FICTION **79**



W N A S T Ę P N Y M N U M E R Z E

JAMES TIPTREE, JR.
MATKA W NIEBIE DIAMENTÓW

POMAGACIE

Na „NF” zawsze czekam z utęsknieniem na początku każdego miesiąca, tym bardziej teraz, gdy już wasze pismo zaprenumerowałam. Prawie zawsze czytam każdy numer od deski do deski (choć muszę przyznać, że nie za bardzo przepadałam za „CyberKulturą” w jej rozdmuchanej wersji). Dzięki waszym recenzjom wiem, jakie książki kupować, by nie żałować potem, że się je kupiło. Całego Sapkowskiego miałam przeczytanego na długo przed modą na niego. Pomagacie mi patrzeć z dystansem na wiele spraw (między innymi na politykę). Większość moich koleżanek czytuje „Elle”, „Twój Styl” i inne badziewia, co ciężko mi zrozumieć. A im trudno jest zrozumieć mnie. Nawet jedna z takich czytających „Elle” zauważywszy na moim ręczniku „NF”, gdy byłam na wakacjach we Włoszech, spytała: „Kto tu takie głupoty czyta?”. No cóż, spojrzałam na nią z wyższością i westchnęłam współczująco. Zaraziłam brata, tatę, mojego chłopaka i najlepszą przyjaciółkę czytaniem fantastyki. Zawsze latają do mnie po „NF” i książki. Mogłabym tak was wychwalać i wychwalać, ale myślę, że chyba znacie waszą wartość (coś chyba w tym zdaniu za dużo jest litery „w”, przyznaję bez bicia).

Monika Kozłowska
(studentka III roku Lingwistyki Stosowanej UW)
Podkowa Leśna

TYLKO WŚCIEKŁOŚĆ

Może ja jestem mało ęteligentny, ale opowiadanie „Mystery Box” Tony’ego Daniela („NF” 2/2000) oraz jego mikropowieść „Ziarno” („NF” 12/1999 i 1/2000) to dla mnie jakieś żenujące bełkoty. Nie mogę tego czytać. Drażni mnie coś takiego. Rozumiem skomplikowaną fabułę, gdy w opowiadaniu jest jakaś magia, moc, serce, szczerść, prawda, prawdziwe uczucie, dziłość (jak w kobiecie).

Gdy coś mnie wciąga, czuję te wszystkie wspomniane wyżej rzeczy, wtedy chcę zrozumieć, zgłębić (mógłbym przeczytać trzy razy), ale ta proza wzbudza we mnie tylko wściekłość (bo nie mam czasu na pierdoły, a „Fantastykę” czytam zawsze od deski do deski).

U Tony’ego nie widzę, nie czuję serca, dzikości, szczerści. Widzę tylko fabułę o jakiejś skomplikowanej konstrukcji, za którą kryje się wielkie nic. Facet chce ukryć (takie odnoszę wrażenie) za tymi skompli-

kowanymi wywodami swoją nędzę i pustkę. Ja go w każdym razie nie rozumiem i nie chcę rozumieć.

Damian Wilk

Dąbrowa Górnicza

PS. Korzystając z okazji pozdrawiam mamę, tatę i Małgosię.

WYMAGANIE

Drobna uwaga dotycząca recenzji „To lubię” Macieja Parowskiego („NF” 2/2000): trzy razy powtarza się ten sam błąd – *sleepy* zamiast *sleepy*, *holow* zamiast *hollow*. Ja wiem, że to drobiazg lub przeoczenie, ale od mojego ulubionego czasopisma wymagam dążenia do perfekcji.

E_milk@

(studentka II roku filologii angielskiej UMCS)
Lublin

TO LUBIĘ

Wyrażam podziw dla recenzji „Jeźdźca bez głowy” (Maciej Parowski – „To lubię”). Film jest rewelacyjny, atmosfera, że toporem rąbać, tylko to szkielek i oko... Zwracam uwagę, że przeżyć bohaterom pozwoliła kombinacja szkielek i oka, podczas gdy każdy z tych „przyrządów” używany osobno był bezużyteczny.

A tak w ogóle, „NF” ma najbardziej wiarygodne recenzje filmowe. I tak trzymać!!!

Michał Wójcicki
Warszawa

CO LUBIĄ

Z zasady nie zajmuję się „polityką” i stoję z boku wszelkich sporów, jednak ostatnie wypowiedzi i komentarze Pana Macieja Parowskiego zmuszają mnie do zabrania głosu. Z całym szacunkiem dla Jego roli w promowaniu polskiej fantastyki, ostatnie ataki na Nagrodę im. Janusza A. Zajdla uważam za niesmaczne. Nie tyle one mnie martwią, gdyż Pan Parowski ma prawo do własnej opinii, ile wywoływanie konfliktów w środowisku czytelników fantastyki. Tak jest – właśnie wywoływanie. W piśmie o ponad 50-tysięcznym nakładzie ogłasza On świętą wojnę przeciwko nie liczącemu nawet tysiąc osób fandomowi, a na dodatek polemizuje głośno z „Fantomem”, który jest produkowany na powielaczu i rozsyłany do stu (!) osób w Polsce!

(...) Nie wnikać w motywy wojny Pana Parowskiego, interesują mnie jej skutki. A są one takie, że ogromna większość czytelników „NF” może nabrać błędnego

przekonania, że w polskiej fantastyce „źle się dzieje”. Nieprawda. Dlatego chcę uspokoić pana Mirosława Zuchollę (list w „NF” 1/2000): niepotrzebnie się niepokoi. Nie ma żadnej wojny, choć może Pan Maciej ma inne zdanie. Zajdla otrzymało opowiadanie bardzo dobre i koniec; akurat w tym roku był to świetny tekst rozrywkowy, podobnie, jak było już wcześniej w przypadku Zajdli dla Sapkowskiego i Białoleckiej. Że Brzezińska krzyknęła sobie: „Niech żyje fantastyka rozrywkowa”? A niech sobie krzyczy, ja też mogę zakrzyknąć: „Niech żyje Andrzej Lepper!” albo: „Niech żyją zapiekanki z pikantnym keczupem!” i nic to nie zmieni, ludzie i tak będą nadal czytali to, co lubią. (...)

Michał Szklarski
(18 lat)
Gdańsk

NUDA

Okladki do „NF” od 10/1999 do 2/2000 są tragiczne. Jak można dopuścić do tego, by pięć kolejnych numerów miało prawie identyczne, równie mało interesujące okładki?! Owszem – jeden monochromatyczny obraz dotyczący filmu może i uszedłby jako oryginalny, ale jestem mocno znudzony, gdy prawie pół roku oglądam czarne kartki z malutkim rysunkiem. Gdzie są utalentowani graficy z ciekawymi wizjami?

Piotr Fita
(student II roku fizyki UW)
Lututów

APEL

Gwoździem styczniowego numeru był zbiór wypowiedzi z debaty na temat „Czy nauka staje się fantastyką?”. (...) Zauważyłem, że u panów Oramusa i Parowskiego występowało z jakiegoś powodu czarnowidztwo co do losów nauki, fantastyki i ludzkości w ogóle. Wśród naukowców zaś występowało zjawisko wręcz odwrotne. Stąd mój apel: Panowie fantaści! Wleście w siebie trochę optymizmu!

Adam Kucharski
(doktorant na UŁ, 25 lat)
Łódź

PODZIĘKOWANIE

Proszę podziękować panu Andrzejowi Sapkowskiemu za „Leksykon miłośnika fantasy” i nie gasnące poczucie humoru.

Patrycja
Łódź

S-KA z O.O.
Fantastyka

Adres redakcji:
00-640 Warszawa
ul. Mokotowska 5 m. 6

Telefony: 825-34-75, 825-50-51
Faks 825-20-89

http://nowaFantastyka.sgh.waw.pl

Redaguje „Fantastyka” sp. z o.o.: Andrzej Brzezicki (dział graficzny), Wiesława Jarych (korekta), Arkadiusz Nakoniecznik (dział zagraniczny), Marek Oramus (dział publicystyki), Teresa Pajdzińska (korekta), Maciej Parowski (dział literatury polskiej, redaktor naczelny), Krzysztof Szolginia (sekretarz redakcji).

Stali współpracownicy: Bartek Chaciński, Michał W. Dagajew, Jacek Dukaj, Marek Holyński, Jacek Inglot, Lech Jęczmyk, Andrzej W. Kaczorowski, Andrzej Kołodyński, Krzysztof Lipka, Dorota Malinowska, Dominika Materska, Andrzej Sapkowski, Wojtek Sedeńko, Jacek Sobota oraz Agregator, Aligator, Anihilator, Karburator, Kunktator, Negocjator, Predator, Reanimator i Terminator.

Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych, w publikowanych tekstach zastrzega sobie prawo dokonywania skrótów. Za treść reklam nie odpowiadamy.

Wydawca:

Prószyński i S-ka
Spółka Akcyjna

Adres: 02-651 Warszawa, ul. Garazowa 7.
Tel. 607-77-00, faks 849-73-17.

Łamanie: Piotr Dudek.

Druk i oprawa:
Winkowski Sp. z o.o., ul. Okrzei 5, Piła;
„Quantum” Sp. z o.o.,
ul. Raszyńska 15 m. 50, Warszawa.

Nakład: 55 400 egz.



PL ISSN 0867-132X

© Copyright by „Fantastyka” sp. z o.o., Warszawa 1999

INDEKS 358398



Julia Kowalska

RICHARD BAMBERG • DEL STONE JR.

(Amber's Glow)

efekt pamięci

Zeisler przykucnął za kamiennym ogrodzeniem i czekał, aż Lód – chłodna obecność rozsądku – ostudzi jego gniew.

Udało mu się cało przekraść przez cały teren od miejsca, gdzie go zrzucili. Dotarł aż tutaj, unikając patroli i wartowników. Gdy koncepcja zemsty zaczęła nabierać realnych kształtów, Mózg zaaplikował strumień Lodu, by powstrzymać jego gniew od wrzenia przez miesiące przygotowań do tej... wizyty.

Jeszcze nie czas. Jeszcze nie.

Tym razem jednak zostanie opcję nałożenia. Technicy Prawa, którzy sporządzili plan tej... wizyty, obiecali mu to.

Sekundy mijały tykając, gdy ustalał wzorce tras patroli żołnierzy Kreda. Kreda, czyli Wojownicy Boga. Wymyślna nazwa dla najnowszej i cieszącej się jak najgorszą sławą organizacji terrorystycznej, nazwa niesłyszana od czasu zeszłorocznej masakry na Donovanie. Według intelowskich informacji przywódca terrorystów, zarozumiały morderca nazywający siebie Vengarą, umieścił swoją kwaterę główną w budynku po drugiej stronie ulicy. Zeisler miał nadzieję, że Vengara jest w domu, pragnął spotkać się ponownie z tym człowiekiem.

Skulił się za ogrodzeniem. Podczerwone i optyczne atrapy na jego kombinezonie rozbłysły, gdy kolejny pojazd patrolowy Kreda przesunął się w milczeniu koło niego, wypatrując źródeł ciepła czujnikami podczerwieni. Lokalna policja, która osłaniała Kreda, rozsyłała groźniejsze patrole niż terroryści, ale informacje, jakie otrzymał od Intela, zanim tu wylądował, dotyczyły obu typów.

Krażownik przesunął się wolno nad szerokim bulwarem i zniknął w bocznej uliczce. Zeisler zapisał czas. Będzie miał dwadzieścia minut do pojawienia się na tej pozycji kolejnego patrolu. Wystawił głowę nad mur, obejrzał budynek po drugiej stronie ulicy i przykucnął z powrotem.

Dwadzieścia minut. Więcej niż potrzeba.

Multispektralne Oczy w jego hełmie oznaczyły sygnaturę promieniowania otaczającego budynek i przekazały ją do wewnętrznego mikroukładowego Mózgu, który dokonał szybkiej, skrótowej analizy.

Budynek należał do najstarszych na planecie. Intel opisał go jako siedzibę pierwszego kolonialnego gubernatora planety, zbudowaną osiemdziesiąt pięć lat temu. Dwupiętrowe mury pokrywał miejscowy granit, w którym błyszczały cienkie żyłki złota oraz plamy wyświetlane w diagnostyce na niebiesko – materiały izotopowe. Kamienną ścianę wieńczyły jasnoczerwone linie, mające utrzymać ciekawskich na odległość: ogrodzenie z ukierunkowanej energii, dodające kolejne dwa metry do imponującej wysokości ścian. Czujniki Zeislera wykryły też dobrze ukryte pole elektryczne wytwarzane przez wykrywacze działające na podczerwień i ultradźwięki. Przy jedynym wejściu, za ekranem ochronnym, stał pojedynczy ludzki wartownik.

Zeisler wsunął dłoń do kieszeni kamizelki i wyciągnął hologram, który nosił przy sobie przez ostatnie dziesięć miesięcy. Słaby obraz jaśniał wyraźnie w jego Oczach... mała dziewczynka, jego córka Amber w dniu swoich jedenastych urodzin. Rude włosy kontrastowały ostro z zielonymi oczami, oczami jej matki... oczami Kaerie.

Zalały go wspomnienia; fala emocji wysłała do krwioobiegu dodatkową dawkę endokryn. Mózg uderzył w dzwon alarmowy i usiłował powstrzymać ten gwałtowny atak, ale Zeisler zlekceważył zaprogramowane rozkazy. Pragnął pamiętać. Pamiętać o przyczynie tej misji.

Uważał, że powinien przypomnieć sobie swoją doskonale ukształtowaną nienawiść.

Kaerie zwykła mawiać, że Zeisler jest typowym Komandosem Prawa – ma serce ze stali. Z niewyjaśnionych nigdy dla Zeislera przyczyn Kaerie kochała go. W końcu wyszła za niego za męża. Gdy urodziła się Amber, Zeisler zmienił się; była to drobna zmiana widoczna jedynie dla tych, którzy byli w stanie spojrzeć ponad stalowymi nitami dyscypliny wojskowej i nieustępliwości. W głębi bryły chłodnego metalu tworzącej jego serce zapłonęła iskierka ognia.

Amber nie знаła matki: Kaerie zginęła w katastrofie awionetki, gdy dziewczynka miała trzy miesiące. Zeislера nie było stać na ubezpieczenie klonowe z żołnierskiej pensji. Więc został sam z Amber...

Do zeszłego roku.

W przyszłym tygodniu Amber skończyłaby dwanaście lat.

Obowiązki służbowe często trzymały Zeislера z dala od domu przez tygodnie, a czasem nawet miesiące, a zatem zawsze tęsknili do wspólnie spędzanego czasu. Po ostatniej dalekiej misji zabrał Amber na długie wakacje.

Donovan jesienią. Wspaniała pora roku w nadających się do zamieszkania rejonach tej odległej planety. Podobnie jak na starej Ziemi, jesień na północnej półkuli Donovanu była pełna ciepłych kolorów przyrody. W miarę jak planeta wędrowała po swojej ekscentrycznej orbicie, straszliwe upały odchodziły powoli w zapomnienie. Przez kilka miesięcy, do nadejścia długiej, mroźnej zimy, dni były przyjemne.

Wzięli ze sobą sprzęt biwakowy i pojechali do jednego z nowych parków planetarnych.

Nie mogli wiedzieć, że inni uznali właśnie Donovan za ulubioną planetę urlopową wojskowych.

Wspomnienia kłębiły się jak chmury, które wypuściły właśnie kłujące igiełki deszczu. Wdarły się w myśli Zeislера, rozdierając świeże rany. Ból powrócił, jak za każdym razem, gdy cofał się pamięcią do tych wydarzeń. Lód zablokował sporą część bólu, chemiczny chłód zagłuszał cierpienie.

Teraz jednak ból zdawał się świeższy. W kącie oka niepokojąco zakręciła się łza, ale Zeisler zacisnął zęby i wciągnął głęboko powietrze. Nie będzie płakał. Nie. Nie będzie płakał.

W górnej części ochronnej szybki kasku zamigotał komunikat: OPCJA NAŁOŻENIA URUCHOMIONA.

Emocje dochodziły do wrzenia.

Pokryte elastalą palce Zeislера zacisnęły się, prawie miażdżąc hologram. Zmusił dłoń do otwarcia się i podniósł opancerzone palce ku oczom. Wciąż nie mógł wyjść z podziwu, jak zdołali odtworzyć jego ręce. Z resztą też poszło im nie najgorzej.

Spojrzał raz jeszcze na hologram i wsunął go z powrotem do kieszeni.

Naprawdę nie najgorzej.

Wyjrzał nad ogrodzenie. W polu widzenia pojedyncze krople deszczu opadały powoli ku ziemi. Uderzając o bruk rozpryskiwały niewielkie pióropusze pyłu. Zapach nie był nieprzyjemny i w innym czasie i miejscu Zeisler mógłby zatrzymać się na chwilę, by rozkoszować się prostym cudem deszczu. Wszystko jednak uległo zmianie, jego zaś wypełniała jedna, nie dająca wytchnienia potrzeba.

Wartownik. Temperatura jego ciała była ekranowana w strategicznych miejscach, co wskazywało na jakieś uzbro-

jenie ochronne. Mózg Zeislera przeanalizował prawidłowości i wysunął hipotezę, że jest to jomal, nieco starsza wersja jego własnego uzbrojenia. Ciepło i wzory obwodów elektrycznych sugerowały, iż mężczyzna ten nie był elektrycznie wzmocniony. Jego uzbrojenie stanowił przewieszony przez ramię lekki karabin półautomatyczny.

Zeisler wyciągnął z kabury pistolet Assassin Special i uniósł go. Krótka wiązka podczerwieni z hełmu naładowała broń szczegółami niezbędnymi do zabicia. Sprężony dwutlenek węgla wystrzelił pocisk neuronowy z prędkością zbliżoną do prędkości dźwięku – będzie to cichy strzał, ale dla bezpieczeństwa Zeisler ustawił temperaturę pocisku tak, by zgadzała się z ciepłotą otoczenia.

Wstając, wycelował broń i odbezpieczył ją kolejną wiązką z hełmu. Jego Oczy widziały, jak pocisk sunie spokojnie ku celowi. Wsunął broń do kabury i przeskoczył przez ogrodzenie, zanim jeszcze pocisk wbił się w szyję wartownika.

Wartownik wciąż patrzył na Zeislera, gdy ten się do niego zbliżał. Zeisler zatrzymał się i wyciągnął pocisk, którego obwody w chwili zetknięcia się z ciałem paraliżowały wszystkie mięśnie ciała ofiary, nawet kontrolowane przez wegetatywny układ nerwowy. Wartownik nie był jeszcze martwy, ale za minutę czy dwie będzie. Przy jego pasie wisały magnetyczne klucze. Zeisler zabrał je i wyciągnął pasujący do zamka w głównej bramie.

Sekundę później pokonał zewnętrzne zabezpieczenia. Obrzucił wzrokiem porośniętą trawą i ozdobioną krzewami orchidei dziedziniec i wypatrzył czujniki strzegące wewnętrznej przestrzeni. Pojedynczy skaner optyczny pilnował głównej ścieżki.

Podbiegł do wejścia. Kolejny z kluczy należących do umierającego wartownika otworzył monolityczne drzwi. Zeisler zauważył, że ich otwarcie uruchomiło sygnał elektryczny, coś w rodzaju dzwonka. Nawet jeśli ochrona nie zorientowała się jeszcze, że wartownik nie żyje, właśnie odezwał się alarm.

No to co? Tak czy siak nadszedł czas, by tu nieco zamieścić.

Zdarzyło się to w autobusie wycieczkowym trzeciego dnia ich wakacji. Ostatniego dnia, jak się okazało.

Rozdzierająca metal eksplozja wstrząsnęła autobusem, spychając go do rowu biegnącego wzdłuż drogi. Automatyczne zabezpieczenia zatrzymały pasażerów w fotelach, chroniąc przed poważnymi obrażeniami większość z nich – z wyjątkiem siedzących w pobliżu kierowcy. Mina wyrwała dziurę w miejscu dwóch pierwszych rzędów siedzeń, zabijając kierowcę i czterech pasażerów.

Czterech szczęśliwych pasażerów.

Zeisler wyciągnął nóż i przeciął krępujące go pasy bezpieczeństwa. Chcąc przede wszystkim upewnić się, że Amber jest bezpieczna, przedarł się przez gmatwaninę ciał i skręco-

nego metalu ku drzwiom, gdzie wpadł na wdrapującego się do wnętrza mężczyznę z karabinem. Gdy broń tamtego uniosła się ku jego twarzy, Zeisler nie myśląc uderzył nożem, który wszedł w oko napastnika jak w galaretę.

Chwycił broń martwego mężczyzny i skierował ją na jego towarzyszy, trzymając ich na odległość i jednocześnie usiłując uruchomić radio. Prawie mu się udało.

Przez drzwi autobusu wpadł granat. I wszystko znikło w ogłuszającym huku i ogniu.

Zeisler wyciągnął granat EMP z osłony, odbezpieczył go i rzucił na dziedziniec.

Wsunął się do domu i rozejrzał po holu. Wnętrza strzegło kilka czujników. Uruchomił laser w hełmie i oślepił wszystkie urządzenia. Wyciągnął miotacz i w pełne dwie sekundy pokonał długie schody. Ochrona wreszcie zaczęła działać. Rozległ się ryk syreny, ale chwilę później przerwał go głuchy grzmot eksplodującego granatu.

Zeisler biegł korytarzem, otwierając mijane drzwi. Pierwszy mężczyzna ledwie się przebudził; Zeisler wysłał mu szybką śmierć i pobiegł do następnych drzwi. Wewnątrz siedzieli na łóżku mężczyzna i kobieta, której obrazu brakowało w danych Mózgu. Zastanawiał się przez ćwierć sekundy, po czym zastrzelił oboje.

W dziesięć sekund pokonał cały korytarz, zabijając każdego, kogo napotkał. Na końcu korytarza ozdobne podwójne drzwi otwały się pod naciskiem jego ręki, odsłaniając główną sypialnię.

Nie było tam nikogo.

Ale łóżko nosiło ślady używania. Oczy dostrzegły ciepłą sygnaturę pojedynczego ciała. Wykryły ślady prowadzące od łóżka do łazienki.

Zeisler udał się za nimi.

Wspomnienia przesłoniły wizję. Wspomnienia wybuchu i odzyskanej przytomności twarzą w twarz z obcym człowiekiem. Nie rozpoznawał tej twarzy, jeszcze nie, ale brak jakichkolwiek dystynkcji przekonał Zeislera, że ma do czynienia z terrorystą. Mężczyzna trzymał w ręce portfel i hologram.

– Dobrze, że się pan wreszcie przebudził, majorze Zeisler – odezwał się mężczyzna. Miał dziwny akcent, którego Zeisler nie potrafił określić. – Obawiałem się, że nie będzie pan mógł uczestniczyć w zaplanowanej dla pana rozrywce. – Roześmiał się, jakby rozbawił go jakiś zrozumiały tylko dla niego żart.

Zeisler był wciąż zamroczony i kręciło mu się w głowie. Ból zdawał się wypływać z każdej komórki jego ciała. Ręce miał skrępowane na plecach, a szorstka trawa ocierała mu skórę, gdy szarpał się w więzach. Zerknął na otoczenie, usiłując zorientować się w położeniu. Uznał, że znajdują się nadal w parku. Nad głowami konary wielkiego drzewa zasłaniały ich przed południowym słońcem.

– Nazywam się Vengara – powiedział mężczyzna wpatrując się wciąż w twarz Zeislera.

– I co z tego? – wycharczał Zeisler.

Vengara bawił się nożem.

– Chcę, żebyś wiedział, komu dziękować, gdy skończymy tu dzisiaj, tępy wojskowy dupku. Chcę, żeby twoje ostatnie wspomnienia były pełne nienawiści do mnie, tak jak moje wspomnienia pełne są nienawiści do podobnych tobie. Twoi ludzie zmasakrowali całą moją wioskę, majorze Zeisler. Na Thenacie. Pamiętasz? Twoi ludzie nazwali to akcją policyjną. Moi – ludobójstwem.

RICHARD BAMBERG i DEL STONE JR.

Richard Bamberg jest weteranem dwóch wojen oraz autorem czterech powieści i kilkudziesięciu opowiadań. Jest również szczęśliwym ojcem, inżynierem i marzycielem. Mieszka z rodziną w Wirginii.

Del Stone Jr. – dziennikarz, pisarz i poeta – jest mieszkańcem Florydy. Utwory jego autorstwa wielokrotnie docierały do półfinałów zmagania o Nebulę oraz o nagrodę Writers of the Future. Tworzy nie tylko fantastykę, ale również horrory i literaturę głównego nurtu.

Obaj autorzy debiutują na łamach „Nowej Fantastyki”.

(anak)



Julia Kowalska

Tak. Zeisler pamiętał.

– Ładna mi „wioska”! – syknął z wściekłością. – Thenata była obozem treningowym dla tchórzliwych wymoczków, którzy wysadzają uwięzi kosmiczne i wrzucają mikrofagi do zbiorników wodnych w koloniach. Ale o to moglibyśmy się spierać do końca życia. Zabijesz mnie, a więc do dzieła.

Mężczyzna roześmiał się nagłym, pozbawionym radości śmiechem.

– Nie, jeszcze nie. Najpierw dostaniesz ode mnie prezent. – Skinął na kogoś znajdującego się poza polem widzenia Zeislera i po chwili pojawiło się dwóch mężczyzn. Trzymali między sobą Amber.

– Tatusiu! – krzyknęła. – Żyjesz! Myślałam...

Zeisler poczuł lodowaty dreszcz strachu. Walczył, żeby utrzymać emocje na uwierzy. Usiłował powiedzieć coś uspokajającego, ale głos mu się załamał. Amber płakała. Miała potargane włosy, a z małych zadrapań spływała jej na ramiona krew.

– Nie chcieliśmy, żebyś umierał samotnie. – Vengara odsunął się na krok od Zeislera.

Uniósł nóż, nie zważając na nieartykułowane krzyki Zeislera, i rozciął ubranie Amber. Jego ludzie trzymali ją, Vengara zaś zdarł z niej odzienie.

Zeisler przetoczył się na kolana i spróbował podnieść.

Vengara był wciąż odwrócony do niego tyłem, ale pozostali dostrzegli jego ruchy, puścili dziewczynkę i sięgnęli po broń.

Zeisler dał trzy susy i uderzył przywódcę terrorystów stopą w plecy. Trafił Vengarę powyżej nerek, popchnął go na stojącego bliżej jednego z jego ludzi, przewracając obu na ziemię.

– Uciekaj, Amber! – wrzasnął, kopiąc trzeciego terrorystę w podbródek. Kość pękła i mężczyzna runął na trawę.

Amber zawahała się tylko przez moment, po czym obróciła się i pobiegła ku najgęstszej części lasu.

Zeisler obrócił się, usiłując jednocześnie oswobodzić ręce z więzów. Vengara zdążył już wstać. Jego bladą twarz wykrzywiały grymas bezlitosnej złości.

Zeisler zrobił krok do przodu, okręcił się na jednej nodze i wymierzył kopniaka w lewe kolano Vengary.

Cios chybił celu.

Vengara zrobił unik i uderzył go wierzchem dłoni w skroń.

Zeisler zatoczył się. Na moment go zamroczyło. Nim zdążył dojść do siebie, Vengara uderzył ponownie. Szybki jak błyskawica cios wylądował na żebrach Zeislera, zginając go w pół.

Ten człowiek był szybki, niewiarygodnie szybki.

Zeisler z trudnością się wyprostował. Próbował uderzyć Vengarę. Ręce trafiły jednak w pustkę, a kolejny cios wylądował na jego potylicy. Opadł na kolana. Zbierając się w sobie, podniósł się znów.

Zanim zdążył wykonać obrót, tuż przed nim pojawił się zamazany obraz Vengary.

Wzmocniony.

Włókna nerwowe tego człowieka były pogrubione, wzmocnione, żeby obniżyć czas reakcji do ułamków sekundy.

– O Boże, nie dam rady wygrać – szepnął w rozpacz Zeisler, ale mimo to rzucił się na Vengarę. Terrorysta odsunął się na bok – dla niewspomaganych oczu jego ruchy były nie naturalnie szybkie – i wymierzył kolejny miazdzący cios w potylicę.

Coś trzasnęło i Zeislera ogarnęła ciemność.

Bogato urządzona łazienka była równie pusta, jak sypialnia.

Zeisler zauważył w pokoju drugie drzwi. Otworzył je kopniakiem i rzucił się w bok, gdy tuż koło niego rozprysnął się pocisk.

Odpiął od pasa kolejny granat EMP, nastawił na ćwierć sekundy i rzucił za drzwi.

Gdy wpadł na schody, za jego plecami rozległa się eksplozja i poleciał gruz.

Poniżej na schodach było słychać tupot stóp. Przeskakiwał po dwa stopnie i dotarł na dół, gdy Vengara zmierzał do wyjścia. Zeisler uniósł miotacz, ustawił celownik na prawe kolano tamtego i wypalił. Kula wystrzeliła z prędkością dwóch kilometrów na sekundę i uderzyła w chwili, gdy Vengara przenosił ciężar właśnie na tę nogę. Kolano rozprysnęło się.

Wykonując szybki obrót, Vengara zdążył wyciągnąć broń, zanim upadł, ale wzrok Zeislera namierzył wcześniej dłoń z pistoletem.

Następna kula roztrzaskała nadgarstek Vengary. Nim jego ciało uderzyło o ziemię, dwa kolejne pociski roztrzaskały drugie kolano i drugi nadgarstek. Runął głową do przodu na moką trawę i przejechał po niej dobry metr.

Vengara gwałtownie zamrugał, żeby strząsnąć krople deszczu z powiek. Wyraz jego twarzy oscylował między

gniewem a strachem. Zeisler zauważył brak objawów bólu, ale spodziewał się tego. Większość wzmocnionych zabójców, podobnie jak ich wojskowi odpowiednicy, wybierała obwody tłumiące ból. Postąpił kolejny krok w kierunku Vengary, ale w jego głowie rozległ się sygnał alarmowy. Czujniki Mózgu wykryły w pobliżu sygnatury elektryczne i podczerwone.

Zeisler obrócił się z niewiarygodną prędkością ku ubranemu w pelerynę wartownikowi stojącemu za drzwiami. Lufa miotacza uniosła się i w tej samej chwili ręka, w której Zeisler trzymał broń, znalazła się w pułapce niedźwiedziego uścisku. Pancerz z elastali wygiął się do środka, a kości zatrzęszczały, gdy masywna dłoń automatoida zacisnęła się na dłoni Zeislera.

Fala bólu przebiegła przez jego wzmocnione nerwy, obciążając tłumiki bólu ponad ich zdolność zmniejszania cierpienia.

Opancerzony automatoid w milczeniu uniósł Zeislera w powietrze. Vengara zaczął się śmiać.

Zeisler odruchowo sięgnął po przypiętego do biodra dziewięciocalowego stalowego Randalla. Automatoid podążył za tym ruchem, usiłując chwycić jego wolną rękę.

Zeisler sięgnął nożem pod trzymające go ramię maszyny i wbił ostrze w szyję automatoida, między warstwy pancerza, przecinając znajdującą się wewnątrz główną magistralę komputera. Maszyna natychmiast zamarła; serwomechanizmy obracały się bez celu, gdy procesor przeszedł w stan spoczynku.

Zeisler usiłował wyswobodzić uwięzioną rękę, ale uścisk automatoida był zbyt silny. Z wściekłością dostrzegł, że Vengara czołga się ku awionetce stojącej na tyłach budynku.

Zeisler chwycił swojego Randalla za rękojeść i wyciągnął ostrze. Wbił je w nadgarstek automatoida. Wyciągnął i znowu uderzył. Ostrze zagłębiało się, ale niewystarczająco. Spojrzał znów na Vengarę i zawył z rozpacz.

Drań nawiewał. Dotrze do awionetki, zanim Zeisler zdoła przeciąć gruby pancerz maszyny.

Ocknął się na niewielkiej polance. Kark ocierała mu szorstka kora. Był przywiązany do drzewa. Na szyi czuł cienki drut, tors zaś okręcono kilka razy grubym sznurem. Ręce, wykręcone do tyłu, obejmowały pień; w przeguby wpijał mu się drut, którym były związane.

Usłyszał głos córki.

Dwaj mężczyźni ciągnęli ją z lasu. Jej ciało było poranione i krwawiło.

– Amber... – usiłował krzyczeć Zeisler, ale z jego ust wydobył się tylko cichy jęk.

Rzucili ją na ziemię naprzeciwko Zeislera. Ręce i nogi przywiązali do drzew; leżała rozkrzyżowana. Przez krótki moment, w którym zamarło jego serce, myślał, że zamierza ją zgwałcić. Oni jednak odeszli na bok.

Vengara i jeszcze jeden mężczyzna – nie, to była kobieta o obciętych bardzo krótko włosach i nienaturalnie okrutnym wyrazie twarzy – stanęli nad dziewczynką. Uśmiechając się do Zeislera, Vengara wziął od kobiety urządzenie, mały nadajnik ultradźwiękowy, i postawił je na ziemi koło Amber. Zeisler nic nie słyszał, ale migające światełko było wystarczającą oznaką, że urządzenie nadaje jakiś sygnał.

– To wystarczy. – Vengara obrócił się do Zeislera i zachichotał. – Co za szkoda, że nie możemy zostać i popatrzeć, ale twoi koledzy komandosi mogą się tu lada chwila zjawić...

choć nie wcześniej niż nacieszysz się naszym podarkiem. Mam taką nadzieję.

Vengara dał pozostałym znak do wycofania się. Potem nachylił się tak blisko, że Zeisler poczuł ostry zapach jego oddechu, i szepnął:

– Czytałeś, jak sądzę, informacje egzobiologiczne w broszurze dla odwiedzających tę planetę. Wiesz zapewne o niewielkim insekcie zwanym taratellą...

Amber jęknęła cicho i zagryzła wargi.

– Nie? – Vengara zaśmiał się cicho. – Och, co za szkoda. Niech no ci wytłumaczę. – Uśmiechnął się do Zeislera i przykucnął koło niego. – Właściwie ta taratella nie jest owadem. Myślę, że można by ją określić jako coś w rodzaju skorupiaka czy jamochłona... to trochę jak lądowy krab z mackami, trochę jak meduza. Ma wyjątkowy sposób rozmnażania, choć trudno byłoby go nazwać zabawnym dla samicy, ale na tym właśnie polega całe piękno – powiedział, wskazując na urządzenie. – Samica taratelli, widzisz, przyzywa samca wysyłając ultradźwiękowy sygnał, podobny do nadawanego przez ten transponder, który dałem twojej córce. Samiec kopuluje z samicą kładąc macki na jej genitaliach i wstrzykując plemniki bezpośrednio do jej ciała. Te plemniki wydzielają związek chemiczny, który jeszcze nie został zanalizowany przez miejscowych egzobiologów, ale efekty jego działania są doskonale znane. Plazmolizuje on natychmiast żywą tkankę, sprawiając, że ciało samicy twardnieje, tworząc nie dającą się przebić skorupę wokół jaj, które ona nosi w sobie. Umiera. Żeby jej młode mogły żyć.

Zeisler szarpnął się w więzach i poczuł nowy ból, gdy drut przeciął mu skórę. Zaciśnął mocno oczy, niezdolny patrzeć na własną córkę.

– Ejże, ejże. Nie możemy sobie na to pozwolić – zbeształ go Vengara.

Palce szarpnęły jego powieki. Zeisler spojrzał Vengarze w oczy.

W polu jego widzenia pojawiło się ostrze noża. Poczuł krótki, ostry ból i Vengara trzymał w palcach jego powiekę. Roześmiał się i odrzucił krwawy strzęp. Czerwona fala zalała oko Zeislera, a Vengara sięgnął i odciął jego drugą powiekę.

– Thenata. Oko za oko, pieprzony draniu – syknął Vengara.

I odszedł.

Zeisler stłumił łkanie. Gdy Amber zaczęła zawodzić: „Tatusiu, co oni ci zrobili...”, jego rozpacz ustąpiła przerażeniu.

– Nie martw się o mnie – wykrztusił. Gdy przełknął ślinę, żołądek skurczył mu się w ciasny węzeł strachu.

– Jak myślisz, Amber, zdołasz się uwolnić?

– Nie wiem. Boli, gdy ruszam się w tych drutach.

– Więc zaczekaj chwilkę, dziecino. Poszli sobie i nie sądzę, żeby zamierzali wracać.

Amber zaczęła płakać.

– Jesteś ranny, tato.

Zeisler odkasznął, a krew zalała mu usta. Usiłował wyzwolić się z drutu, ale ten, gdy raz wbił się w ciało, drażył coraz głębiej.

I wtedy dostrzegł jakiś ruch.

Nie zorientował się, co to było. Coś poruszyło się w niskich krzakach. Zeisler usłyszał szelest ocierających się o siebie liści. Wszędzie dookoła leśne poszycie jakby ożyło.

Coś wskoczyło na polankę i zatrzymało się, zanim zanurkowało w kępę zielska kilka metrów od nich. Zeisler zdążył

przyjrzeć się stworzeniu. Miało rozmiary mniej więcej ziemskiej langusty i dreptało na wielu parach odnóży. Wzdłuż odwłoka wyrastał wymyślny wachlarz wijących się macek.

Szybkim truchtem przemknęło ku jeszcze bliższej kępie zielska.

Zeislera ponownie ogarnęła panika. Nie czytał informacji egzobiologicznych. Ale widok tego stwora i sadystyczna radość Vengary sprawiały, że nabrał przekonania, iż drań mówił prawdę o taratellach.

Które właśnie zbliżały się do jego córki.

Vengara wymykał mu się.

Cała złość Zeislera wezbrała we wściekłym charkocie. Wyciągnął ostrze i... wbił je we własny nadgarstek, przecinając ciało, a następnie kość, aż fale bólu uderzyły w jego czaszkę.

Ostatnie, koszmarnie cięcie naderwanego ścięgna i Zeisler upadł na ziemię. Wstał błyskawicznie i rzucił się za Vengarą.

Chwycił go i uderzył wzmocnioną pięścią. Vengara przekreślił się na plecach, napinając mięśnie przed kolejnym atakiem.

Zeisler stał nad nim, a krwawy deszcz padał na twarz Vengary.

– Kim, do cholery, jesteś? – wycharczał Vengara.

Zeisler schował nóż. Sięgając do kieszeni kamizelki wyciągnął hologram i podetknął tamtemu przed oczy.

Vengara popatrzył na mokry od deszczu hologram, po czym zwrócił oczy na Zeislera. Nic nie pojmował.

– Powinieneś pamiętać swoje ofiary.



– Ofiary? – Vengara spojrzał ponownie na hologram. Tym razem Zeisler dostrzegł lekkie napięcie w kącikach oczu.

– Świetnie – syknął Zeisler. – Przypominasz sobie. Masakra dwudziestu dwóch mężczyzn, kobiet i dzieci na Donovanie. Zarżnąłeś ich.

– Prawo miało szansę uwolnić ich za okupem – warknął Vengara. – Odmówili, skazując tych przestępców na śmierć. Wina leży po stronie Prawa.

Zeisler wsunął hologram pod prawe ramię i otworzył kolejną kieszeń. Wyciągnął niewielki iniektor.

– Ta dziewczynka... – Głos mu zadrżał. – Wystawiłeś ją na zer donovańskiego robactwa. Umierała przez wiele godzin.

Gorzkie wspomnienia jeszcze raz powróciły. Wspomnienia i obrazy, które psychoturdzy z ośrodka rekonstrukcyjnego Prawa usiłowali wymazać.

-Musisz się uwolnić, Amber! Myliłem się! Nie ma dużo czasu!

– Ale tato, to mnie zabija... ten drut mnie zabija!

– Posłuchaj mnie. Uspokój się i posłuchaj mnie. Nieważne, jak bardzo boli. Musisz się uwolnić! Proszę, Amber. Spróbuj, proszę!

Zeisler szarpnął się w więzach. Drut wbijał się głębiej, po jego nadgarstkach rozlało się ciepło. Amber wiała się i szarpała, łkając, gdy drut rozcinał jej skórę.

Krabopodobny stwór był tuż przy niej.

– O Boże, Amber! Kocham cię!

– Tato? Tato! Nie mów tak! Boję się...

Amber nie widziała taratelli, dopóki nie wskoczyły na jej nagie ciało. Jej krzyki zmieniły się we wrzask, gdy stwory

rozpostarły wachlarze żadeł, a następnie uderzyły nimi w jej pierś i brzuch.

Zeisler szarpnął się w więzach. Drut przeciął jego ciało do kości, ale on wciąż usiłował się uwolnić, dopóki jej krzyki nie zmusiły go do podniesienia głowy ku niebu, odwrócenia wzroku od jej sztywniejącego ciała. Sądził, że będzie w stanie wytrzymać każdą krzywdę, przyjąć każde cierpienie, przeżyć każdy ból, jeśli tylko zdoła się uwolnić i ocalić swoją córkę. Ale krzyki trwały nadal, cichnąc, aż przeszły w zawołanie, które zagłuszyło wszystkie inne myśli.

Potem stracił przytomność.

Vengara wpatrywał się w pochylonego nad nim Zeislera. – Skąd? Skąd ty to wszystko wiesz?

– Nie domyślasz się, kim jestem? – Zeisler rozkazał Mózgowi odsunąć ekran i otworzyć część hełmu zasłaniającą twarz. – Obciąłeś moje powieki i pozostawiłeś mnie, żebym przyglądał się, jak moja córka umiera... jak umiera, krzycząc.

Vengara potrząsnął głową.

– Nie mam pojęcia, o czym ty, u diabła, mówisz.

– Pieprz się! – Zeisler splunął na niego. – Ty skurwysyński morderco! Nie masz pojęcia, jak długo czekałem na tę chwilę.

– Kim jesteś? Pamiętam wszystko z Donovanu, ale ciebie nie pamiętam.

– Mam dla ciebie coś nowego – powiedział obojętnym tonem Zeisler, zbliżając iniektor do szyi mężczyzny. – Coś interesującego. Takemu rzeźnikowi jak ty powinno się spodobać.



Nacisnął spust iniektora, po czym odrzucił urządzenie.

– To paskudny pasożyt znaleziony na planecie zwanej Howler. Gdy dostanie się do organizmu żywiciela, podąża do mózgu, żeby się tam osiedlić. Niemal natychmiast paraliżuje funkcje motoryczne. A potem pozostaje tam jeszcze kilka dni przegryzając się przez tkankę. O ile wiem, ofiary błagają o eutanę – coś dziwnego w składzie chemicznym odchodów tego paskudztwa pobudza receptory bólu w mózgu. Twoje blokady nerwowe nic ci nie pomogą. No i, oczywiście, komuś wzmocnionemu, żeby reagować w milisekundy, kilka dni wyda się wiecznością...

Zeisler urwał.

Vengara wykrztusił ostatnie „Kim jesteś?”, po czym jego ciało rozluźniło się, opadając bezwładnie na trawę. Wydawało się, że śpi spokojnie, ale Zeisler wiedział swoje.

Skończone.

Wreszcie skończone.

Psychoturduzy pracowali nad uleczeniem jego umysłu, gdy odbudowywano mu ciało. Trochę to pomogło, aczkolwiek Zeislerowi wciąż zdarzało się wpadać w morderczą furę bez ostrzeżenia. Mózg został zaprojektowany, żeby dostarczać mu informacji o misjach i monitorować jego ciało pod kątem zagrożeń fizjologicznych. Wewnętrzne i zewnętrzne zapasy chemikaliów mogły być niemal natychmiast wprowadzone do jego krwiobiegu, by przywrócić mu delikatną równowagę.

W tej jednak misji dano mu możliwość zduszenia chemicznych ograniczeń nałożonych na jego emocje.

Spojrzał raz jeszcze na hologram swojej córki. Wspomnienia o Amber stały się rodzajem mantry. Przez miesiące – bolesne, trudne miesiące – powtarzał sobie, że gdy tylko dokonano tego, co sobie postanowił, ta męczarnia się skończy.

Ale jej krzyki wciąż dźwięczały w jego wspomnieniach. Nie skończyło się. Bynajmniej.

Gdzie zatem znajdzie wytchnienie?

Jakby na zawołanie poczuł chłód, gdy Mózg wstrzyknął mu do krwiobiegu jakieś chemikalia. Na ekranie hełmu rozświetlił się komunikat: OPCJA NAŁOŻENIA WYGASŁA. W jego żyłach płynął Lód, wróciła chłodna obecność rozsądku.

A poza Lodem kryło się... coś jeszcze. Włączył się standardowy podprogram, coś ukrytego wśród oprogramowania narzędziowego Mózgu, do którego nie miał dostępu. Na ekranie mignął nowy komunikat, zgasł jednak tak szybko, że Zeisler nie był nawet pewny, czy naprawdę go widział:

WYŁĄCZYĆ PROGRAM AMBER.

Wielki kawał pamięci po prostu zniknął.

Spojrzał na hologram. Mała dziewczynka. Nigdy wcześniej jej nie widział. Nie miał pojęcia, kim mogła być.

Wtedy zaczął działać kolejny podprogram, a pamięć Zeislера wypełniła się obrazami brata, który miał na imię... na imię... ach, tak, miał na imię Lufti i został zabity przez fanatyków religijnych, którzy ukrywają się ponoć w świątyni w Paxta na Ghilbrze, a on musi tam lecieć, musi tam natychmiast lecieć... statek Prawa już czeka, by zawieźć go na Ghilbrę.

Żeby pomścić.

Kiedy odchodził w noc, jego pamięć zasilaty kolejne, coraz straszniejsze szczegóły śmierci jego brata, a ból przedzierał się przez mur Lodu; otarł ręką krople deszczu spływające mu po policzkach.

Mimo że deszcz przestał już padać.

Przełożyła Agnieszka Fulińska

– **Nie ma się czym przejmować**, Tippy – powiedziała matka najłagodniejszym, najbardziej uspokajającym tonem, na jaki było ją stać. – To był bardzo słaby wstrząs, taki, jakich mnóstwo. Zdarzały się znacznie silniejsze. Aż dziwne, że się obudziłeś.

Tippy wpatrywał się w zieloną fasolkę na talerzu.

– Wydawało mi się, że zawadziła o stół. To wszystko.

– Wydawało ci się, że kto zawadził o stół?

Ton stwardniał. Zazwyczaj świadczyło to o tym, że zbliża się lanie.

– Nikt.

– Mówiłeś o Catherine?

– Nie. – Tippy wciąż nie mógł zrozumieć, w jaki sposób Cathy po śmierci przeistoczyła się w Catherine. – Nie, mamusi.

– Dla mnie było to znacznie cięższe przeżycie niż dla ciebie.

– Tak, mamusi.

– Ty nienawidziłeś Catherine. Z pewnością cieszysz się z tego, że już nigdy jej nie zobaczysz. Ja ją kochałam i zawsze, zawsze będzie mi jej brakować.

– Tak, mamusi.

– W niedzielę... – Matka Tippy'ego rozplakała się. – W niedzielę są twoje urodziny. Pojutrze.

– Aha.

Talerz był brązowy, ze wzorkiem z drobnutkich ciemnozielonych gałązek dookoła.

– Co chciałbyś dostać na urodziny, Tippy?

– Nic.

Matka westchnęła – przepracowana kobieta, na której utrudzonych barkach spoczął kolejny ciężar.

– Jeśli mam ci kupić prezent, muszę to zrobić jutro. Najpierw pójde do banku, potem będę chodzić po sklepach. Co chciałbyś dostać?

– Nic.

Tippy wbił widelec w twardą fasolkę. Wiedział, że kiedy włoży ją do ust, będzie smakowała jak surowa.

– Jesteś jeszcze dzieckiem. – Znowu ton, który lubił. – Musisz sobie z tym wszystkim poradzić, a przecież jesteś jeszcze dzieckiem.

Skinął żałośnie głową.

– Pogrzeb Catherine kosztował mnóstwo pieniędzy. Prawie tyle co nowy samochód. Będę go spłacać jeszcze przez wiele lat. Dlatego byłabym wdzięczna, gdybyś nie prosił o nic kosztownego. Jeden prezent, w dodatku niedrogi. Zrobisz to dla mnie, Tippy?

– Jasne.

– Jeżeli teraz nie wiesz, czego chcesz, możesz zastanowić się do rana. Myślę nawet, że tak będzie lepiej.

Tippy miał już na czubku języka, że „nic” przecież nic nie kosztuje, ale wiedział, że gdyby to powiedział, na pewno by się rozplakał, a był już na tyle duży, żeby wstydzić się łez.

– Jeżeli chcesz, możesz już iść się bawić.

Poszedł jednak na górę, do swego pokoju. Po drodze minął drzwi pokoju, który należał do Catherine, kiedy jeszcze nazywała się Cathy.

– To nieprawda, że cię nienawidziłem – wyszeptał do milczących, nieruchomych drzwi. – Czasem tylko się kłóciłem, i tyle. Nigdy cię nie nienawidziłem.

Wiedział, że to prawda i że ta prawda nie daje mu żadnej siły ani władzy.

Wszedł do swojego pokoju, zamknął drzwi i otworzył okno. Nie powinien był tego robić ze względu na klimatyzację, ale bardzo chciał patrzeć bez pośrednictwa szyby na świat poza domem, na różowofioletowy przepych zachodu słońca.

Dokoła stały inne domy. Policzył je, żeby sprawdzić, ile widać ich z okna: trzynaście. W tym sporo piętrowych, jak jego dom. Po lekcjach chodził od domu do domu i dotykał ścian;

(The Man in the Pepper Mill)

człowiek z młynka do pieprzu



wszystkie były stuprocentowo materialne, z cegły, drzewa, betonu i kamienia.

Chętnie zszedłby do kuchni, żeby jeszcze raz popatrzeć na stojący wciąż pod stołem domek dla lalek Catherine, ale nie mógł tego zrobić ze względu na matkę, która prawie na pewno właśnie teraz wkładała naczynia do zmywarki.

Obudził go jaskrawy błysk. Usiadł gwałtownie w łóżku, przekonany, że znowu się to stało, po czym wysunął się spod kołdry i podszedł do okna. W domu po drugiej stronie ulicy płonęły światła; okna pozostałych budynków były ciemne, ale i tak widział wyraźnie, że domy stoją tam, gdzie stały. Uniósł nieco szybę; ciepłe powietrze na zewnątrz było znacznie przyjemniejsze od zimnego w domu. Za oknem poruszał się tylko wiatr – nawet wiatr był dla niego dobry.

Tippy uśmiechnął się do siebie, wrócił do łóżka i zasnął. Kiedy się znowu obudził, było już zupełnie inaczej.

Od razu się domyślił. Świat zniknął, w jego miejsce zaś wstawiono inny, zastępczy. Na zewnątrz stapało bezszelestnie coś niewyobrażalnie ogromnego. Przez ułamek sekundy Tippy widział wielkie oko wypełniające całe okno i wyszeptał: „Cathy! Cathy...” Zaraz potem oko znikło. Światło rozbłysło raz jeszcze i zgasło.

Drżąc na całym ciele wstał z łóżka. W domu było ciemno, włączniki okazały się tylko plamami farby na ścianach.

Matka leżała w swojej sypialni na wznak, z ramionami na kołdrze. Gładka biała skóra była twarda jak plastik. Za oknem mignęło światło; Tippy wyrzwał na zewnątrz, ale niczego nie zobaczył. Obok matki leżał mężczyzna z namalowanymi włosami, który niezupełnie był jego ojcem. Wystarczyło go dotknąć, żeby zamigotał i zgasł.

Schody były na miejscu, podobnie jak balustrada i chodnik w holu, ale telewizor nie chciał się włączyć, ponieważ znikł włącznik. To zabawne, pomyślał, że niektóre rzeczy tak bardzo się zmieniły, a inne wcale. Kuchnia wyglądała mniej więcej tak jak poprzednio; na stole walało się mnóstwo jego zabawek, które Cathy pożyczala nie pytając o pozwolenie. Jej domek dla lalek znikł, ponieważ był teraz wszędzie dookoła. Nie mógł przecież pozostać we wnętrzu samego siebie.

Tippy wyszedł przez tylne drzwi.

Tak jak się spodziewał, całe podwórze również znikło. Zabawki zrobiły się ogromne – czerwony Power Ranger przewyższał go teraz dwukrotnie. Jeżeli Cathy zauważy figurkę, z pewnością ją podniesie, jeśli zaś Power Ranger jej się nie spodoba, przypuszczalnie po prostu rzuci go byle gdzie. Ale Cathy chyba dokądś sobie poszła.

Odważnie podszedł do samej krawędzi i spojrzał w mroczny ogrom kuchni, na odległe szafki i jeszcze bardziej oddaloną, białą jak księżyc kuchenkę. Światło przemknęło ku niemu, skąpało go na chwilę w blasku, po czym uciekło – snop jasnożółtej jasności wysyłany z ciemnej, prawie niewidocznej wieży nad zlewozmywakiem. Kiedy się zastanawiał, co to może być, promień światła znowu pognął w jego kierunku; w jaskrawożółtym stożku Tippy przez ułamek sekundy widział małą sylwetkę.

– Śniadanie! – Głos matki przepłynął przez jadalnię i salon, pokonał hol i wspiał się po schodach. – Tippy, śniadanie!

Tippy przyniósł książkę.

– Spójrz na tego, mamusiu. Ale wdechowy!

Matka, zajęta mlekiem, płatkami owsianymi i talerzami, nie patrząc skinęła głową.

– Ma wielkie rogowe kolce, ale je tylko trawę i liście. Mogłbym na nim jeździć.

– One wymarły, Tippy. Wszystkie, co do jednego. Są martwe jak... Zresztą, nieważne. Na co tak się gapisz?

– Na nic.

– Miałeś taką minę, jakbyś zobaczył dinozaura.

– Patrzyłem na ten przyrząd, który miele pieprz – powiedział Tippy, w duchu zaś dodał: „A teraz robi coś zupełnie innego”.

– Odłóż książkę i weź się do jedzenia.

– Możesz mi powiedzieć, jak to się czyta?

Łaskawie zerknęła do książki.

– Ste-go-zaur. Wszędzie ich pełno... to znaczy, na opakowaniach witamin dla dzieci, w sklepach z zabawkami i w ogóle. Nigdy takiego nie miałeś?

– Miałem, ale Cathy mi go zabrała.

Posłusznie zamknął książkę i zanurzył łyżkę w talerzu z płatkami.

– Kiedyś dostaniesz go z powrotem. Na razie nie chcę, żebyś wchodził do jej pokoju, rozumiesz?

Skinął głową.

– Ani po zabawki, ani po cokolwiek.

– W porządku.

– Czy wiesz już, co chcesz dostać na urodziny?

– Chyba tak. Mogę pójść na chwilę do kuchni?

– Nie. Najpierw skończ śniadanie.

– Nawet jeśli niczego nie będę dotykał?

– Nawet. Co wybrałeś? – Matka wytarła usta serwetką i spojrzała na syna. – Może jakieś plastikowe figurki?

– Eee...

– Mogłoby być ich kilka. Niedawno w K-Marcie widziałam Okrutnego Barona z węzami, kłami i całą resztą. Zawsze podobał ci się Okrutny Baron.

– Nie.

Mysząc o dinozaurze, Tippy nadał swojemu głosowi stanowcze brzmienie.

– Nie zapominaj o tym, co mówiłam ci wczoraj. Musisz się szybko zdecydować. – Podniosła kubek, ale zaraz go odstawiła. – Mogę cię prosić, Tippy? Puszka stoi obok suszarki. W czajniku powinna być jeszcze gorąca woda.

Nasypał rozpuszczalnej kawy do kubka, co chwilę zerkając na stojący na parapecie smukły cylindryczny przedmiot z ciemnego drewna. Wspiął się nawet na palce i wyciągnął rękę, żeby go dotknąć, ale kiedy brakowało mu jeszcze najwyższej półtora centymetra, odwaga go opuściła.

– Tippy!

– Za chwilę.

Zalał kawę gorącą wodą, zamieszał, triumfalnie wrócił do jadalni.

– Oplukałeś łyżeczkę?

Nie oplukał.

– Włożyłem ją do zlewozmywaka. Mamo, co to jest to duże, co ostrzega statki?

Matka spojrzała na niego ze zdziwieniem.

– Ostrzega statki?

– No, przed skałami, mieliznami i różnymi innymi rzeczami. Podobne do kościoła.

– Masz na myśli tę starą latarnię morską? Rzeczywiście, zdaje się, że widać ją z okna twojego pokoju, prawda?

– Cathy też ją widziała. Podobała jej się. Czasem nawet o niej rozmawialiśmy.

Matka piła kawę małymi łykami, nie spuszczać z niego wzroku.

– To rzecz, którą warto zapamiętać. Ja na pewno będę o tym pamiętała i chciałabym, żebyś ty też pamiętał, Tippy.

Ośmielony, skinął głową.

– Już wiem, jaki chciałbym dostać prezent. Mogę ci powiedzieć?

– Miniaturową latarnię morską? Wątpię, czy uda mi się znaleźć coś takiego. A może latarkę, żebyś mógł bawić się w latarnię? Z latarką nie będzie problemów.

Pokręcił głową.

– Chciałbym, żebyś mnie tam zabrała. Chciałbym zobaczyć prawdziwą latarnię morską.

– Zamiast prezentu?

– To właśnie będzie mój prezent – wyjaśnił cierpliwie.

– Latarnia stoi po drugiej stronie zatoki – powiedziała bardziej do siebie niż do niego. – To może nawet być przyjemna wycieczka.

Wycieczka istotnie była przyjemna. Najpierw Larch Street do ruchliwej Countryside, potem kawałek drogą międzystanową, później w bok, w Windpoint Road, wijącą się w górę najpierw łagodnymi, a potem coraz bardziej karkołomnymi zakrętami. Matka opuściła szyby we wszystkich drzwiach, uśmiechała się do skał i wysuszonych brunatnych wzgórz, a Tippy pomyślał, że bardzo ładnie wygląda z jedwabną apaszką na szyi oraz piórkowymi kołczykami powiewającymi na wietrze. W pewnej chwili po jego stronie samochodu znikły skały i zeschnięta trawa, pojawiły się natomiast niebo, powietrze i niespokojna woda.

– Tam, w dole, to ocean. – W głosie matki było tyle strachu, że Tippy poczuł się niewyraźnie. – To też woda, ale wygląda zupełnie inaczej niż ta, która w domu płynie z kranu, prawda?

– Aha – zdołał tylko wystękać, osłupiały z zachwyty.

– A jednak prawie niczym się od niej nie różni. Wystarczy ją odsolić, oczyścić i będzie taka sama jak tamta. Różnica po-

lega głównie na tym, że ta woda niczego nie udaje. Spoczywają w niej kości twojej babki, a także kości tysięcy innych ludzi. – Wskazała przed siebie. – Spójrz, widać już latarnię.

Na kwadratowej zielonej tabliczce przy drodze widniał napis ułożony z białych liter średniej wielkości:

LATARNIA WINDPOINT 400 METRÓW

Zakręt, podjazd, jeszcze jeden zakręt, a potem pas asfaltu szerokości zaledwie jednego samochodu doprowadził ich na krawędź urwiska. Wśród sosen i brzoź znajdował się tam niewielki parking, obok niego zaś jeszcze jedna tabliczka, tak mała, jakby zawstydzona:

Wstęp 1,25 dolara

Emeryci 50 centów

Dzieci bezpłatnie

Jak tylko wysiedli z samochodu, w drzwiach niedużego drewnianego domku przytulonego do brązowej wieży pojawił się człowiek z młynka do pieprzu.

– Podoba ci się? – zapytała matka, kiedy szli wysypaną grubym żwirem ścieżką. – Mam nadzieję, że nie jesteś rozczarowany.

Trochę zdziwiony skinął głową. Coś zadudniło, kiedy człowiek z młynka do pieprzu cofnął się do wnętrza domku. Matka zatrzymała się przy drzwiach i sięgnęła do torebki.

– Tylko dolar dwadzieścia pięć? To niewygórowana cena.

Człowiek z młynka do pieprzu uśmiechnął się, zdjął na chwilę marynarską czapkę, przyglądał szpakowate włosy i założył ją z powrotem.

– W takim razie może kupi pani coś w naszym sklepiku? – Wskazał trzy szklane gabloty. – Mamy notatniki i papeterię z naszą latarnią, pocztówki, nawet nocne lampki. Są też książki krajoznawcze o tej części wybrzeża i książeczki do kolorowania dla dzieci. Wszystkie wpływy przeznaczamy na ratowanie latarni.

Dała mu dwa dolary.

– Spodobało ci się coś, Tippy? To będzie część prezentu. A może najpierw chcesz obejrzeć latarnię?

Nie wahał się ani chwili.

– Latarnię.

Jednak po drodze zdjął ze stojaka książkę, która go zainteresowała. Człowiek z młynka do pieprzu podążył za nim z łoskotem. Tippy odwrócił się i wybałuszył oczy.

– Jak pirat!

– Tak jest! – Mężczyzna uśmiechnął się jeszcze szerzej. – Odgryzł mi ją wieloryb, młody Jimie Hawkinsie.

– Ma na imię Tippy – wykrztusiła matka, której, nie wiedzieć czemu, jakby prawie odjęło mowę. – To znaczy, Tiptree. Na cześć tej pisarki. Ale ona nie żyje, więc... więc...

– Należy się siedemdziesiąt pięć centów reszty. – Mężczyzna zatrzymał się przy kasie. – A ja nazywam się Buster Hill.

– Tippy wziął książkę. – Mówiła tak cicho, że z trudem było ją słyszeć. – Muszę za nią zapłacić.

– Chcę ją tylko obejrzeć – wyjaśnił chłopiec. – Później odstawię na miejsce.

– Czy trzeba będzie się wspinać? Albo patrzeć w dół na wodę? W drodze tutaj wcale się nie bałam, ani trochę, ale nie lubię dużych wysokości...

– Jeśli pani nie chce, nie musi pani wchodzić na samą górę – odparł człowiek z młynka do pieprzu.

Tippy natychmiast wyczuł nadarżającą się okazję i pognął naprzód co sił w nogach.

Wewnątrz latarni wokół żelaznego słupa wiły się metalowe schody w kształcie plasterków cienko pokrojonej niewyrośniętej piaskowej babki. Były wąskie, co nie miało najmniejszego znaczenia dla jego rozpędzonych stóp. Były również wysokie, co miało jeszcze mniejsze znaczenie, ponieważ w jakiś cudowny sposób, chociaż był w miękkich sportowych pantoflach, na każde mocne stąpienie reagowały wspaniałym dudnieniem i łoskotem.

Na samym wierzchołku znajdował się reflektor osadzony na skomplikowanej maszynierii, otoczony niewielkim balkonem z metalową balustradą. Tippy wykonał kilka okrążeń, spoglądając z góry na brunatny pofalowany krajobraz i dostojnie wzburzoną wodę, pomachał matce i człowiekowi z młynka do pieprzu, wreszcie usiadł tak, żeby ich nie widzieć (i żeby oni jego nie widzieli), i spuścił nogi na zewnątrz.

Książka okazała się jeszcze ciekawsza niż przypuszczał; zawierała mnóstwo kolorowych ilustracji przedstawiających tajemnicze statki z wypełnionymi wiatrem żaglami i łopoczącymi banderami. Byli w niej też piraci oraz ludzie o skórze jeszcze ciemniejszej niż ten, który mieszkał przy ich ulicy i o którym matka Tippy'ego powiedziała, że jest czarny, choć wcale nie był, a także kapitan w długiej żółtej szacie z wyhaftowanym smokiem i z długimi, długimi wąsami. Wszystko to było interesujące, niektóre rzeczy zaś nawet bardzo interesujące – tak bardzo, że Tippy co chwila wracał do tych obrazków, wpatrywał się w nie, a potem przenosił wzrok na ocean i wyobrażał sobie, że żegluje na jednym ze statków.

Mimo to uśmiechnął się, kiedy na metalowych stopniach zadudniła sztuczna noga człowieka z młynka do pieprzu. Co prawda, zamierzał na długo zostawić go sam na sam z matką i cieszył się, że mu to się udało, ale zależało mu też na tym, żeby z nim porozmawiać.

– Hej! – powiedział człowiek z młynka do pieprzu, wchodząc na balkonik. – Boisz się zejść? Mogę cię znieść.

Tippy pokręcił głową.

– W takim razie chodźmy. Jeśli chcesz, możesz zatrzymać tę książkę.

Tippy ponownie potrząsnął głową.

– Chcę panu opowiedzieć.

– O czym?

Mężczyzna przykucnął przy nim, jedną ręką trzymając się barierki.

– O tym, co dzieje się w nocy. I chcę pana zapytać.

– O tym, co dzieje się w nocy – powtórzył człowiek z młynka do pieprzu. Z całą pewnością nie było to pytanie.

– Właśnie. – Teraz, kiedy chwila nadeszła, chłopiec miał trudności ze znalezieniem właściwych słów. – W nocy to robi się... wielkie i brązowe. To coś na parapecie.

Przez sekundę był pewien, że rozmówca go nie zrozumiał, ale chwilę potem człowiek z młynka do pieprzu usiadł ciężko obok niego i przewiesił na zewnątrz obie nogi, prawdziwą i sztuczną. Następnie nabrał powietrza w płuca, jakby zamierzał powiedzieć coś niezmiernie ważnego, wypuścił je, ponownie napełnił płuca i wreszcie zapytał:

– Czy to ty jesteś tym chłopcem z domku dla lalek?

Tippy poważnie skinął głową.

– Ty i twoja matka... Próbowала mi pokazać, gdzie mieszkacie, i przemknęło mi przez głowę, że to może być ona.

Tippy zaprzeczył ruchem głowy.

– Ona nie. Mieszkam sam.

– W domku dla lalek.

Kolejne kiwnięcie głową. Zapadła długotrwała cisza. Przerwał ją człowiek z młynka do pieprzu:

– Czy wiesz, dlaczego tak się dzieje?

– Zamierzałem pana zapytać.

– Nie mam pojęcia. – Nagle ręka mężczyzny zacisnęła się mocno na ramieniu chłopca. – To nie sen. Wciąż sobie powtarzam, że to tylko sen, ale tak nie jest.

Wypuścił ze świstem powietrze.

– Nie jest – przyznał mu rację Tippy.

– Widziałeś mnie ostatniej nocy? Ja cię widziałem.

Chłopiec skinął głową.

– Tak wyraźnie, jak nigdy do tej pory. Właśnie dlatego poznałem pana od razu, jak tylko pokazał się pan w drzwiach sklepiku.

– Moja praca... – Mężczyzna umilkł, zszedł, aż jego słowa uleciały w błękitne niebo, po czym zaczął od nowa: – Mieszkam tu przez cały czas. Nocą, kiedy reflektor jest włączony, mogę spać, ale o jedenastej i o trzeciej nad ranem wchodzę na górę, żeby sprawdzić, czy wszystko działa, jak należy.

Tippy skinął głową na znak, że słucha i rozumie.

– Zazwyczaj aż do jedenastej oglądam telewizję, potem przeprowadzam obchód, nastawiam budzik na za piętnaście trzecia i kładę się do łóżka. To dzieje się zawsze podczas drugiego obchodu, kiedy wychodzę na balkon.

– A ja właśnie wtedy się budzę, patrzę na parapet i widzę pana – wyznał Tippy. – Tyle że to już nie jest młynek do pieprzu, tylko latarnia morska.

Mężczyzna długo nad czymś rozmyślał.

– A więc to twoja kuchnia – powiedział wreszcie. – Ten ogromny biały kształt to lodówka, prawda? Tak właśnie myślałem. I widzę, że rozumiesz z tego wszystkiego równie mało jak ja.

– No, może troszkę więcej...

– Wiesz, co zrobiłem ostatniej nocy? W ogóle nie położyłem się spać. Do tej pory jakby nigdy nie wracałem do łóżka po drugim obchodzie, a rano wmawiałem sobie, że tylko coś mi się przyśniło.

– To nie sen – powiedział cicho Tippy.

– Dzisiaj zostałem tu, na górze. Wystarczyło przejść na drugą stronę, żeby zobaczyć twoją kuchnię, i często to robiłem, ale z tej strony, tak jak zawsze, było widać ocean i gwiazdy. O wschodzie słońca kuchnia rozplynęła się we mgle. Wszystko, co oświetlała moja latarnia, domek dla lalek, kuchenka i lodówka, okazało się tylko mgłą. Zaraz potem znikły i znowu pokazało się miasto.

– To Cathy – wyjaśnił Tippy. Zaraz jednak spostrzegł, że człowiek z młynka do pieprzu nie zrozumiał go, więc dodał: – To jej domek dla lalek.

– A więc istnieje prawdziwy domek dla lalek?

– Tak.

– W kuchni, na stole?

Chłopiec skinął głową.

– Mama nie chce go zabrać i nie pozwala mi go dotykać. „Za jakiś czas”, mówi.

Człowiek z młynka do pieprzu westchnął.

– Cathy była twoją starszą o dwa lata siostrą. Dowiedziałem się tego od twojej matki, kiedy na ciebie czekaliśmy. Opowiadała mi, jakie to było ciężkie przeżycie dla was dwojga. Wcale się nie dziwię. Kiedy to się wydarzyło?

Tippy wzruszył wąskimi ramionami.

– Niedawno.

– Tydzień temu?

– Dawniej.

– Miesiąc?

– Nie wydaje mi się.

– Pytam o Cathy, ponieważ twierdzisz, że wszystko dzieje się za jej sprawą. – Człowiek z młynka do pieprzu cofnął rękę i wytarł ją w spłowiałe dzinsy. – A gdzie jest twój ojciec? Wie o tym?

Tippy pokręcił głową.

– Mama kazała mu odejść. Tak przynajmniej mówi. – A potem, nie mogąc nad sobą zapanować: – Pan się jej podobal!

Mężczyzna jakby nie usłyszał.

– Czy to się zdarzyło przed śmiercią Cathy?

– Na długo przedtem. Jeszcze przed Świętami.

Ponieważ mężczyzna nie odpowiedział, Tippy wrócił do poprzedniego tematu:

– Pan podoba się mamie.

Człowiek z młynka do pieprzu pokręcił głową.

– Jestem dla niej za stary.



– Skoro pan się jej spodobał, to znaczy, że nie jest pan za stary – odparł Tippy, trochę urażony koniecznością wyjaśniania dorosłemu tak oczywistych spraw.

– Nic by z tego nie wyszło, młody Jimie.

– Wyszłoby!

– Wkrótce kazałaby mi odejść, tak samo jak twojemu tacie. To znaczy, jeżeli w ogóle wpuściłaby mnie do domu. Być może mam zupełnie inne wady niż on, ale kobiety uważają, że każdy mężczyzna ma przynajmniej jedną.

– Wcale nie musiałoby tak być. Pan tylko udaje.

Człowiek z młynka do pieprzu nie podjął dyskusji.

– A więc uważasz, że za wszystko jest odpowiedzialna twoja siostra?

– Bo jest. Myśli dużo o tym, żeby ktoś był z mamą i ze mną, tak jak kiedyś tata. I lubi pana, tak jak mama. To powinien być pan.

Do ich uszu dotarło wołanie matki Tippy'ego, nieco cichsze od przytłumionego odległością huku roztrzaskujących się fal. Dobiegało z drugiej strony latarni, z dobrze osłoniętego miejsca, skąd nie było widać oceanu.

– Nie chciała tu wejść – powiedział człowiek z młynka do pieprzu. – Ma lęk wysokości. Mnie też nie chciała puścić ze względu na moją nogę. Wyjaśniłem, że co noc wchodzę tutaj dwa razy, ale jej nie przekonałem.

Tippy poważnie skinął głową.

– Wiedziałem, że tak będzie. Chciałem, żebyście byli przez jakiś czas sami.

– I byliśmy – przyznał mężczyzna. Przez jakiś czas wpatrywali się w horyzont i przysłuchiwali się odległym wrzaskom mew. – Porozmawialiśmy trochę, i to wszystko. Nie pocałowaliśmy się ani nic w tym rodzaju.

– To dobrze.

– Nie lubisz ckliwych romansów, młody Jimie?

– To dobrze, że rozmawialiście. Czy naprawdę wieloryb odgryzł panu nogę?

Człowiek z młynka do pieprzu pokręcił głową.

– Urwała mi ją mina przeciwpiechotna.

– Aha – mruknął współczująco Tippy.

– Dostałem od armii elegancką protezę. Używam jej wtedy, kiedy jadę do miasta, ale tutaj zakładam tę drewnianą i strój marynarza. Tego oczekują turyści i to się oplaca.

– Lubi pan to miejsce?

– Nieszczególnie. W każdym razie nie bardzo. – Mężczyzna z przekrzywioną głową wsłuchiwał się przez chwilę w dobiegające z dołu nawoływanie. – Myślisz, że w końcu tu przyjdzie?

Tippy puścił pytanie mimo uszu.

– W takim razie niech pan z nami zamieszka. Mamy ładny dom.

– Nic z tego nie będzie, młody Jimie. Myślisz, że przyjdzie?

Tippy pokręcił głową.

– Prędzej wezwie straż pożarną albo coś w tym rodzaju.

Człowiek z młynka do pieprzu uśmiechnął się.

– A więc mamy jeszcze trochę czasu.

– Proszę opowiedzieć mi o nodze.

– Nie ma wiele do opowiadania. Po wyjściu ze szpitala wojskowego wróciłem do college'u na dziennikarstwo. Potem przez pewien czas pracowałem w niedużej gazecie na południu, później w czasopiśmie, ale nie podobała mi się ani praca, ani ludzie, więc wziąłem się za public relations.

– Co to takiego?

– Pomagasz ludziom lub firmom w kontaktach z dziennikarzami, głównie tymi z gazet i telewizji. Zawsze trzeba mieć im coś do powiedzenia, bo w przeciwnym razie rozszarpia cię na strzępy.

Tippy skinął głową z mądrą miną.

– Na przykład, że ktoś znalazł żywego dinozaura?

– Właśnie.

Matka Tippy'ego zawołała ponownie i mężczyzna zaczął się szykować do wstania z miejsca.

– Agencja, dla której pracowałem, zbankrutowała. Znalazłem sobie inną pracę, ale tylko na parę miesięcy, więc zgłosiłem się do Rady Miejskiej i dali mi tę posadę. Obiecali, że to tylko tymczasowo, że niedługo dostanę pracę w public relations, ale od tamtej pory minęły już dwa lata. Owszem, mam do czynienia z ludźmi, więc w tym sensie ma to jakiś związek z public relations, a od czasu do czasu jakaś gazeta albo czasopismo zamieszcza materiał o latarni.

– Powinien pan z nami zamieszkać – powtórzył z uporem Tippy.

– Wierz mi, młody Jimie, naprawdę nic by z tego nie wyszło. – Mężczyzna wstał. – Jestem dla niej za stary, a w dodatku nie mam ani nogi, ani dobrej pracy.

Tippy również się podniósł.

– Owszem, wyszłoby. Cathy tak myśli i ja też.

– Lepiej puść mnie przodem. Gdybyś się potknął, lepiej żebyś zatrzymał się na mnie, niż spadł na sam dół.

Tippy odsunął się na bok z ponurą miną.

– Jesteś pewien, że to twoja nieżyjąca siostra? – zapytał mężczyzna, kiedy pokonali mniej więcej jedną czwartą odległości dzielącej ich od otworu, za którym zaczynały się metalowe schody. – Taka mała dziewczynka?

– Czasem ją widuję – powiedział Tippy. – Czasem zagląda przez okno i wtedy jest naprawdę wielka. Kiedy tam jest, boję się wychodzić z domu.

Człowiek z młynka do pieprzu już ruszył w dół po schodach, ale mimo to zerknął na niego przez ramię.

– Myślę, że ja też bym się bał. Ale skąd wiesz, że to nie jest robota kogoś innego? Może ona tkwi w tym tak samo jak my?

– Ona właśnie tak się bawiła! – Frustracja chłopca zaczęła przeradzać się w złość. – Innych domów to nie dotyczy, bo miała tylko ten jeden. W łóżku leży lalka, która udaje mamę, i to jest lalka Cathy. Nie miała lalek, które mogłyby udawać pana albo mnie, więc to musimy być my sami. Rozumie pan?

Mężczyzna ponownie rozejrzał się dokoła.

– Rano lalka przeistacza się w twoją matkę?

– Tak!

– Słyszę was! – usłyszał Tippy dobiegający z dołu głos matki. – Wszystko w porządku?

– Tak! – zawołał człowiek z młynka do pieprzu. – Nic mu nie jest! Trochę pogadaliśmy, i tyle!

– Jest naprawdę ładna – przypomniał mu Tippy przyciszonym głosem, ale, ulegając wciąż się rozwijającemu poczuciu uczciwości, zaraz dodał: – Chociaż jest też trochę zwariowana.

– One wszystkie takie są, młody Jimie – odparł szeptem człowiek z młynka do pieprzu. W jego głosie słychać było ogromny smutek, którego Tippy nie rozumiał, ale byli już za blisko ziemi i matki, żeby swobodnie rozmawiać.

– Obgadaliśmy parę spraw, które nie dawały Tippy'emu spokoju – powiedział człowiek z młynka do pieprzu, schodząc z ostatniego stopnia. Tak jak zawsze, trzymając się oburącz poręczy najpierw wysunął naprzód drewnianą nogę, a kiedy był pewien, że podklejone skórą zakończenie znalazło pewne oparcie, przeniósł na nią ciężar ciała i zwolnił uchwyt. – Mam nadzieję, że mi pani wybaczy?

– To bardzo miło z pańskiej strony – odparła z błyszczącymi oczami.

– Mam nadzieję, że na coś się przydałem. Staralem się wytłumaczyć chłopcu, że ludzie nie umierają tak jak kwiaty albo ryby. Ciało jego siostry nie żyje, jej dusza jednak nie umarła i nigdy nie umrze, ponieważ żyje z Bogiem w Niebie.

Tippy zrozumiał, że nadeszła pora na prawdziwe wyjaśnienie.

– Ona jest teraz bardzo silna – zapewnił matkę. – Umarli zazwyczaj nie są silni, ale Cathy jest. To znaczy, Catherine.

– I kochająca – wyszeptała matka. – Zawsze bardzo nas kochała.

– Może po prostu czegoś bardzo chce – powiedział do Tippy'ego człowiek z młynka do pieprzu.

Nawet wiem czego, odparł w duchu chłopiec.

Człowiek z młynka do pieprzu odprowadził ich do samochodu. Matka wyciągnęła do niego rękę.

– Na pewno nie chce pan, żebym zapłaciła za tę książkę?

– To prezent urodzinowy ode mnie. Gdyby pani zapłaciła, wszystko by pani zepsuła.

– W takim razie może któregoś dnia wpadłby pan do nas na kolację? Jeżeli zaczniemy o siódmej, zdąży pan jeszcze tu wrócić.

– W porządku. Będzie mi bardzo miło.

Tippy, który przysłuchiwał się rozmowie z samochodu, domyślił się, że żadne z nich nie mówi serio, ukląkł więc na fotelu kierowcy i wystawił głowę przez okno.

– Gdyby było trzeba, przyjedzie pan pomóc nam poradzić sobie z dziennikarzami?

– Jasne.

– Na przykład jeśli znajdę żywego dinozaura. Na pewno zjedzie się mnóstwo reporterów.

Matka zaśmiała się.

– Jeśli znajdziesz żywego dinozaura, zjawię się w ciągu godziny – powiedział człowiek z młynka do pieprzu. – Obiecuję.

Tippy cofnął się, żeby matka mogła wsiaść do samochodu.

– Proszę nie zapomnieć, bo coś mi się wydaje, że znajdę go już niedługo.

Samochód ruszył z miejsca.

– Nie zapomnę! – zawołał człowiek z młynka do pieprzu i pomachał im ręką.

– Było przyjemniej niż się spodziewałam – powiedziała matka do Tippy'ego, kiedy skręcili w Windpoint Road. – A ty dobrze się bawiłeś?

Skinął głową.

– I nie żał ci, że w tym roku nie będzie przyjęcia dla twoich kolegów z klasy?

– Nie – odparł Tippy, a kiedy pokonali niebezpieczny odcinek drogi, dodał: – Było wdechowo.

Kiedy kładł się do łóżka, wszystko wydawało się bardzo proste. Teraz, kiedy na zewnątrz Cathy poruszała się w pogrążonej w ciemności kuchni i zaglądała przez okna do wnętrza domku dla lalek, martwa, a jednocześnie tak bardzo obecna, naciągnął kołdrę na głowę i starał się udawać, że śpi.

Zdawał sobie jednak sprawę, że nic z tego nie będzie i że wydarzy się coś strasznego, coś niewyobrażalnie okropnego. Powoli odgarnął kołdrę, przewiesił bose stopy przez krawędź łóżka, postawił je na podłodze i wstał; ten akt odwagi w jednej chwili uczynił z małego chłopca prawie mężczyznę.

W nieznacznie rozjaśnionej ciemności za kuchennymi drzwiami zabawki (większość należała do niego) walały się na stole niczym poprzewracane posągi. Tylko czerwony Power Ranger wciąż stał wyprostowany. Tippy zatrzymał się na chwilę i pieszczotliwie przesunął palcami po szkarłatnym plastyku, ale sięgał figurce zaledwie do pasa, więc doskonale zdawał sobie sprawę, iż nie zdoła jej udźwignąć.

Nieco dalej leżał Spiderman, tuż obok zaś jeszcze większa pokusa: Luke Skywalker. Tippy minął go jednak jakby nigdy nic.

Owczarek szkocki wielkości mastyfa leżał połączony magnesami przy łapach z west highland terierem. Z jednym psem może by sobie poradził, na pewno jednak nie potrafiłby ich rozłączyć, razem zaś stanowiły zbyt wielki ciężar. Poza tym należały do Cathy. Podejrzywał, że Cathy nie byłaby zachwycona, gdyby bawił się jej zabawkami, nie mogła jednak mieć do niego pretensji o to, że sięga po własne.

Stegozaur był różowy i na szczęście mały – jeden z niewielu ocalałych egzemplarzy z niegdyś całkiem sporego zesta-

wu. Tippy chwycił go za kolce sterczące z ogonowych płytek i pociągnął bez większego trudu. Podczas jednego z przystanków dla nabrania oddechu i poprawienia uchwytu spojrzał w kierunku stojącego na odległym parapecie młynka do pieprzu, który teraz był latarnią morską; byłoby miło, gdyby człowiek z młynka do pieprzu teraz mnie zobaczył, pomyślał i nawet pomachał, ale tamten albo jeszcze nie wyruszył na obchód, albo już z niego powrócił.

Poważne trudności pojawiły się dopiero na stopniu przed kuchennymi drzwiami oraz w samych drzwiach. Tippy musiał postawić stegozaura na nogi, a następnie spleść ręce pod irytująco gładkim różowym karkiem i dźwignąć ze wszystkich sił, stękając przy tym tak, jakby nieświadomie naśladował ojca. Po długich zmaganiach (pomagał mu w tym nieproporcjonalnie duży ciężar ogona) zdołał ustawić przednie łapy w drzwiach, po czym przeszedł na czworakach po najeżonym plastikowymi kolcami grzbiecie, chwycił oburącz za ogon, ponownie wyteżył siły i z jeszcze donośniejszym postękiwaniem wreszcie wepchnął opasłego różowego gada do kuchni.

A potem wrócił biegiem do domku dla lalek, wpadł do środka przez frontowe drzwi, wbiegł na piętro i zadyszany padł na łóżko.

Kiedy obudził go wlewający się przez okno blask dnia, wszystko wydało mu się snem – tak jak powiedział człowiek z młynka do pieprzu. Przez jakąś minutę (naprawdę trwało to ponad dziesięć minut) leżał z rękami pod głową, spod na pół przymkniętych powiek wpatrywał się w plakaty na suficie i myślał.

Po pierwsze, w rzeczywistości najprawdopodobniej nic się nie stało.

(Na dole poruszyło się coś ogromnego i ciężkiego, dom zatrzęszczał w posadach jak drewniany statek podczas sztormu. Zaraz potem wszystko ucichło.)

A jeżeli nawet się stało – przecież człowiek z młynka do pieprzu też widział domek dla lalek Cathy – to nic z tego, co przedsięwziął Tippy, nie mogło się udać. Mały różowy dinozaur nie zamienił się w prawdziwego tylko dlatego, że Błękitny Pluszowy Królik z książki przeistoczył się w żywego królika. Prawdziwe rzeczy niekiedy stają się rzeczami z książek, ale te z książek nigdy nie stają się prawdziwe.

Chyba że ktoś je takimi uczyni.

(Różowe kapcie matki zaszczały na schodach w drodze do kuchni. Niedługo – bardzo niedługo – zawoła go na śniadanie; powinien być już wtedy umyty i ubrany. Dzisiaj przecież poniedziałek, trzeba iść do szkoły.)

Tippy westchnął, ziewnął i usiadł w łóżku trąc oczy. No tak, różowy stegozaur nie był w żadnej książce. To była prawdziwa zabawka. Nadal nią jest. Prawdziwa zabawka, która jest stegozaurem. Czy to to samo, co stegozaur, tyle że nieprawdziwy?

Matka wrzasnęła przeraźliwie. Tippy dopiero teraz całkowicie się obudził, wyskoczył z łóżka i wybiegł z pokoju, żeby ją uspokoić, żeby jej powiedzieć, że wszystko w porządku.

Chociaż pędził co sił w nogach, jego myśli galopowały jeszcze szybciej. Czy Cathy przestanie bawić się domkiem dla lalek, kiedy zjawi się człowiek z młynka do pieprzu? Przypuszczalnie tak, a szkoda. Przecież pod łóżkiem czekają Batman i Robin, a w sklepie z zabawkami Tippy widział wspaniałego smoka. Ale żeby dinozaur...!

Ciekawe, czy wciąż jest różowy? Na ilustracjach w książkach prawie wszystkie dinozaury były szare. Matka wykrzykiwała coś do telefonu, więc Tippy zbiegł na dół, żeby przekonać się na własne oczy.

Przełożył Arkadiusz Nakoniecznik



Twórczość Jürgena Ziewego jest znana na Zachodzie głównie za sprawą posterów i popularnych kart fantasy. Od niedawna możemy jego prace podziwiać na okładkach wydawanych w Polsce książek fantastycznych.

Na początku lat dziewięćdziesiątych ten malarz abstrakcjonista, absolwent hamburskiej Akademii Sztuk Pięknych, odkrył grafikę komputerową i świat fraktali. Wraz z rozwojem możliwości komputerów oraz oprogramowania w pracach dotychczas abstrakcyjnych zaczęły się pojawiać symbole New Age. Kolejnym etapem były tworzone przez Ziewego w programach do grafiki 3D próby wizualizacji dzieł Maxa Eschera oraz Salvadora Dalego. Projekty te szybko zostały zauważone przez wydawców. Wraz ze wzrostem liczby zamówień stopniowo ewoluowała też tematyka prac Ziewego.

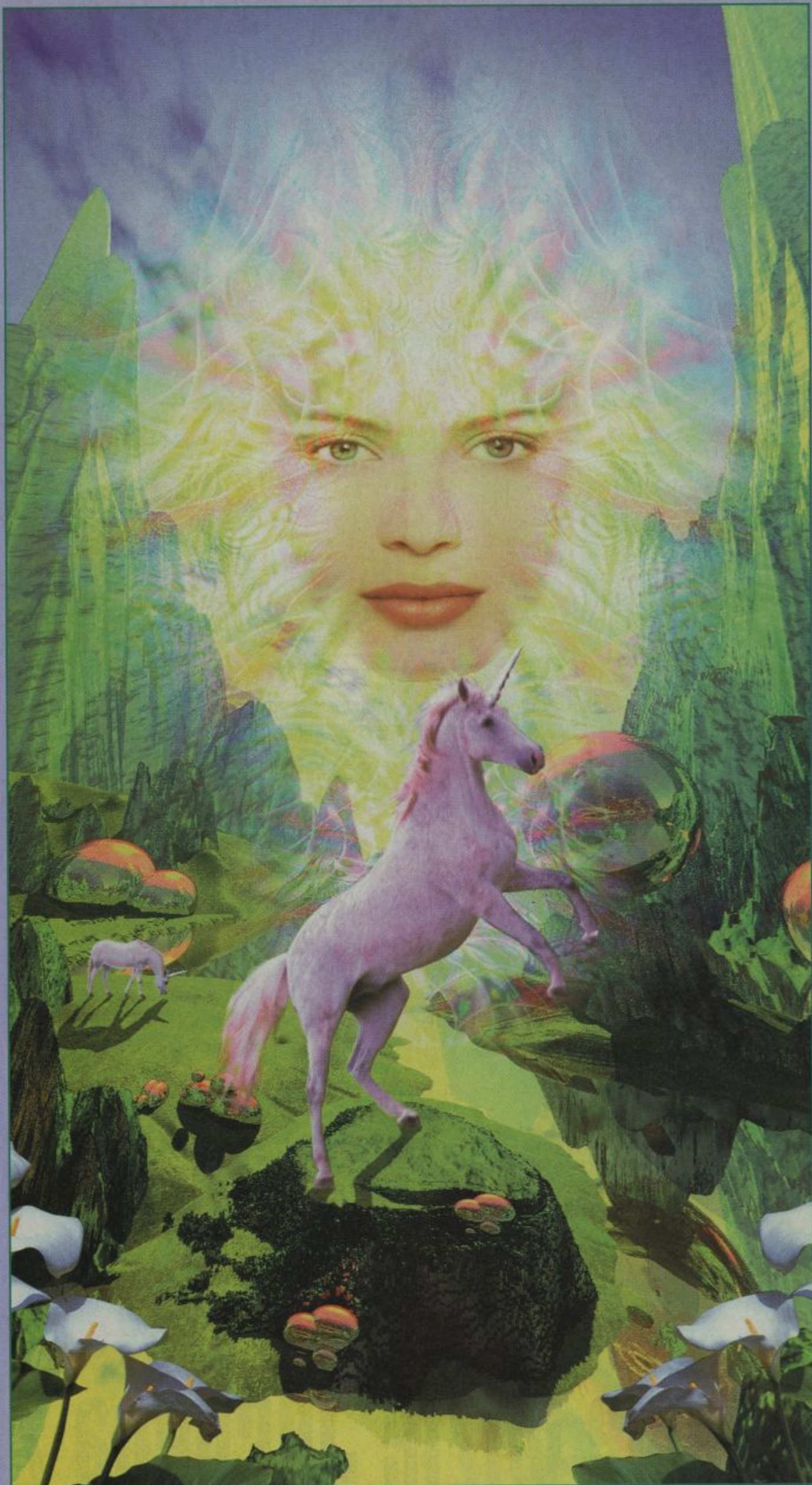
Nowe wizje Jürgena Ziewego

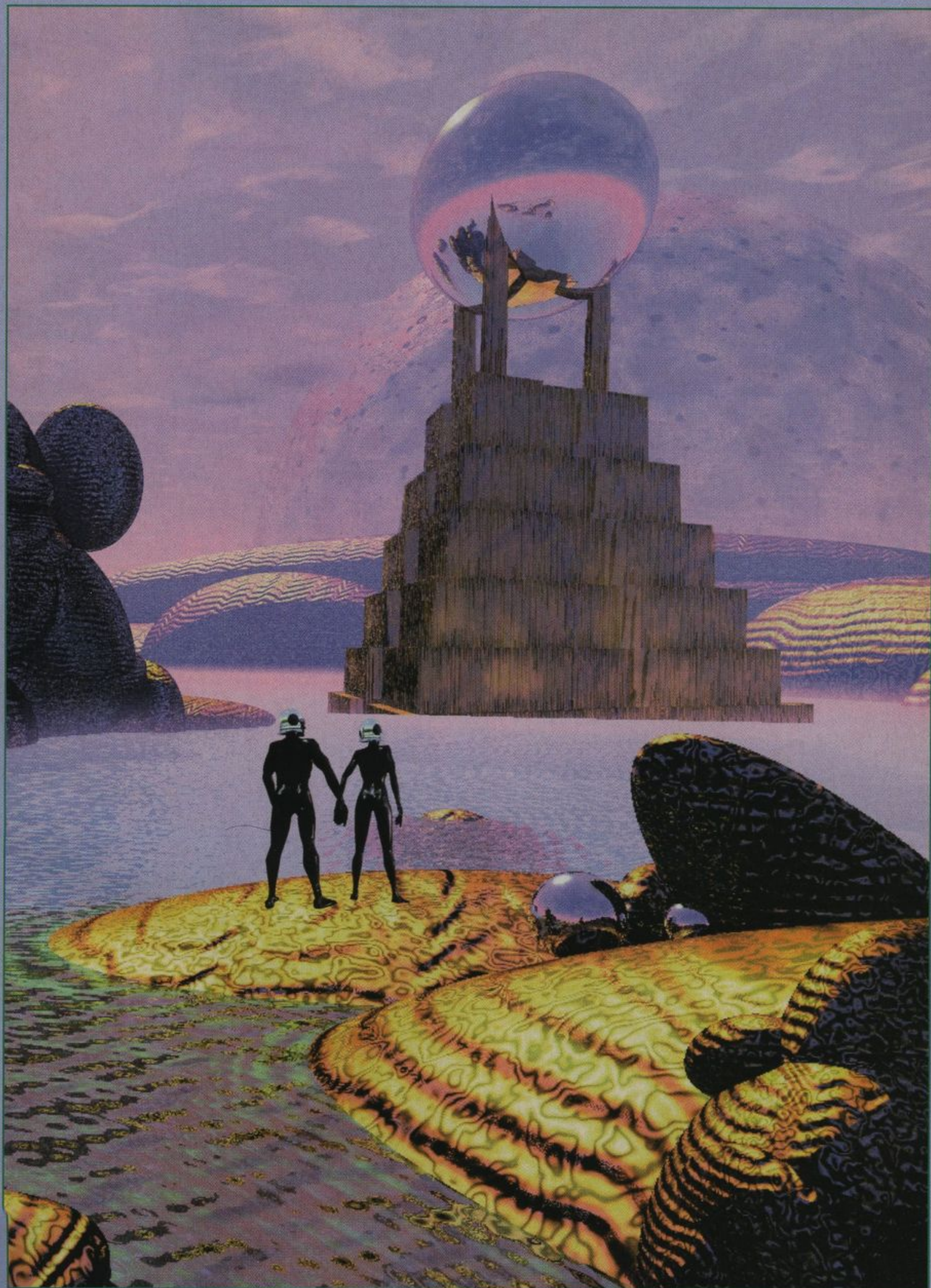
Coraz częściej zaczęły się pojawiać w nich tematy zaczerpnięte z SF i fantasy.

Klasyczne wykształcenie artystyczne, realistyczny styl – z jednej strony, z drugiej zaś narzędzie, którym się Jürgen Ziewe posługuje, oraz zamiłowanie do fraktali powodują, że jego prace są przychylnie przyjmowane zarówno przez miłośników fantastyki, jak i „sztuki komputerowej”.

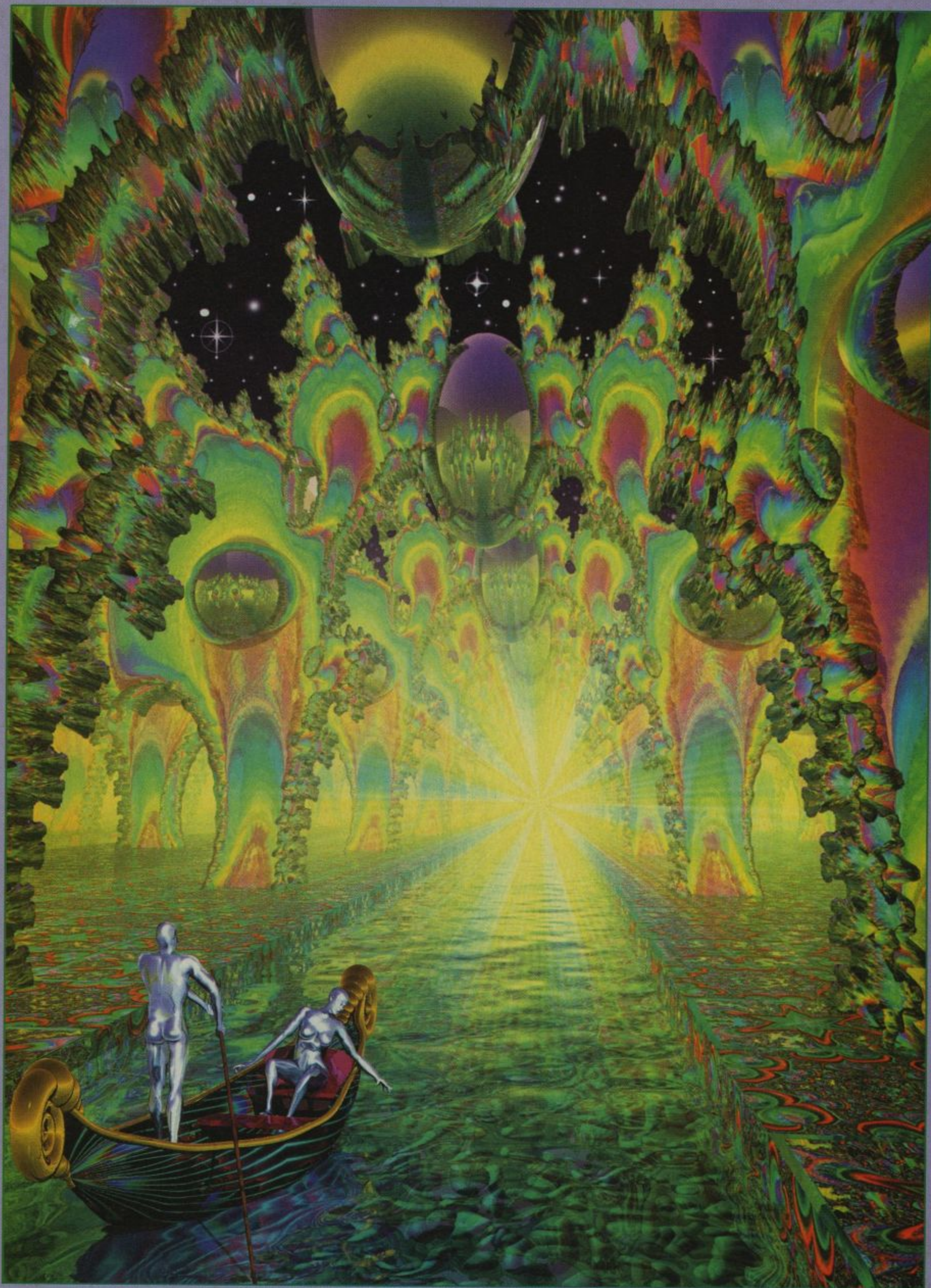
Przedstawione w GALERII ilustracje pochodzą z albumu wydanego przez Paper Tiger – „New Territories – The Computer Visions of Jürgen Ziewe” i obejmują dorobek artysty z lat 1992-1997. Nowych jego prac wypatrujcie na okładkach książek w księgarniach w Waszym ulubionym dziale.

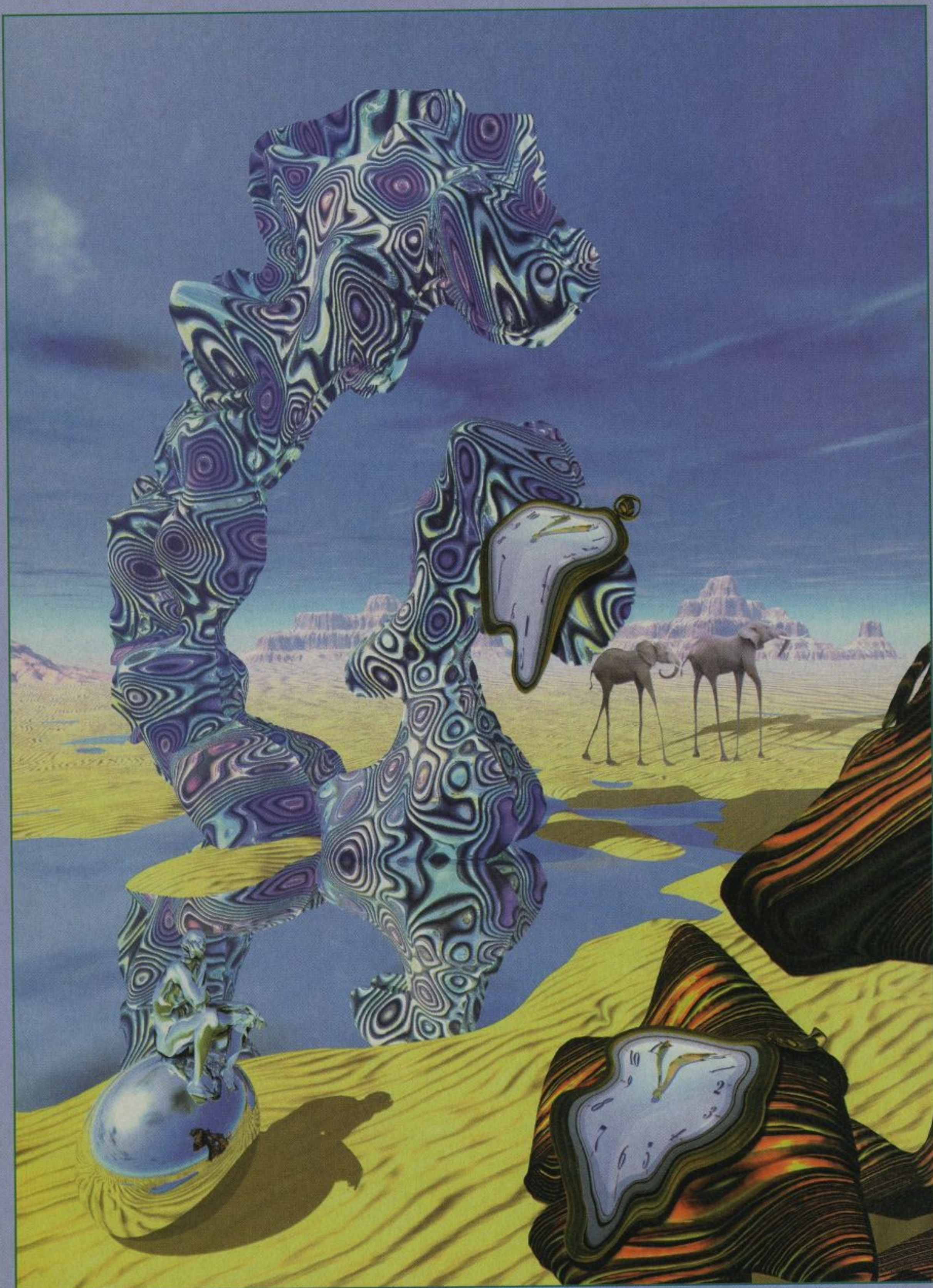
Andrzej Brzezicki















M A R C I N W O L S K I

Kwadratura trójkąta (1)

Marcin Wolski, znany poeta, radiowiec, autor telewizyjny, satyryk i fantasta, zaprasza do aluzyjnego barwnego świata powieści wymyślonej i sporządzonej w pierwszej wersji przed 11 laty. Rozpoznajemy w „Kwadraturze trójkąta” fabularny chwyt zastosowany już przez Wolskiego w radiowych i literackich „Antybaśniach” (1991). Leżąc w równoległej rzeczywistości Amiranda, z którą łączą nas czasowe kanały czy przebicia, także posłużyła autorowi do satyrycznych alterhistoriozoficznych eksperymentów i do snucia marzeń o wyzwoleniu świata.

W kilkanaście miesięcy po Okrągłym Stole, w maju '90, zastanawialiśmy się w doborowym gronie (Jęczynek, Hollanek, Wnuk-Lipiński, Oramus, Inglot, Malinowska, Parowski) nad statusem fantastyki w sytuacji odzyskanej wolności. Powiedział wtedy Wolski o swej „Kwadraturze...” i o roli gatunku, co następuje: *Fantastyka umożliwia stawianie bohaterów w tak ekstremalnych sytuacjach, daje takie stężenie zdarzeń, że dla autora, który nie ma temperamentu małego realisty, wydaje się wyjściem jedynym. Metoda daje bowiem nie tylko możliwość wykonania kroku do przodu, ale i ukazania rzeczywistości modelowo i skonstruowania publicystycznego skrótu czy spięcia w życiu znacznie bardziej zaciemnionego. I to jest niezłe, co stwierdziłem po sobie, bo w nowej sytuacji, która rzeczywiście niesie nowe wyzwania, otar-*

łem się o pokusę, by w jednej z moich książek czekających na druk zamienić nazwy wymyślonych krain (Wandalia, Ekumena, Federacja) na ZSRR, USA, Chiny. Oczywiście, zrezygnowałem. To natychmiast przedstawiało być zabawne i jakoś tam uniwersalne, a stawało się nieścisłe i małostkowe. Tak więc metoda raczej uskrzydla niż ogranicza. („Na wirażu”, „NF” 4/90).

Dopiero szła do nas fala wywiedzionych bezpośrednio z rzeczywistości, ale w mniejszym stopniu politycznych, opowiadań i powieści Ziembkiewicza, Oramusa, Ingłota, Dukaja, Cyrana. Znacznie bliżsi byliśmy wówczas pomysłanych podobnie jak „Antybaśnie” i „Kwadratura...” poszukiwań Janusza A. Zajdla, zwłaszcza konspektów powieści „Macki” i „Residuum” („NF” 2/86). Dlatego we wspomnianej dyskusji konstatację Wolskiego wsparł Wnuk-Lipiński: *Przeżyłem podobną przygodę, ale w drugą stronę. Pierwsza wersja „Wiru pamięci” działa się w Warszawie w nieodległej przyszłości. Teraz ze zdumieniem stwierdzam – chyba dobrze się stało, że jednak ustąpiłem przed cenzurą wewnętrzną wydawnictwa, stwierdzającą jako warunek druku, by rzecz działa się na wyspie i nie było w książce żadnego polskiego nazwiska.*

Dziś książki socjologicznego nurtu aluzyjnego (np. wznowiony trójsięg Lipińskiego „Wir pamięci. Rozpad połowiczny. Mord założycielski”) spotykają się na ladach ze



POWIEŚĆ

współczesną fantastyką rzeczywistości. Na przykład z powieściami „Krawędź snu” czy „Według świętego Malachiasza” Marcina. Albo z fantazją historii-rzeczywistości, jak mamy w najnowszym „Psie w studni” tegoż Wolskiego. Jest w czym wybierać.

Zwracam uwagę na obszerny i zabawny słowniczek niezbędny do pełnego smakowania hybrydowego (antycznie-współczesnego) świata „Kwadratury...”. Ostatni odcinek powieści zamknijmy współczesnym już komentarzem autora.

(mp)



W wyniku wielowiekowego odosobnienia Innej ewolucja języka, mimo greckorzymskiej podstawy, przyniosła duże zmiany w stosunku do antycznych wzorów. Dlatego też słowniczek pomoże w pełniejszym zrozumieniu tekstu. Wenedyjskie odpowiedniki wyrazów greckich i łacińskich są przytoczone w wersji słowiańskiej, dopasowane do współczesnej polszczyzny, np. nie *zmglik*, lecz *zamglik* (jeden z jesiennych miesięcy).

SŁOWNICZEK

afegasta – funkcjonariusz zmotoryzowanej rezerwy straży wewnątrzakropolitarzowej w podziemnej Dolnej Akropolii. Afegaści poruszali się na wrotkach i byli używani do pacyfikowania wszelkich przejawów buntu. Również strażnik pogranicza

agricola – farmer, agricolia – farma

albana – bluzka, koszulka kobieca

ambrozion – smakołyk ekumeński

androzaury – inteligentne gady latające, pierwotni włodarze Innej

antykwitaci i voluminiści – sprzedawcy książek i handlarze starociami

Arbitriat – Trzecia Kontrolna Izba Parlamentu Federacji Archipelagiańskiej

archont – tytularny członek najwyższych władz Ekumeny, a zarazem jeden z kapłanów Arymana

armiony – rodzaj wonnych kwiatów charakterystycznych dla Florentyny; podobnie jak heliony, rosynie

Arymanteja – pełna nazwa: Zjednoczona Arymanteja Robotniczo-Chłopska – monopartia czcicieli szatana

as – drobna moneta metalowa na Archipelagu

astrinetki – małe wirujące gwiazdki (confetti)

augurzy – niżsi kapłani świątyni Arymana, zarazem funkcjonariusze Szarej Straży

aureus – dawna złota, ciężka moneta Archipelagu, odpowiadająca 0,5 ekumeńskiego talenta. Aktualnie używana jedynie jako jednostka obliczeniowa w eleganckich transakcjach, podobnie jak w Anglii gwinea

auriga – reprezentacyjny szofer, potocznie zawodowy kierowca

autodansbuda – lokal służący bezgotówkowej wymianie usług seksualnych

autorydwan – pędnik zdobny, którego pasażer (pasażerowie) poruszają się w pozycji pionowej

avion, hydravion – powietrzne pojazdy pasażerskie

avozaur – latający gad, najmniejsze avozurki miały wielkość gołębia; inne znane gady: tigrozaur, elefantozaur czy hippozaur (używany jako zwierzę pociągowe)

balisty – rakiety międzykontynentalne

Bardosa skala temperatury – stosowana od

XIV w., temperatura wrzenia 1000 stopni, marznięcia 0

basileus – w Ekumenie król lub dożywotni wódz dysponujący również władzą religijną

bożydar – trzynasty miesiąc (święteczny) na Innej według terminologii słowiańskiej (inne: śniegul, zmieniec, siejbak, zamglik, zeniec, owocniak)

bullla – uroczyste pismo dyplomatyczne

campanilla – początkowo dzwonnica, później wieża i wieżowiec

caldarium, frigidarium, sudarium – gorące, zimne i wypoczynkowe pomieszczenia w termach

carcer – areszt

casetta – apartament, mieszkanko

caupona – zajazd, tanie hostellum z popiną

caverna – piwnica (latynizm przyjęty przez Greków) – izba mieszkalna wyrąbana w skale, w niższych poziomach mieszkalnych dolnych miast

celmierz (zwykle z **optykalem**) – broń strzelca wyborowego

cenacula – wielofunkcyjna izba mieszkalna

chiton – koszulobluzka używana przez biedniejsze warstwy Ekumeny; również koszulka kuloodporna

chlamida – szata wierzchnia, tylko z nazwy przypominająca strój antyczny

cingulum – pas, pasek

cognomiak – przezwisko, ksywa

complementarka – rodzaj wielofunkcyjnej pomocy biurowej będącej zarazem damą do towarzystwa. Warto tu wspomnieć o specyfice obyczajowej Innej, na której przykazanie „nie cudzołóż” dotyczy wyłącznie wierności małżeńskiej, zresztą przysięga ta może być łamana za obopólną zgodą małżonków

consulantor – sekretarz, doradca

correspondansi, mediaferranci – dziennikarze, reporterzy

corridor – korytarz wewnątrz budynku

cubiculum – apartament hostelowy, również wynajęty lokal mieszkalny

curatrona – pielęgniarka

delator – płatny donosiciel w Ekumenie

demos – lud, Zgromadzenie Demosu, fasadowa izba ludowa w Ekumenie wyłaniana przez losowanie (oczywiście bez żadnego elementu przypadkowego)

deviantissimusi, fabulanci – chorzy umysłowo, często na tle politycznym

diecezje – samodzielne, składowe części Federacji Archipelagiańskiej, wyspy lub grupy wysp (Zefiria, Orelia, Equatoria, Istria, Nowa Istria, Superiora, Minoryty itp.)

dionision, appolion, galerietka, olimpion, rakieta, dianka itp. – marki pędników, drogowych środków komunikacyjnych

dormitorium – sypialnia

drakonia – drzewo smocze, rodzaj rośliny o grubym pniu i płomykowatych listkowatych liściach

dwukół – pojazd niezwykle podobny do roweru

edylat – niższy, od dawna czysto tytularny urząd państwowy w Federacji

efet – (efeci, tesmoteci) – obrońcy i sędziowie w Ekumenie. W istocie bierne narzędzia reżimu

eforia – Szara Straż, tajna policja Arymana kierowana przez eforów

electorius – członek sztabu wyborczego, lobbysta

extraordynariat – eufemistyczna nazwa służb specjalnych

fakcje – partie polityczne wywodzące się ze starożytnych bractw sportowych przypisane zarazem tradycyjnie określonym grupom kibiców ze stadionów i hippodromów, o ogromnym poczuciu wspólnoty („Niebiescy”, „Pomarańczowi”)

fakcjony – lokale partyjne, często łączone z termami

falangierki – członkinie ochrony osobistej hierarchów ekumeńskich

Federacyjne Oficjum Inwigilacyjne (FOI) – Służba Bezpieczeństwa i Ochrony Federacji, również o uprawnieniach kontrwywiadowczych

Florentyna – miasto położone na Florentynie, w meandrach rzeki Zielonej; stolica Federacji Archipelagiańskiej

floria – florentynka, silny napój stymulujący, produkowany z kwiatów

fluviary – drogi na tarasach nadrzecznych

fonik, fonikon (sam aparat) – środek łączności dźwiękowej. Składał się zazwyczaj z **mównika i słuszka**.

fonokubik – budka telefoniczna

fonopędnik – radiotaxi

forminga – instrument strunowy z elektronicznym wspomaganie, ale o dźwięku łagodnym

gimnazjon – szkoła średnia o zindywidualizowanym trybie nauczania, polegającym na stałym i bezpośrednim kontakcie uczniów z pedagogami

ginna – średnio mocny narkotyk przeznaczony do żucia

gipiejony – platformy obrotowe z rzeźbami i żywymi piramidami z ludzi

głuszczyk – mały, domowy stekowiec wielkości świnki morskiej

herculion – pędnik ciężarowy

heruspicy – zawodowi przepowiadacze przyszłości

heterarka – skrzyżowanie sekretarki z damą do towarzystwa w Ekumenie; por. **complementarka** w Federacji

hierarcha – nieoficjalna nazwa członków kierownictwa Arymantei

himation – rodzaj płaszcza

hiperiozaur (imperiozaur) – największy, już wymarły gad z Innej

hoplici – żołnierze sił specjalnych w Ekumenie

hora – krótsza doba na Innej składała się z 10 hor (**prima, sekunda, tercja...**)

hostel (gostnica), hostellum – dom noclegowy

hulajdeski – płaskie pojazdy wykonywane domowym sposobem

impluvium – basen, najczęściej odkryty

insula – kamienica wielorodzinna



itineria – piesza promenada, aleja
iudex elementaris – sędzia wstępny
Koine – wspólnota (w przenośni stara Ziemia)
komicje wyborcze – pośrednie zebranie elektorów w diecezjach Federacji, wyłaniane przez określone warstwy (**tribus**) społeczne, z zachowaniem zasady, że w zależności od poziomu wykształcenia i rangi społecznej wyborcy dysponują w głosowaniu od jednego do pięciu głosami. Ongiś rodowe, później cenzusowe, wreszcie terytorialne
króciak – ręczna, pneumatyczna broń osobista
Kuria Maxima – Senat. Wyższa Izba Ciała Ustawodawczego Federacji. Kurie – nazwa rad wszelkiego szczebla
lavatornia – łazienka
lazareum – szpital
legatura – poselstwo, ambasada
libratorka – w hierarchii biurowej wyższy stopień od complementarki, charakteryzujący się większym zakresem samodzielności. Pożądane wyższe wykształcenie
librettka – panienka do towarzystwa
luposkop – przyrząd optyczny
luxpędnik – ekskluzywny nośnik bezspalinowy do poruszania się w podziemnych korytarzach ekumeńskich miast
macellum – targ, bazar
mandorla – owalna plakietka identyfikacyjna w Ekumenie
mapmensa – na statku stół do map lub ekran nawigacyjny
mecharyksza – pojazd Akropolijczyków domowej konstrukcji; symbol biedy i tandety
meniany, pergule – rodzaje balkonów, loggii i krytych tarasów charakterystyczne dla architektury ciepłych wysp Archipelagu
menscompter (myślak, zlicznik) – pospolite określenie maszyn liczących różnych generacji
mercatorium – duży dom handlowy w Archipelagu
mercurs – akwizytor, komiwojażer
milla – tysiąc **skoków**, miara długości (około 2000 metrów) równa sześciu ekumeńskim **stadionom** i czterem tysiącom **stóp**
miłośnienie – dokonywanie aktu seksualnego
moluscolog – specjalista od mięczaków
multin – odmiana niedużego **repetera**, samopowtarzalnej broni automatycznej, często na zatrute pociski igłowe
napar – gorący napój z kwiatów (**armionów**), lekko narkotyzowany
nerita – brunetka, **bionka** – blondynka
nomy – administracyjne okręgi w Ekumenie, kierowane przez nomarchę (część składowa satrapii)
nul – zero, na Innej oznaczane jako gwiazdka
obol – najniższa moneta w Ekumenie; najwyższa – **talent**
obraźnik, wizyjnik – urządzenia odbierające obraz i dźwięk

odos – w Ekumenie droga bądź podziemna aleja
oeconomicos – archont odpowiedzialny za gospodarkę ekumeńską
officium – urząd, biuro
offle – popularne placki
oleandriny, teobiscusy – krzewy ozdobne
oligarchat – naukowa nazwa systemu panującego w Ekumenie; zarazem określenie rady archontów (po wyjściu z użycia terminu Areopag)
omnivant – uniwersalny pojazd na wszystkie okazje
orbitowiec – pojazd pasażerski na orbicie około Innej
Ormuzd i Aryman (Bóg i Szatan) – również nazwa dwóch księżyków Innej
pacierz – 1/100 hory (godziny)
padlinogad – inna nazwa hienozaura
palestrony – kompleksy jurysdykcyjnopieniężne połączone ze szkołami retoryki i resocjalizacji
palla – płaszcz, **palia** – elegancki płaszcz, którego noszenie było przywilejem i symbolem władzy
panovid – ekran panoramiczny
parochie (parafie) – gminy, najniższe jednostki terytorialne w Archipelagu
pedagogiat (nonium) – półwyższe studia kształcenia nauczycieli pośredniej rangi
perystyl – w rezydencjach i budowlach reprezentacyjnych przeszklony hall centralny z wielką ilością światła i roślinności
piątnik – podoficer służb policyjnych (**vigilantów, viapretorianów**); oficer nosił miano **centuriona** (setnika), najniższy **podoficer** – vicepiątnik
pontifex – jeden z tytułów SuperNawigatora nawiązujący do rzymskiej tradycji budowniczego mostów
popina – knajpa, lokal z wyszynkiem
prefectissimus – najwyższy zwierzchnik tajnych służb
prędkochodnik – mechaniczne ciągi komunikacji poziomej w dolnych miastach Ekumeny
prętacz – wodna roślina, elastyczna trzcina zakończona barwnym pióropuszem
promenerzy – turyści
ProNavigator – wiceprzewodniczący Federacji, **SuperNavigator** – szef państwa, tytuł wywodzący się z epoki przejściowej. Oznaczał szefa flot paru wysp sprzymierzonych podczas wspólnej wyprawy
puellka – dziewczyna
quatrina – ćwiartka godziny (25 paciery)
repeter – broń automatyczna
roton – bojowy poduszkowiec
salvatoria – pogotowie ratunkowe
sekuryci – ochroniarze, również funkcjonariusze tajnych służb
sella – krzesło, także składane
separatorium – dawniej miejsce kontemplacji, obecnie w każdej autodansbudzie alkowa do konsumpcji doraźnej miłości
servici – służba
siccario – najemny zabójca
skoki (jeden **skok** – sześć **stóp**) – stara miara długości w Federacji

strateg – nazwa dowódców wojskowych w Ekumenie (13 rang)
strophium (strofium) – pas podtrzymujący biust
stymulanty (stymule) – narkotyki, najczęściej wchłaniane przez skórę za pomocą wcierania; zażywane również jako wabiki erotyczne. Istniały także w formie napojów (**floria**) i pastylek doustnych
symbolon – medalik magiczny używany również jako znak rozpoznawczy bractw i rodzin
szybkogon – opancerzony pędnik bojowy
ślizgopław (szybkopław) – rodzaj małej, szybkiej łódki pościgowej
taberny – sklepy, często z wyszynkiem
tablinum (cabinet) – gabinet, pokój do pracy
togant – gwarowe określenie dostojnika, wyższego urzędnika
tonser – w antyku wytworny fryzjer, później również pospolity golibroda
tribus – kiedyś szczep, później kasta, warstwa społeczna (patrz **fakcje**)
triclinum – jadalnia
trójczób (trójróg) – rodzaj sztywnej fryzury charakteryzującej strażników Arymana, a także kontestującej młodzieży w Federacji
trybunat – urząd łączący funkcję prokuratora, a zarazem strażnika praw obywatelskich
tumanant – człowiek znajdujący się pod wpływem silnej dawki środka stymulacyjnego
tuniza – koszula męska
viafasta – rodzaj autostrady
viapretorianin – policjant drogowy
vigilanci – strażnicy, funkcjonariusze straży miejskiej w odróżnieniu od ogólnopaństwowych pretorianów bądź sekurytów
vinissa – silny napój alkoholowy (ok. 50%)
viviarka – karetka, ambulans używany przez salvatorię
wirowiec, wiropłat – rodzaje nośników powietrznych
wrylec – uniwersalny pisak
wspólniak – komunalny środek komunikacji w Dolnej Akropolii, rodzaj wieloosobowej platformy na pedały
Wściekli (Agressores); (trynityści) – przeciwnicy oficjalnego kultu Jedyne Boga (unodeizmu); początkowo wyznawcy Trójcy Świętej. W XV w. czciciele triady ChaosBógSzatan
wtornica – drugi dzień tygodnia. Nazwy innych: poświatnik, trzeciak, czwartak, piątek, przedświąt, spoczynek
zimnica – rodzaj głębokiej piwnicy, w której mieszkańcy strefy równikowej, pozbawieni urządzeń klimatycznych, chronili się przed upałem
zwije – liście drakonii używane do żucia lub palenia

Słowniczek nie zawiera wyrazów, których używamy do dziś w znaczeniu pierwotnym, oraz terminów dostatecznie wytłumaczonych w tekście.



I NOC WYBORCZA

Pastylka stymulu przypominała w smaku stary rzemień wygarbowany na długo przed wojną herriańską. Stawiała jednak na nogi lepiej niż nocny zefir wiejący krytą terasą pełną kwitnących oleandrinów i teobiscusów.

Drobny mężczyzna w sztruksowej tunice, zdobnej edylskim meandrem łączywie zaczerpnął powietrza jak ryba rzucona na brzeg. Dochodziła quarta. Słaba poświata brzaśku wykrawała na horyzoncie kontury łagodnych wzniesień nazywanych Gajem Florentyńskim. Gwiazdy przybladły. Zapowiadał się piękny dzień. Ważny dzień.

Pod jaśniejącym niebem powoli wyłaniał się kamienny las campanilli i wież medialnych, majestatycznych kopuł kryjących mercatoria, otoczone przez bure gołoborza czteronastowiecznych czynszowych insul mieszkalnych. Bliżej hostelu zabudowa rozrzedzała się, a światła fluiarów tonęły w cienistych szpalerach drzew, by zniknąć zupełnie wśród parków i ogrodów. Miejscami tylko rozbłyskały podświetlone łuki wiodące do term i palestronów.

Hostel „Asilium IV” wzniesiono na wyspie, pośrodku rzeki Zielonej, na terenie dawnego gaju poświęconego Junonie. Dzięki kaprysowi architekta wyrastał samotnie pośród budowlanego plebsu i parkowych pawilonów, od wieków dających schronienie kupcom i nierządnicom. Mężczyzna popatrzył w dół. Na trójkątnym skwerze, z tyłu budynku, wśród zerwanych lampionów i tysięcy kolorowych ulotek i czapecek pracownice uwijały się śmieciarki. W głębi parku wokół bojowych rotonów kręcili się znudzeni vigilanci municypalni. Co jakiś czas spod frontowego portyku, gdzie kłębiły się tłumy mediaferrów i czuwali najzagorzalsi sympatycy faksji „Błękitnych”, a Quintusa Cedrusa w szczególności, napływały meldunki o nastroju spokoju, powagi i oczekiwania.

Na terasę wyszedł sekuryta o twardych rysach ochroniarza z wyboru, omiótł wzrokiem amatora świeżego powietrza, zatrzymując się na złotej plakietce identyfikacyjnej „Marek Ursin – consulantor”. Jego dłoń wykonała gest mogący uchodzić za tradycyjne pozdrowienie, a także zastępować zwrot „Spieprzaj stąd, mały, ale już”. Ursin jednak odpowiedział mu tylko uśmiechem. Po czym ruszył w głąb wielkim corridorem. Mijając cubiculę nr 1010 nie odmówił sobie przyjemności zajrzenia do luksusowego wnętrza. Zresztą drzwi były uchylone. Octavia spała. Jasne włosy, rozsypane na poduszce, tworzyły wokół jej głowy świetlisty krąg, a rozchylone usta i długie rzęsy nadawały jej twarzy ów fascynujący wyraz zdziwienia przypominający obrazy ultimiańskich mistrzów ubiegłego stulecia.

Stojąc w smudze światła Marek krótką chwilę wpatrywał się w uśpioną. „Zabrałeś mi ją, Jedyny, zabierz i grzeszne pragnienie” – szepnął bezgłośnie. I wyszedł.

Zaraz za zakrętem niedoświetlonego, wybitego skórą korytarza pęcherzyk ciszy prysnął gwałtownie. Jeszcze parę schodków i consulantor znalazł się na górnej galerii wielokondygnacyjnego perystylu. Okoliczne sale relaksowe tonące w roślinności, zamienione w pomieszczenie sztabowe, wypełniała nadzwyczajna krzątanka. Stukały menscomperty, brzęczały łączniki międzyprowincjonalne.

Całą północną ścianę zajmował ogromny panovid prezentujący świetlistą mapę Innej. W każdej chwili można było rozróżnić seledyn Zewnętrzny i Wewnętrzny Ocean, amarant gigantycznej Ekumeny oraz intensywny cynober Wandalii. Wzrok przykuwał jednak Archipelag, płonący setkami światełek, ruchliwych, pulsujących, zmiennych. Na każdej z wysp metropolitalnych Federacji rozciągających się po obu stronach równika aż ku zimnym dystryktom Południowego Ładolodu błyskały w trzech rzędach cy-

ferki zmieniające się w miarę napływu wyników. Na samym szczycie panovida w lewym górnym rogu wyświetlał się aktualny bilans – sumy głosów oddane na jedno z trzech nazwisk:

LONGINUS, HERDATUS, CEDRUS

Ursin poszukał wzrokiem patrona. Nigdzie nie dostrzegł charakterystycznej sylwetki Quintusa Cedrusa. Jak z podziemi wyrósł natomiast niezmordowany szef sztabu wyborczego – electorius Rufo Ruffix, ryży, o włosach barbarzyńsko skręconych i tubalnym głosie parweniusza...

– Gdzie się podziewałeś? – szepnął na Marka. – Quintus cię szuka.

– Gdzie jest?

– We frigidarium, szlifuje wystąpienie, jesteś mu potrzebny. Aha, mamy już wyniki z Nowej Istrii.

– Przegraliśmy?

– Tak, ale zaledwie trzema tysiącami głosów. To i tak dobrze. Jeszcze wczoraj w sondażach dawano tam Herdatuso- wi przewagę dwustu tysięcy.

– A ten skurwiel Longinus?

– Jeśli nie zgarnie pięciu milionów z Ultimy, wypada z gry.

Marek pośpieszył za nim do frigidarium. Orzeźwiony Cedrus wychodził właśnie z zimnego impluvium. Szczupły, muskularny, jasnowłosy i chłopiący – ot, młody bóg – ideał wyspiarskiego stylu życia. Mimo nieprzespanej nocy promieniał żywotnością i energią. Z jego niebieskich oczu emanowała inteligencja i pewność siebie. Nawet rywale przyznawali, że Quintus jest bardzo przystojnym mężczyzną. Klasycznych rysów nie mogła oszpecić nawet głęboka szrama na czole.

Dwie najwyraźniej podniecone complementarki zbliżyły się z ręcznikami, ale on ignorował je niczym Jupiter poślednie nimfy.

– Słuchaj, czegoś nie rozumiem – mruknął do Ursina. – Co mi tu napisali o fletni Arfusa... O co w tym chodzi?

Consulantor zmieszał się. Bajka o fałszywym fleciście uwodzącym swą grą zbójców należała do kanonu powiastek dla dzieci. Jak można było jej nie znać?

– Może to rzeczywiście zbyt górnolotne sformułowanie – mruknął.

Od strony caldarium zbliżył się osobnik przypominający rozmiarami mitycznego giganta.

– Założyłem się o 5 aureusów, że szef wygra na Ultimie – rzekł – a wiadomości ciągle nie ma, chociaż Ultima już dawno powinna nadawać wyniki.

– Mamy drobne uszkodzenia na łączach, Druzzusie – powiedział z wyraźną niechęcią Ruffix.

– A Zefiria? – zapytał Marek Ursin.

– Nie chcę zapeszyć... Ale zaraz, już mamy Orelię. Na mękę Syna! Niedobrze.

Na przenośnym wyświetlaczu pojawił się kontur Orelii przypominającej rozkraczanego avozaura i rzędy cyfr. Herdatus: 111 678, Longinus: 77 534, Cedrus: 21 213.

– To niemożliwe – jęknął mały consulantor – przecież wszystkie sondaże...

Jednak po chwili cyferki przeskoczyły do przodu i za trójką pojawił się jeszcze znak nul. Łaziebnice zaklaskały, Ursin zacisnął dłonie. Tylko nie zapeszyć! Zwycięstwo w Orelii było przewidywane właśnie w takich proporcjach.

– Wszystko za mało, na cierń z korony! Mało! – marudził Druzzus. Jak każdy eks-sportowiec lubił sytuacje stuprocentowe.

Informacje z Zefirii nie zmieniły dotychczasowej kolejności. Wciąż prowadził Herdatus, na którego dotąd oddało



swe głosy 42 550 333 mieszkańców Archipelagu. Longinus wprawdzie wystartował świetnie, wygrywając pewnie w stołecznej Florentynie, teraz jednak zajmował dopiero trzecie miejsce z wynikiem ledwie trzydziestu dziewięciu milionów. Natomiast Cedrusowi do zwycięstwa nad głównym rywalem brakowało co najmniej ćwierć miliona głosów. Przesądzić miało społeczeństwo Ultimy. Olbrzymiej, żyznej wyspy, prawie kontynentu, z blisko czternastoma milionami wyborców. Szanse Longinusa oceniano tam jako średnie. Sam przed półgodziną poinformował rywali, że w przypadku porażki przekaze całość swojego elektoratu zwycięzcy, zadowolając się funkcją ProNavigatora. Podobna procedura była zresztą przyjęta od lat.

Czas płynął. Na dolnym patio narastały emocje. Szczególnie podniecenie wykazywali młodzi aktywiści Błękitnych, dla których Quintus Cedrus uosabiał nadzieję. „3 razy P” – głosiło jego naczelne hasło wyborcze: postęp, porozumienie, pokój. Konserwatysta Herdatus apelujący do tradycyjnych wartości Archipelagu nie ukrywał konfrontacyjnych zamierzeń: „Żadnych paktów z Ekumena, żadnego jednostronnego rozbrojenia. Stanowimy ostatnią linię oporu cywilizacji przed despotyzmem. Zniesienie obowiązkowej służby w legionach byłoby samobójstwem”. Czyżby ten program miał wygrać?

Tymczasem cały panovid wypełniła twarz podnieconego sprawozdawcy:

– Wszystko wskazuje, że rywale idą łeb w łeb – wołał. – Na Ultimie spływają dane z ostatnich parochii, ale... – tu fala magnetycznych zakłóceń przerwała przekaz.

Wzrok zgromadzonych pobiegł ku mapie. Cyferki wyświetlane w centralnym punkcie Ultimy przesłuchiwały jak szalone. Różnica między głosami stronników „Niebieskich” (Cedrus) i „Żółtych” (Herdatus) wahała się między czterystu a sześciuset tysiącami. Przy czym dystans ciągle się zmniejszał. Jednak w zacofanych rejonach górskich szanse Cedrusa fachowcy oceniali jako małe. Ursin dostrzegł, że jego szef ociera pot z czoła. Nie zauważył, kiedy weszła Octavia. Była już ubrana. Zaciskała dłonie tak kurczowo, że aż pobielały jej palce.

330 tysięcy głosów różnicy, 319, 215, 185, 147, znów 152. Teraz wszyscy wpatrywali się wyłącznie w punkt ekranu, gdzie licznik wyświetlał różnicę. W napiętej ciszy słychać było już tylko warkot wentylatorów. I naraz rozległ się wysoki dźwięk obwieszczający zakończenie głosowania. Ursin podniósł głowę. Cyfry znieruchomiały:

Cedrus 48 013 122

Herdatus 47 988 125

Longinus 43 005 011

Raptowna wrzawa, oklaski, wiwaty. Ave, Cedrus! Quintus szybkim krokiem wyszedł z term na galerię obiegającą patio. Wszystko pulsowało wokół niego, a on doszedł do barierki obejmując Octavię. Ruffix, Ursin i Druzzus stanęli nieco z tyłu... Stało się! Został trzydziestym drugim Super-Navigatorem Archipelagu, Pierwszym Konsulem, Wielkim Pontifexem, Szefem Legionów i Czterech Flot. Demokratycznym Zwierzchnikiem Federacji.

O 4.25, siódmego zęńca, Roku Pańskiego 1504 tłum gęsty jak zupa ultimijaska wypełnił cały kryty wirydarz „Asilium IV”. Kwietne stroje krajowych mediaferrów mieszały się z nakrochmalonymi togami Wandalijszczyków i prząsnymi uniformami correspondansów z Ekumeny. Ruffix uwijał się w tej ciżbie jak pracowita pszczoła. Przesuwał, ustawiał, ugniatając tłum niczym ciasto. Ursin z za-

zdrością obserwował kolegę, usiłując dojść, skąd rudzielec znajdował w sobie tyle sił, inwencji. Pracowali równo, Marek był jednak tak zmęczony, że litery gratulacyjnej bulli od przegranego Longinusa skakały mu przed oczami, natomiast Ruffix wyglądał, jakby właśnie wrócił z dwutygodniowych wczasów w Zefirii. Wytrzymałość barbarzyńskiego materiału? Działanie jakichś nieznanых specyfików? Consulantor mimo zażycia pastylki stymulującej rozpaczliwie walczył z sennością. Naraz Druzzus odwołał go na bok.

– Mamy incydent! Są ranni.

Marek czuje, jak cała senność pryska zmieciona falą gniewu. Tylko tego im brakowało! Czy rzeczywiście zaangażowanie na szefa ochrony, wbrew Ruffixowi, eks-mistrza Federacji w atletyce klasycznej było najszcześniejszym posunięciem?! Pyta o szczegóły. Naturalnie, „Wściekli”! Mimo ścisłej kontroli grupka „Agressores” przedarła się przed hostel i usiłowała podpalić pojazdy... Oczywiście „Wściekli” są zawsze przeciw wszystkim i wszystkiemu. Gdyby wygrał Herdatus lub Longinus, teraz zapewne atakowaliby ich kwatery.

– Czy ktoś zginął? – niepokoi się Ursin.

– Skończyło się na skaleczeniach, dwóch zabrała salvatoria. Ważne, że naszym chłopakom udało się zatrzymać najagresywniejszego z napastników, niejakiego Nerensa. Piątnik myślał o przekazaniu napastnika w ręce vigilantów, ale gość zaczął gadać takie głupoty, że pomyślałem o tobie.

– Jakie głupoty?

– Że celowo dołączył do napastników tylko po to, aby trafić w nasze ręce. Chce osobiście przekazać coś Cedrusowi.

– Wymienił jakieś konkrety?

– Chce rozmawiać wyłącznie z Quintusem. „Jak nie – wrzeszczał – to pogadam z pismakami, a wtedy cały Archipelag się zatrzęsie”. – Powiadomisz szefa?

– Najpierw sam pomówię z tym ptaszkiem. Po konferencji. Pilnujcie go dobrze.

– Jest na trzynastym, żadnego styku z postronnymi, poza tym jest zdrowo nabuzowany stymulami, posiedzi trochę, to skruszeje.

Druzzus oddała się swym charakterystycznym, lekko kołyszącym się krokiem morskiego wilka. Ursin wraca na salę. Wcale mu się nie uśmiecha przesłuchiwanie intruza. Na co dzień dość miał najróżniejszych deviantissimów i fabulantów usiłujących dopchać się do Cedrusa. A jeszcze „Agressores”. Już czwarty z kolei WielkiNavigator będzie miał kłopoty z „Wściekłymi”. Na szczęście grupki tych nawiedzenców, tyle hałaśliwe co rozproszone, z absurdalnymi egalitarnymi hasłami i egzotycznymi doktrynami religijnymi nie znajdowały większego posłuchu w społeczeństwie dobrobytu. Przy stałych postępach relatywizmu i konsumpcjonizmu kogo tak naprawdę interesowały spory Trynitatyistów i Unodeistów? Jak mawiał Klaudiusz Settens, „Co nas obchodzi, czy Bóg jest Jednym w Trzech Osobach, czy Trójką stanowiącą Kolektywne Kierownictwo, skoro naukowo udowodniono, że go nie ma”.

Z drugiej strony dość było wskazówek, że cała trynitatystyczna ideologia „Agressores” stanowi jedynie przykrywkę dla dywersyjnej roboty gerontokratów z Ekumeny. Przy zrównoważonych od blisko pół wieku siłach nuklearnych Ekumeny, Archipelagu i Wandalii, zdolnych po wielokroć zniszczyć się nawzajem, konflikt o hegemonię na Innej musiał z konieczności ograniczać się do działalności dywersyjnej i zmagania służb ekstraordynaryjnych. I tu głodna, ale hermetycznie zamknięta Ekumena miała znacznie większe możliwości rozgrywki z otwartym i sytym Archipelagiem. A szło ku jeszcze większej otwartości. Społeczeństwo Federacji wybrało nie twardego Herdatusa



czy pragmatycznego Longinusa od lat walczącego w Kurii o środki na obronę, a pięknego jak auriga rydwanu z reklamy stymulów Cedrusa.

– Jak w dniu elekcji zapatruje się Ekscelencja na stosunki z imperium Ekumeny? – padło nagle pytanie correspondansa „Poranka Akropolii”. Ursin, który zna swego szefa lepiej niż niejedna libratorka, zauważyła to drgnięcie grdyki i minimalny błysk w oku.

– Decydując się na kontynuowanie naszej długoletniej strategii równowagi uczynię wszystko, aby zmniejszać dzielące nas nieufności, zbliżać oba narody, tak aby zachowując swą tożsamość, stawały się bardziej otwartymi na moralne i kulturowe wartości partnera.

– Pan wierzy w taką możliwość?! – przerywa legat Florentyńskiego „Wieńca”. – Wierzy pan w koegzystencję nas, wyznawców Jedyne, z tymi aliantami szatana?

– Przepraszam – correspondans ekumeński zrywa się z miejsca – ale to my jesteśmy wyznawcami prawdziwego Boga...

Narasta tumult. Zdezorientowany Cedrus milczy. Błyskawicznie reaguje natomiast Ruffix przeraźliwie dmąc w gwizdek. Nieszablony pomysł skutkuje. Emocje cichną. A Quintus odpowiada okrągłymi zdaniami, tak by i Archipelag był zadowolony, i Ekumena cała.

– Mam pytanie – zwraca się niesłychanie spokojnie przedstawiciel agencji „Nowa Wandalia”. – Trochę prywatne. Nie wszystko da się wyczytać z oficjalnych życiorysów. Kiedy Ekscelencja wpadł po raz pierwszy na pomysł zostania Generalnym Navigatorem Federacji?

Ursin uśmiecha się – zna doskonale odpowiedź szefa. „Półtora roku temu Kierownictwa Fakcji Błękitnych z Orelii, Nowej Istrii i Superiori zwróciły się do mnie z propozycją kandydowania...”

Tymczasem przy wejściu znów pojawia się Druzzus, gestami przywołując Marka.

Ten przeciska się przez tłum rejestrując jeszcze, że elekt recytuje ustaloną formułę po dłuższej, niepotrzebnej pauzie.

– Ten Narens dostał szału – szeptem ochroniarz. – Moi ludzie chcieli mu dać coś do picia, ale zaczął krzyczeć, że nie da się sprzątnąć, że musi koniecznie, natychmiast spotkać się z Cedrussem. Pytam, o co chodzi. Ale nawymyślał mi tylko od wynajętych goryli. „Ja – wołał – wychodzę z siebie, udaję deviantisimussa, aby do was dotrzeć i ostrzec Navigatora, a wy mnie potrafcie tylko zamknąć. Muszę się z nim widzieć, i to przed inauguracją, bo inaczej pokażę mediom moje notatki, a jego nic nie uratuje”. Zaproponowałem, aby sprawę przekazał na piśmie, no to jak nie wybuchnie: „Jakie mam gwarancje, że i ty nie jesteś w spisku?”

– Jesteś pewien, że użył słowa spisek? – pionowa zmarszczka przekreśla czoło Ursina.

– Niczego nie jestem już pewien. Uspokoił się trochę, jak przypaliłem mu zwija i obiecałem, że pogada z nim osobisty sekretarz Quintusa. Obiecałem, że będziemy za kwadrans.

Poczynając od szóstego poziomu hostel pogrążony był we śnie. Na opustoszałych galeriach nie uświadczyłbyś żywej duszy. Wartownik przed drzwiami apartamentu 1311 zdążył już zasnąć. Druzzus potrząsnął nim i kazał otworzyć. Wchodzących uderzył podmuch porannego powietrza. Na wprost wejścia znajdowało się szeroko otwarte okno. Żaluzje podciągnięto. Poza tym dormitorium i pokój kąpielowy świeciły pustką. Przy wilgotnej wannie leżała przepecona tunika Narensa i kłęb ręczników. Druzzus zaglądał do szaf, Marek tymczasem dopadł framugi okiennej. Sześć kondygnacji niżej, na terasie do gry w piłkę, pokrywającym por-

tyk konferencyjny, w płytkim impluvium służącym umywalni nóg czerniało nagie ciało z rozkrzyżowanymi kończynami.

– Zaiste dziwny sposób ucieczki, wziął kąpiel i wyskoczył na tamten świat? – zastanawiał się. – Na pewno nic nie słyszałeś, Gando? Wchodził tu ktoś? – zwrócił się do strażnika. Ten ciągle półprzytomny pokręcił głową.

– A dokąd prowadzi to przejście? – Ursin wskazał drzwiczki po lewej stronie.

– Do bieliźniarki, ale zamknęliśmy je.

Marek przekręcił klamkę, drzwi ustąpiły. Otwarte okazało się również następne przejście prowadzące na służbową galerię i do wind gospodarczych.

– Co o tym myślisz? – spytał Ursin.

– Facet wziął kąpiel i to w połączeniu ze stymulantami sprawiło, że do reszty pokiełbało mu się w głowie, no i...

– Jesteś pewien?

– Niczego nie jestem pewien, zanim nie zbadam wszystkich aspektów sprawy. Gando, wezwij moich ludzi, dyskretnie. Niech dottor Darni zobaczy zwłoki, zdejmijcie odciski z klamek i framugi okna. Dowiedz się też – wskazał maleńkie oczko przy górnej listwie – czy obraz z tego pokoju był rejestrowany...

Ursin przeszedł się po pokoju, zajrzał do szuflad, przetrasnął ciuchy Narensa.

– Szukasz czegoś? – spytał Druzzus.

– Mówiłeś o jakichś papierach...

– Tak, kiedy klepał się po piersi, słyszałem ich szelest... Ale obawiam się, że je spalił. Widzisz ten popiół na popielniczce... – Urwał. – Tylko jak to zrobił? Przetrasnąłmy jego ubranie, wiemy, że nie miał przy sobie żadnej zapalarki. Chyba że ją połknął...

Również z zakończeniem konferencji słońce zajrzało w okna cubikulów „Asilium IV”. Prowadząc elekta i jego małżonkę do sypialni Ursin zastanawiał się, czy powiedzieć o wypadku? Postanowił jednak nie psuć im nastroju w tym podniosłym dniu. Ruffix i przybyli pretorianie zaprotokołowali incydent jako samobójstwo, a Marek o niczym innym nie marzył bardziej niż o śnie: „Łódeczko, łódeczko, łódeczko” – szeptały wszystkie komórki jego ciała. Ale jak na złość Morfeusz nie kwapił się z nadejściem.

– To ze zmęczenia – mruzczał do siebie consulantor. – Najważniejsze, że mamy sukces. Chociaż, jak miało go nie być. Quintus zawsze był dzieckiem szczęścia. Nawet jeśli od bardzo dawna był sierotą.

II CEDRUS SZCZĘŚCIARZ

Trzeci zmieńca Anno Domini 1482 przypadał w spoczynek, jak ze świecka nazywano Dzień Pański. Wiosna tego roku na chłodnej wystawionej na borealne podmuchy Nowej Istrii spóźniała się, a w Góry Gadzie chyba w ogóle nie miała zamiaru zawitać. Szczęściem dzięki ocieplanemu wnętrzu pędnika viapretorianie, dyżurujący opodał krzyżówki dróg w Kanionie Wielkich Nietoperzy, nie mogli uskarżać się na warunki klimatyczne. Najwyżej na nudę. Szef dwuosobowego patrolu Balbo był już mocno zaawansowanym w latach vicepiątnikiem. Roku ledwie brakowało mu do statusu weterana, wyglądał jednak dużo poważniej. Ponoć zapytany przez wizytującego te górskie rejony prowincjała o wiek, odpowiedział rezolutnie: „Mam tyle, na ile wyglądam”.

– Wykluczone, tak długo ludzie nie żyją – skomentował dygnitarz.

Tego dnia jednak Balbo nie miał ochoty na żarty. Bezustannie mżyło, z rzadka tylko poryw wiatru przeganiał

chmury, wydobywając ze strug deszczu poszarpane piargi i przepaściste zleby. Miejsce, w którym vicepiątnik zwykł zasadać się na amatorów straceńczej jazdy, cieszyło się złą sławą. Dopiero wzniesiona parę lat później viafasta miała zastąpić krętą drogę skalną półką. Malowniczą w dzień słoneczny, kiedy na zboczach kanionu można było spotkać wygrzewające się wielkie ślamazarne elefantozaury, i diablo niebezpieczną o takiej porze jak ta. Jak na „spoczynek” ruch był słaby. Do południa ukarał jedynie parkę smarkaczy, którzy całując się jak opętani omal nie wypadli z drogi. O 12.25 dowódca ożywił się, szarpnął wtulonego w siedzenie pomocnika.

– Popatrz! Olimpion senatora!

– Też powód, żeby mnie budzić. Widziałem już go parę razy. Za wodospadem mają taaką rezydencję... – ziewnął widząc, jak złocisty pojazd znika za zakrętem. – Faktycznie wspaniała maszyna. Kilka tysięcy aureusów jak nic...

– Tak, ale żebyś zobaczył pasażerów. Czarny auriga w liberii. Żona w kapeluszu większym niż patelnia. Synowie jak z reklamy środków odżywczych, a córeczka...

– Zdrowa sempiterna – zgodził się viapretorianin. – Obserwowałem ją w oglądniku. Aż ręce śwędzą.

– A ja ci powiem, że nie zazdrościsz senatorowi Cedrusowi. Ma wprawdzie wszystko – pieniądze, władzę, rezydencję na Południu, ten dom w górach... Ale czy taki człowiek może jeszcze o czymś marzyć?

– Zaproponuj mu, żeby się ze mną zamienił – prychnął pomocnik. Jego cynobrowe od notorycznego żucia giny zęby wyszczerzyły się w złośliwym uśmiechu. – Poza tym i taki bogacz ma kłopoty, trzeba synków w życiu ustawić.

– To nie sprawi mu trudności.

– Córeczkę dobrze wydać za mąż.

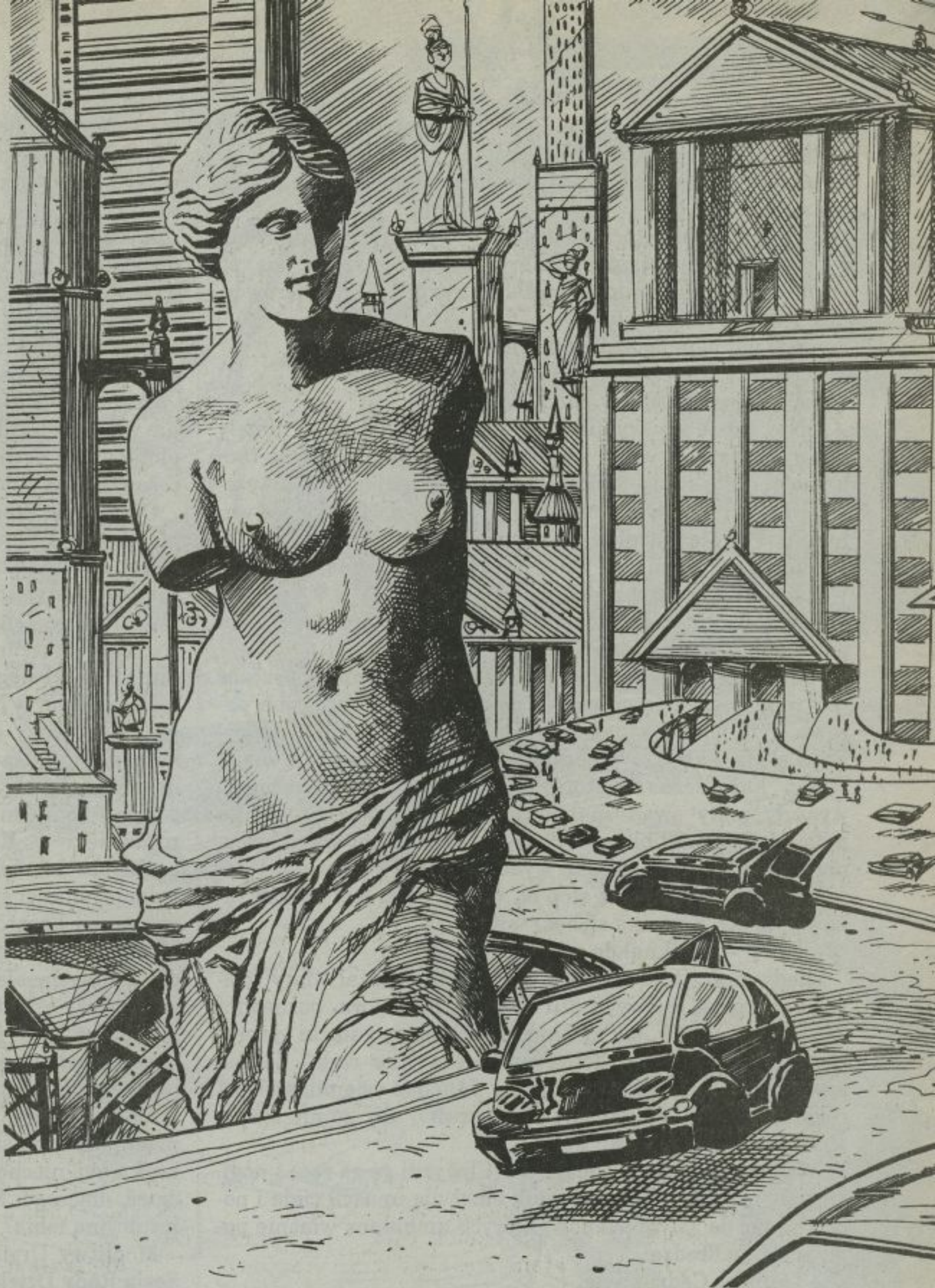
– Mało chętnych?

– No a żona, podobno pije i zażywa stymulanty...

– To kłopot żony, nie jego.

Wymianę zdań nagle przerwał rozklekotany apolloniak usiłujący dość bezczelnie skrócić sobie drogę przez zamknięty szlak, który prowadził środkiem rezerwatu. Potem jeszcze jakiś szczeniak na raketce pogwałcił ograniczenie prędkości. Przekazali natychmiast jego numery następnemu punktowi kontrolnemu. Pewne urozmaicenie do służby wniosła dopiero kobieta, właścicielka srebrzystej galerietty i olbrzymiej blond peruki sięgającej splotami do połowy ud.

– Strasnie zabłądziłam – mówiła lekko sepleniąc. – Skreśliłam chyba w niewłaściwy rozjazd. A wzięłam mały zapas paliwa. Teraz mi się skończył. Moglibyście pomóc? – mówiąc niskim, gardłowym głosem bezustannie przenosiła wzrok z vicepiątnika na jego zastępcę. Taki wzrok był zdolny kruszyć kamienie. Pomocnik pękł pierwszy.



– Mamy pewien zapas w zbiorniku, ewentualnie można utoczyć...

– Jak ja się panu odwdzięczę. Może... Zatsyamam się dzisiaj na noc w couponie „Na przełęczy”. Mogłabym zaprosić tam pana na filizankę naparu. Proszę o fonik za parę godzin.

Pomocnik przyjął zaproszenie, choć doskonale zdawał sobie sprawę, że nie zadzwoni, a gdyby nawet, to nie zastanie blondyny.

Dialog przerwał pisk hamulców; z wielkim impetem zahamował niewielki sportowy pędnik nadjeżdżający z naprzeciwka. Wyskoczył z niego kierowca gestykulując w podnieceniu.

– Okropny wypadek przy Czarnym Garbie! Wóz wypadł z szosy, płonie!!!

Popędzili tam jak najrychlej. Przy jedenastym zakręcie dostrzegli miejsce katastrofy. Na żwirze widać było ślady gwałtownego hamowania. Najprawdopodobniej kierowca z niewiadomego powodu zamiast skrócić na łuku w lewo postanowił jechać prosto i dopiero w ostatniej chwili zdecydował się na hamowanie. Czyżby auriga był pijany? Ślad hamowania ciągnął się przez wąski pas pobocza. Dalej wi-



dać było wyłamaną barierę. Pędnik musiał wielokrotnie koziółkować po rudoszarym zboczu piargu i teraz leżał na dnie parowu na dachu niczym martwy chrabąszcz. Ogień już się dopalał.

– Olimpion senatora Cedrusa! – wykrzyknął pomocnik i przesadziwszy resztki bariery zaczął opuszczać się po stromym zboczu. Tymczasem Balbo zwrócił się do kierowcy, który zgłosił katastrofę:

– Widział pan, jak doszło do incydentu?

Przeczące potrząśnięcie głową.

– A jakichś świadków pan nie widział?

– Nie, pusto jak wymiecione, w czasie całej drogi minęły mnie ledwie dwa wozy, żadnego przechodnia. Jedynie tam na dole, millę stąd – wskazał wijącą się wśród zieleni wstęgę zwirowatej ścieżki – mignął mi zielony dach jakiegoś wehikułu. Pewnie patrol rezerwowy.

– Mogli coś widzieć? – zainteresował się vicepiątnik.

Człowiek wzruszył ramionami.

– Jakby dostrzegli, toby się zatrzymali. Zresztą z dołu pewnie niczego nie widać.

Ostrożnie poczęli się w ślad za pomocnikiem opuszczać w stronę dogasającego wraku olimpiona. Im bliżej dna parowu, tym więcej widać było rozrzuconych detali – odprysków szkła, kawałków metalu. Na jednym z krzaków wisiał strzęp kapelusza senatorowej. Nozdrza funkcjonariusza wyczuły mdły swąd spalonych ciał. Zbierało mu się na mdłości. Podeszedł bliżej. Ofiary musiały zginąć na miejscu, nie zauważył niczych prób wydostania się z wnętrza. I naraż drgnął. Kilkanaście stóp od wraku dostrzegł ludzką rękę wystającą z krzaka ziebokrzewu.

– Tutaj! – krzyknął do pozostałych.

Młody mężczyzna w sportowym ubraniu leżał wbity twarzą w zarośla. Siła wyrzutu musiała być spora, pozbawiła go zarówno butów, jak kaftana. Rozchylając gałązki viapretorianin próbował wydobyć zmasakrowane ciało. Zalana krwią twarz przypominała maskę. Mimo to osiemnastoletni rekordzista gry w piłkę był zbyt sławny, aby go nie rozpoznać.

– Pomóżcie mi go wyciągnąć! – Chwycili go za ręce i nogi. I wtedy usłyszeli jęk. Pomocnik omal nie upuścił ciała i począł wołać do salvatorianów, których ambulans właśnie pojawił się na drodze.

– Quintus Cedrus żyje!

Balbo obejrzał złotą bransoletę na przegubie chłopaka. Krew Appolińska z ujemnym odczynnikiem. Rzadka grupa.

– Nie mamy takiej! – jęknął przybyły lekarz.

– Nie szkodzi, zabierzcie go do pędnika, a ja dzwonię do domu. Przypadkowo taką samą grupę ma mój syn – Marek Ursin.

 Zaiste, czy może być coś mocniejszego nad więzy krwi. Świat spadkobiercy fortuny Cedrusów i zakamarki, w których wegetowali Ursinowie, dzieliło wszystko. Właściwie nie powinni się nawet spotkać. A przecież kiedy po długiej rekonwalescencji Quintus odzyskał zdrowie i poczęła wracać mu pamięć, zadbał o tych, którym zawdzięczał życie. Balbo dostał przeniesienie do Avillei, a jego synowi opłacono studia w najlepszym gimnazjum, tym samym, do którego po rocznej przerwie powrócił sam Cedrus. Dzieliły ich cztery roczniki, w tym czasie niemal otchłań – Marek był jeszcze pokrytym trądzikiem wyrostkiem, Quintus młodym nobilem, zawracającym w głowach dziewczętom. Ale zawsze kiedy się spotykali, Cedrus traktował go z przyjaźnią. Nie dziw, że z czasem uznanie dla starszego kolegi przerodziło się w uwielbienie i takim pozostało. Doszło do tego, że gdy rozeszła się wieść, iż młody

arystokrata ubiega się o przyjęcie do elitarnej Akademii Wielkiej Polityki, ale szanse ma niewielkie, Ursin zapalił w jego intencji kaganek w celli św. Felixa, patrona szczęściarzy.

Rokrocznie Akademia w Villa Superioris przyjmowała dwudziestu jeden najwybitniejszych absolwentów ze wszystkich uczelni Archipelagu. Po jednym z każdej sfederowanej diecezji. Nie było wyjątków. Ani pieniądze, ani pozycja społeczna nie dawały preferencji. Trzeba było być rzeczywiście najlepszym...

Szanse Cedrusa osłabiał brak wpływowego ojca i opóźnienie w nauce po długotrwałej rekonwalescencji. Powszechnie plotkowano o chwilowych nawrotach amnezji, wprowadzie coraz rzadszych, ale dokuczliwych.

Oczywiście, karierę polityczną można było robić i bez dyplomu AWP – mozolnie przepychać się w rejonowych faksjach, antyszambrować stopień po stopniu zaliczając liktoraty i edylaty, aby uzyskać grubo po sześćdziesiątce trybunat lub togę senatorską. Natomiast absolwent AWP mógł zostać prefektem lub cenzorem zaraz po trzydziestce, a koło czterdziestki sięgnąć nawet po Navigatoriat.

Faworytem z Nowej Istrii był Julius Dexos – absolutny prymus, a przy okazji charyzmatyczny lider młodzieżowej korporacji. Quintus w najlepszym przypadku mógł liczyć na drugą lokatę. Ale drugie czy ostatnie miejsce w grze o wszystko nie miało znaczenia. Na cóż więc mógł liczyć? Że rozdźwięki w Radzie Pięciu Dziekanów doprowadzą do utracenia kandydatury Dexosa? W końcu nieraz wymóg jednomyślności spowodował utracenie faworyta i awans kogoś mniej kontrowersyjnego. Choć równocześnie po wielokroć chronił Archipelag przed dopuszczeniem na szczyty ludzi zdolnych, ale niezrównoważonych – histeryków, mitomanów czy egoistów.

Trudno było jednak znaleźć u Dexosa słabe punkty. Zresztą, gdyby nawet z jakiegoś powodu kandydatura Juliusa upadła, i tak Quintus mógł spodziewać się veta ze strony Vellona, sędziwego profesora Etyki Politycznej, przed laty osobistego antagonisty jego ojca. Stary filozof nie krył swej niechęci wobec kandydata. Nie potrafił powiedzieć, dlaczego. Może do rodzinnych animozji dołączyła się intuicyjna fobia?

Modlitwy Ursina musiały jednak pomóc. Dwa dni przed Sesją Rady Dziekanów 17 różyna 1484 roku Helena, uroczą narzeczoną Dexosa, popełniła samobójstwo, rzucając się do rzeki z mostu Apostołów. Oszałała z bólu Julius, który nie potrafił pogodzić się z zadziwiająco krótkim listem pożegnialnym „Odchodzę, wybacz. Helena”, nie zjawił się nawet przed obliczem Rady. *Resignatio per absentio*. Trzeba trafiać, że tego samego dnia w czasie burzy śnieżnej uległa katastrofie avionośnia profesora Etyki Politycznej, a on sam ciężko ranny zmarł po paru dniach. Sesję odroczone, zaś nowy szef Katedry Etyki Klaudiusz Settens nie miał już nic przeciwko poparciu Quintusa.

Dalsza kariera Cedrusa (Szczęściarza, jak z czasem zaczęto go nazywać) przebiegała błyskawicznie. Wystrzelił w górę z energią Wielkiego Gejzera z Gadzich Gór. Mozolnie przebijający się przez życie Marek śledził karierę kolegi głównie za pośrednictwem gazet i ogłędników. Raz w roku wysyłał powinszowanie z okazji Dnia św. Quintusa i otrzymywał podobny list, gdy obchodzono święto Marka Ewangelisty.

Okazji do ponownego spotkania dostarczył dopiero przed czterema laty zjazd koleżeński i połączony z nim charytatywny bal, bodajże na rzecz inwalidów wojny herriańskiej. Cedrus przybył bardzo spóźniony. Na jego ingres ustały tańce, a muzykanci zagrali „Z Bogiem, z Bogiem, miły bra-

cie". Zaraz zaproszono go na podium. I, niestety, Quintus się nie popisał. Powiedział parę banalnych frazesów i szybko skręcił do popiny. Wyglądał na przemęczonego i błyskawicznie wypił flaszkę winy. Zaraz potem urażony jakimś przytykiem wdał się w awanturę, wreszcie w bójkę, z której wybawił go Ursin. Po odesłaniu do bazy posiniaczanego aurigi polityka osobiście zaopiekował się przyjacielem.

W onym czasie Marek pracując jako liblator mieszkał z matką i dwiema ciotkami w pięciopokojowej mansardzie nad księżniczką. Cedrus spędził na tym poddaszu dużo więcej czasu niż zamierzał. Wpierw dwa dni chorował, a następnie przyjął zaproszenie, by zostać dłużym.

– Po raz pierwszy żyję normalnym życiem, poznaję, co to rodzina – zwierzył się po paru dniach.

Dom Ursina był ciasny, ubogi, ale serdeczny. Stare ciotki dogadzały Quintusowi jak mogły. A on czuł się jak odkrywca nowego ładu. Rano biegł z Markiem na nabrzeże, gdzie rybacy wyładowywali świeżo złowione skarby morza, w niczym nie przypominające amorficznych produktów z galeonów przetwórci. Stąd krok tylko dzielił ich od macellum, targu, dla którego ranek oznaczał porę przyprawy. Koło południa zapuszczali się w kręte uliczki opodal bazyliki, gdzie rozkładali swoje kramy antykwariusze i woluminiści. Dyskutowali z rozpolitykowaną młodzieżą na schodach palladyńskich, przy czym Quintus w szarej tunice nie zdradzał swych patrycjuszowskich paranteli. Czasem po mocnym naparze w tratorii „U Węglarzy” zaglądali do pobliskiej palestrony, gdzie ze śmiertelną powagą rozstrzygano pozwy o kradzież melonów i szkalowanie w sprzeczkach. Każdy dzień niósł kolejną dawkę niezwykłej powszedniości. Wychowankę prywatnych pedagogów i elitarnych gimnazjonów po raz pierwszy chodził na podmiejskie zabawy, tor wrotkowy, sztuczną ślizgawkę. Ursin, który też wziął urlop, czynił wszystko, aby oderwać przyjaciela od dotychczasowych spraw. Nie było to trudne, Cedrus, zda się, zapominał o polityce. A kiedy jeszcze pojawiła się Octavia...

Tarapeum to niezwykle malownicza część Avillei, właściwie osobne miasteczko uczone na podobieństwo ptasich gniazd nadmorskich skałek. Część zabudowań pochodzi z VI wieku, reszta nawarstwiała się wraz z kolejnymi epokami (stolica Nowej Istrii uniknęła szczęśliwie zniszczeń w czasach wojen). Naprzeciw skał znajduje się płaska jak brzuch fladry Wysepka Raków. Kiedyś było tam miejsce straceń, później necropolia. Obecnie park – pomnik przeszłości – opanowali bez reszty malarze. Quintus udał się tam w poszukiwaniu jakiejś pamiątki ze swojego istriańskiego epizodu, Marek mu towarzyszył. I obaj równocześnie zobaczyli Octavię... Siedząc na składanej selli w ubabranych farbą pantalonach szybkimi pociągnięciami pędzla zdawała się wyrwać spod powierzchni płótna skały, ka-



mieniczki, zameczek tarapejski. Barwna paleta, burza włosów, skąpane w popołudniowym słońcu, a na dodatek osobliwie szczupła sylwetka wystarczyły, żeby Ursin bez nadziei się zakochał... A Cedrus?

Następny tydzień spędzili w trójkę, Octavia zdawała się nie faworyzować nikogo. Ursin zastanawiał się nawet, czy nie walczyć o względy pięknej plastyczki. Rychło jednak, gdy tak wałęsali się po starej Avillei, zauważył, że między Quintusem i Octavią nawiązuje się dodatkowa więź. A którejś nocy urwali się przyjacielowi. Czy wówczas się kochali? Mały bibliotekarz nie prowadził dochodzenia. Cierpiał, ale umiał rezygnować. Cedrus nie.

Kiedy tydzień później senator odjeżdżał do stolicy, wezwany do Kurii na rozpoczynającą się debatę budżetową, wyglądał na odmienionego. Emanował energią i optymizmem. Ściskając ręce przyjaciół wyznał krótko:

– Nie macie pojęcia, jak mi pomogliście.

Ursin do tej pory nie potrafił powiedzieć, na czym polegał ów psychiczny dołek, z którego wyciągnął Quintusa. Rozpad pierwszego, prestiżowego małżeństwa? Znużenie polityką? W każdym razie sądził, że już więcej się nie spotkają. Podobnie przypuszczała Octavia, w której z dnia na dzień



był bardziej zakochany... A jednak miesiąc później, po szalonej nocy, podczas której wyznał jej miłość i nie został odrzucony, nawet gdy całował ją nieśmiało między bibliotecznymi regałami, Octavia nic mu nie mówiąc pojechała do stolicy. Wkrótce w plotkarskich periodykach pojawiły się informacje na temat zaręczyn młodego senatora z prowincjonalną piękną. Pół roku później, a w kilka tygodni po ślubnej ceremonii Marek Ursin otrzymał zaproszenie ze sztabu „Błękitnych” na Superiorze. Akcje Cedrusa na politycznej bursie poszły wtedy bardzo w górę – pojawiające się w jego wystąpieniach akcenty społeczne i ekologiczne, głębokie zrozumienie ludzkich potrzeb jednały mu zwolenników w środowiskach dotąd podchodzących z rezerwą do programu „Błękitnych”. Nominację ułatwiła także choroba jednego z konkurentów i zagadkowe wycofanie się kilku innych z rywalizacji.

Marek poleciał na Superiorę i spotkał się z przyjacielem.

– Kandyduję do Głównego Arbitriatu – wyznał mu Quintus. – Potrzebuję consulantora. Właściwie szefa sekretariatu.

– Ależ ja tego nigdy nie robiłem.

– Ja też nie byłem nigdy Arbitrem – zaśmiał się Cedrus.

– Powiem ci otwarcie, bardziej od prawej ręki potrzebuję obok siebie przyjaciela.

I Ursin przyjął propozycję. Choć każde spotkanie z Octavią przypominało sypanie soli w niezabliźnioną ranę.

Trzy miesiące później Quintus wszedł jak lodolamacz do mocno zdziadziałego Kolegium Arbitrów, w skomplikowanym systemie władz Federacji sprawującego najwyższe funkcje kontrolne, ożywił tę instytucję, rozprawił się z paroma skorumpowanymi senatorami, toteż nikogo nie zdziwiło, gdy oświadczył, że w najbliższych wyborach wystartuje na fotel Navigatora. Marek poszedł za nim jak w dym.

– Na dwa księżyce Innej! Ależ to jest parada! – W podniesionym głosie spikera orbitalnej foniki nie ma cienia przesady. Rzeczywiście Pochód Dziękczynny połączony z oficjalnym komunikatem Komisji Elekcyjnej ma charakter ogromnej, spontanicznej manifestacji. Główną itinerą florentyńską wali kolorowy tłum. Weterani i młodzież, delegaci tribusów, przedstawiciele miejskich bractw. Poczty legionów i akademii. Rozpasane tancerki uliczne. Święto!

Maszerują twardzi, ogorzali mieszkańcy Ultimy, rozgadani i wiecznie weseli Equatorczycy. Tuż zaraz kroczą, pełni pierwotnej godności, odziani w historyczne stroje autochtoni z Nowej Istrii, Orelianie na autorydwanach, wreszcie marynarze z siedemdziesięciu wysepek bogatej w legendy Zefirii. Dwadzieścia jeden wspólnot składających się na fenomen Archipelagu. Wielość w Jedności!

Manifestacji nie przeszkadza wzrastający upał. Zresztą Florentyna, wzniesiona dwa tysiące łokci nad poziomem morza, nawet w miesiącach letnich cieszy się znośniejszym klimatem, niż by to wynikało z jej szerokości geograficznej.

Z pokładu wiroplatu prowadzący maszynę Druzzus oraz siedzący obok Ursin śledzą przebieg defilady podążającej do świątyni Jedyne, gdzie Elekt tradycyjnie miał wnieść modlitwę dziękczynną. Oczywiście dawny element religijny ceremonii utracił pierwotny sens. Od pół wieku Navigatorzy byli agnostykami, a mieszkańcy traktowali święto jako okazję do zabawy, zakupów lub zawarcia nowych znajomości.

– Cóż za bajzel! – mruczy szef ochrony do swego pasażera.

– A co tu będzie za dwa tygodnie podczas oficjalnej inauguracji? Urobimy ręce po łokcie.

– Tu siedemnastka, tu siedemnastka! Na rogu Zielonej i Wergiliego zatrzymaliśmy mały kontrpochód uzbrojony

w butelki z zapalaczem, co robić? – dobiega z fonika, którym ludzie Druzzusa podsłuchują łączność pretorianów, wigilantów municypalnych oraz sekurytów FOI (Federacyjnego Officjum Inwigilacji).

– Izolować, nie używać ostrej amunicji – słysząc głos viceperfectimusa – i za skarby nie dopuszczać tych oszołomów z wizyjników.

Wiropląt to przy okazji dobre miejsce, gdzie obaj przyjaciele mogą porozmawiać bez świadków. Podsłuchując i wierząc, że sami nie są podsłuchiwanymi. Druzzus nadal dąży temat martwego trynitatysty.

– Obawiam się, że mamy do czynienia z precyzyjnym morderstwem – szepce.

– Na jakiej podstawie, Fabio, braku zapalniczki? Czytałem oficjalny raport. Na szybie i futrynie znaleziono wyłącznie odciski palców Narensa. Na ciele nie miał żadnych obrażeń poza powstałymi od uderzenia o dno impluvium. Żadnych podejrzanych ukłuć... Dawka stymulantu też nie była śmiertelna...

– Najważniejszą informację dottor Darni przekazał mi ustnie. Wiesz, co było prawdziwą przyczyną śmierci faceta?

– Uderzenie?

– Bynajmniej. Roztrzaskał się już martwy. W jego płucach znaleziono wodę.

– To zrozumiałe. Leżał przecież w tym brodziku.

– Znaleziono wodę z perfumowaną pianą pochodzącą z hostelowej łazienki, Marku. Ktoś utopił Narensa w wannie, wytarł ciało i wyrzucił przez okno dotknawszy uprzednio jego dłonią do klamki i framugi...

– A nagranie? Powinno być przecież nagranie obraznikowe.

– I to jest właśnie najciekawsze, na 15 minut przed naszym wejściem do pokoju samoczynnie przetarł się kabel zasilający nagrywarke...

– To znaczy...?

– To znaczy, że Narens został zgładzony profesjonalnie, że morderców było paru. Że mieli swobodę poruszania się w strefie Pierwszej, słowem, że są to nasi ludzie.

– O Jedyny!

– To jeszcze bardziej komplikuje sprawę. Zamordowano go w ściśle strzeżonym gmachu, wśród personelu, który był sprawdzany. Nawet obsługę „Asilium IV” akceptowaliśmy na te dni wspólnie z Ruffixem. Nikt z zewnątrz nie wiedział nawet o zatrzymaniu faceta. Zresztą mediaferranci, goście i wolontariusze nie mieli na te piętra dostępu.

– Więc co z tym zrobimy?

– Po pierwsze, nikomu ani słowa. Trzymamy się wersji samobójczej. Przypuszczam, że z ponad tysiąca osób obecnych wtedy w hostelu koło setki mogło mieć dostęp do tamtej kondygnacji. Sporo!

– Ale chyba poinformujemy elekta?

– Na razie nikogo. Zbyt wielu ludzi kręci się koło Quintusa dzień i noc. Jego rozmowy są nagrywane, nie możemy wykluczyć podsłuchów.

– A ten twój dottor Darni jest pewny?

– Ręczę za niego. Służyliśmy razem na Herrii w dziewięćdziesiątym trzecim. Uratował mi życie.

– Ktoś jednak musi zająć się śledztwem. Może jednak FOI? To wygląda na grubszą sprawę. – W pamięci Ursina odżywa obraz Arrianda, tego wiecznie uśmiechniętego Navigatora, który zginął w zamachu bombowym w chwili, gdy tulił do siebie małą podniesioną z tłumy dziewczynkę. Mała była żywą bombą. Zdetonowano ją zdalnie. Do tej pory nie wyjaśniono kulisów tej śmierci. Choć gdyby nie ten zamach, prawdopodobnie fakcja „Czarnych” do dziś sprawowała władzę w Archipelagu.



– Mógłbym się tym zająć osobiście – Druzzus w zamyśleniu skubie rzadką brodę.

– Niemożliwe. Zbyt jesteś potrzebny Quintusowi na co dzień. Chyba że za parę dni obejmiesz kierownictwo Federacyjnego Officjum Inwigilacyjnego.

– Nie fantazuj! Wiesz, że faworytem szefa jest Ruffix. A ten od miesięcy nie kryje się z chęcią objęcia funkcji prefektissimusa. Ale masz rację. Moja swoboda ruchów jest więcej niż ograniczona. Jeśli istnieje spisek wymierzony w Cedrusa, to jestem drugą najbardziej obserwowaną osobą w jego otoczeniu. Może więc wydelegować kogoś z moich ludzi?

– Przydałby się ktoś zupełnie nieznany, samotny strzelec – głośno myśli Ursin. – Odważny, zawodowiec... oczywiście, godny zaufania.

– Tacy ludzie nie rodzą się na kamieniu! Wszyscy prywatni inwigilatorzy, jakich znam, to czereda chciwych szmalu łachudrów.

– Czyli sytuacja jest bez wyjścia?

Na moment zapada cisza, wreszcie Druzzus wydusza z siebie.

– Był kiedyś człowiek. Ale...

– Nie żyje?

– Jakby nie żył. Definitywnie wycofał się z zawodu. Opuścił służbę, zatarł ślady. Nawet nie mam pojęcia, gdzie go szukać... Chociaż... Gdyby dottor Darni zechciał... Ten trzymał się z nim najbliżej.

– Nasz sympatyczny dottorek? Nie wiedziałem, że posiada takie kontakty.

– Kiedyś było nas trzydziestu. Jeśli wciąż Leontias żyje, pozostało trzech.

Wiropląt gwałtownie skręca, aby ominąć jedną z trzydziestu sześciu wież bazyliki, która przypomina urodziny tort. Autorydwan elekta dotarł właśnie na miejsce.

– Ładujemy – oznajmia Druzzus, odwraca głowę i spogląda prosto w oczy Ursina. – Dobra, wyśle dottorka, ale powiedz, Marku, na jakiej podstawie możemy mieć zaufanie do siebie?

– Nie powinniśmy – uśmiecha się consulantor. – Komuś jednak zaufać trzeba.

III WŁAŚCIWY CZŁOWIEK

Położona na skraju Archipelagu Orelia Południowa jest wyspą górzystą i w wielu regionach zachowała sporo pierwotnego charakteru. Millowe kaskady potoków spadających wprost do morza sąsiadują ze strzaskanymi kolumnami dawnych świątyń. (Trzęsienia ziemi w tych rejonach Morza Wewnętrznego zdarzały się częściej niż wojny). Oddalenie od centrum Federacji i klimat – gorący i wilgotny na wybrzeżu, surowy w interiorze – sprawiły, że wielki przemysł raczej stronił od Orelii. Stosunkowo późno odkryto ją też dla masowej turystyki. I chwała Bogu.

Wszelkie zmiany docierały tu ze znacznym opóźnieniem. Pogaństwo dotrwało aż do IX wieku, a wiele z jego elementów zachowało się w ludowych obrzędach i tajnych misteriach. Powiadano, że w orelskim interiorze trwa przekazywana z pokolenia na pokolenie tajna wiedza wieszczków – heruspików, zaś w leśnych ustroniach kontynuują swoje kultury kryptowestalki.

Oczywiście, Lido Orelia jest dzisiaj wielkim uprzemysłowionym miastem. Posiada spory port, lotnisko i mnóstwo nowoczesnych hosteli. Jednak trochę dalej od Zatoki Czterech Wiatrów, tam, gdzie wielopoziomowe viafasty przechodzą w nieutwardzone dukty, zaczyna się kraj tajemniczy, surowy, intrygujący. Jednak przemierzający go dottor Darni nie szukał tam bynajmniej wrażeń turystycznych. Misja,

z którą wyprawił go Druzzus z Ursinem, miała być dyskretna. Zadbał więc o zmylenie ewentualnych szpiegów. Pod fałszywym nazwiskiem udał się na Superiore, stamtąd, zmieniając kolor włosów i szkła kontaktowe, prawie pustym avionem dotarł do skwarnej Bianciny Equatoriańskiej, skąd wynajęty za małe pieniądze klimatyzowany szybkopław dostarczył go na położoną po drugiej stronie równika Orelię. Tam rozpoczął swoje poszukiwania. Uważał, że nie zaniedbał niczego. Doświadczenia wyniesione z kampanii herriańskiej nie zostały zapomniane. Zmiana nazwiska, charakterystyczne powinny wystarczyć. Nic zresztą nie wskazywało, że mógł być śledzony. Chociaż... Od niedawna zaczął zauważać pierwsze symptomy starzenia się. Umiłowanie wygod stawało się silniejsze niż żądza sukcesu. Nawyki przeważały nad potrzebą zmiany. Nie miał ani dawnego refleksu, ani poprzedniego pociągu do hazardu. Jeśli więc wybrał się na Orelię, uczynił to w imię długoletniej przyjaźni z Druzzusem i z lojalności wobec Cedrusa.

Owego wieczora, 10 żeńca, w gaju szpilkowym pokrywającym wysokie partie wyspy, na kilku zwalonych kolumnach przysiadła grupka młodzieży, mimo współczesnych strojów przypominającej bardziej Bractwo Muz niż klasę rozparzonych nastolatków. Siedmiu chłopców, w wieku na oko od czternastu do siedemnastu lat, siedziało kręgiem wokół mężczyzny o sportowej sylwetce i mocno posiwiatych skroniach. Z przygasającego ogniska dolatywał zapach pieczonego mięsiwa i świeżych offli wyjętych z improwizowanego pieca, za który posłużyły resztki świątynnego tympanonu. Najwyraźniej uczta nie miała wyłącznie duchowego charakteru. Opis grupy byłby niepełny bez rusalki, która usadowiła się nieco wyżej na powalonym architrawie. Z elektryczną formingą w ręku, którą trącała sporadycznie, jakby w zamyśleniu, zdawała się postacią nie z tego świata. Nie uczestniczyła w rozmowach, choć co chwilę któryś z chłopców zerkał w jej stronę. Ona zaś odrzucając co jakiś czas grzywę kasztanowych włosów, rzucała spojrzenie na nauczyciela. Potem znów brzdąkała cicho, rozlewnie.

Chwile dzieliły słoneczną tarczę od zniknięcia w Oceanie. Każdy znający historię mógłby w takim momencie przypomnieć sobie pochodzącą z trzeciego wieku relację Hippolita z Chios, który wędrując z Aleppo do Damaszku, zaskoczony przez piaskową burzę, wessany został w piaskowy wir, aż świadomość utracił... A potem, gdy po, jak mu się zdawało, paru uderzeniach pulsu uniósł głowę, zobaczył to samo, co dziś mogła widzieć młodzież przy ognisku: górę w kształcie siodła, kaskadę Mnemosyny, opadającą dwustułokciowym wodnym warkoczem w dolinę. Grzebień lasu...

– Pomyliłem drogę – pomyślał Hippolit. – Dokąd trafiłem?

Kwiaty pachniały oszałamiająco, a przecież były inne niż wszystkie, które znał dotąd. W swoim długim życiu przemierzył liczne szlaki od Nowej Kartaginy po Baktię i od egipskich Teb po krańce Bosphoranum. Szpilkowe drzewa tylko na pierwszy rzut oka przypominały cyprisy, a wielkie stwory, zaiste demony zmierzchu kołujące nad skałami, o ogromnych zębatach dziobach, przywodziły na myśl raczej mityczne harpie niż największe znane orły. A potem na ścieżkę wszedł ogromny, na szczęście dobroduszny gad, o rozmiarach bazyliki w Efezie... Wreszcie roziskrzyło się nocne niebo. I wtedy kupiec, z żeglarstwem dobrze zaznajomiony, próżno szukając Wielkiego i Małego Wozu, Lwa, Niedźwiadka, Psiej Gwiazdy lub któregośkolwiek z charakterystycznych stwórow Zodiaku, pojął, iż stał się igraszką w ręku nieznanej mu mocy. Wzgórza, na których się ocknął, nie przynależały do Ziemi. Nie były też Niebem, Tartarem ani Polami Elizejskimi. Były Inną.



Przy ognisku mówiono właśnie o podstawowej zagadce ich egzystencji. Nikt z młodych nie wątpił w prawdziwość legend o Wielkim Transferze, kwestią sporną było natomiast, kto zaludnił planetę po drugiej stronie Mlecznej Drogi, jak tego dokonał i po co? Zdania wśród chłopców były na ten temat podzielone. Szesnastoletni piegowaty grubasek w okularach reprezentował niedowiarków, większość uważała, że Panhomia jest to jeszcze jeden fantastyczny pomysł Jedyne, pana Czasu i Przestrzeni roznoszącego życie po całej Galaktyce.

– Sądzę, że nazywanie mocy, która dostarczyła tu naszych przodków, nie ma najmniejszego sensu – perorował piegus. – Od tysiąca lat owa Siła Sprawcza nie daje znaku życia. Transfer ustał. Myślę, że Jedyny nie miał z nim bezpośredniego związku. Już raczej jakaś kosmiczna cywilizacja na znacznie wyższym stopniu rozwoju zdecydowała, żeby nas tu przenieść.

– Czemu zatem owa cywilizacja pozostaje w ukryciu? Potrafisz to wytłumaczyć, Gurusie? – pyta pedagog. W kosmatej kurtce z orelskiego wilka przypomina bardziej myśliwego niż nauczyciela z prowincjonalnego gimnazjum. – Nie ujawniła się podczas Transferu, nie udzieliła żadnych wskazówek naszym przodkom?

– A czy ogrodnik, który przesadza rośliny, tłumaczy się ze swych motywów pomidorom? – nie ustępuje Gurus. – Jeśli jest między nami przepaść cywilizacyjna, może Przesadzający czeka po prostu na moment, gdy dojrzejemy.

– Aby nas zerwać i pokrajać – wtrąca rosły dryblas Sextus. – I wszyscy wybuchają śmiechem. Dziewczyna uderza w struny. I po chwili nad łąką niesie się jej śpiew czysty jak potok górski, a strofy Arystelona sprzed tysiąca lat znakomicie przeistaczają się we współczesną egzystencjalną balladę:

*Nowe życie pod obcym słońcem
zaskakuje wciąż swoją innością
ale koniec tu też tylko końcem
miłość zaś jest tak samo miłością...*

Nauczyciel nie przerywa. Sam nieraz zadawał sobie pytanie – on, który całe życie poszukiwał prawdy – czy poszukiwana prawda absolutna to róg Amaltei, czy puszka Pandory? Czy ludzie o możliwościach bliskich bogom staną się lepsi, czy tylko bardziej niebezpieczni?

Ale cóż jest pewne? Sam uczył ich historii, która bardziej przypominała homerycki mit. Gdzieś tysiąc dwieście pięćdziesiąt lat temu na Innej poczęli zjawiać się ludzie. Uprowadzeni pojedynczo ze śródziemnomorskiego świata, Rzymianie, Grecy, barbarzyńcy... Wszyscy mieli wrażenie przebudzenia z bardzo krótkiego snu. Nie pamiętali Transferu, długo uważali swoją nową egzystencję za sen, a potem trafiali na innych ludzi, przystosowywali się do życia pod dwoma księżycami, w świecie równych dni i nocy, pełnym niezwykłych roślin i zwierząt. Podobnych, lecz odmiennych od ziemskich. Robili chleb z ziaren podobnych do zboża, pili wino z gron zbliżonych do winnych, namaszczeni tłuszczem z owoców przypominających oliwki. Ale jak twierdzili pamiętający Ziemię – nie mogły się one równać z prawdziwą pszenicą, winoroślą czy oliwą...

Ów niewytłumaczalny Transfer trwał dwieście pięćdziesiąt lat. Rok po roku implantowano na Inną stu mieszkańców z całego obszaru Imperium Romanum położonego gdzieś hen, o miliony lat świetlnych. Czy było przypadkiem, że kosmiczne przesiedlanie zaczęło się, gdy Imperium stało u szczytu potęgi, a ustało, gdy barbarzyńcy obrócili je w gruzy? Kolejni przybysze mówili o postępującym

upadku miast i o sukcesach nauki Chrystusowej. Domorośli filozofowie, a byli i tacy wśród przeniesionych, twierdzili nawet, iż Bóg stworzył Inną jako Nową Arkę, na której ludzkość miała przetrwać nowy potop... Czemż jednak ów Bóg przenosił nie tylko sprawiedliwych, ale także złoczyńców, katolików i heretyckich wyznawców Ariusza, czcicieli Mitry i Izydy, Persów spod znaku Ahura Mazdy, a nawet Żydów, choć tych przybyło tak mało, że z czasem się całkiem rozplnęli.

Pomieszanie panowało także w chronologii. Początkowo w każdej z grup liczone czas od chwili przybycia na Inną. Potem próbowano rachować od początku świata jak Izraelici lub od założenia Rzymu. W końcu pewien mnich, uczeń Dionizjusza Młodszego, który przybył tu w ostatnim roku Transferu, przekonał Radę Gminy Florentyńskiej do chronologii od narodzin Jezusa Chrystusa. „Bo tylko odliczając czas, który minął od pierwszego przyjścia Pana, doczekać możemy drugiego”. Tylko czy Chrystus zamierzał włączyć do swego królestwa także Inną?

*Nasi bogowie w domach ostali
Janus, Jupiter i setka Lar
I tylko pamięć jeszcze się pali
choć coraz mniejszy czujesz jej żar...*

Dziewczyna urwała. Naraz długi nieruchomy cień przykrył całą gromadkę. Nauczyciel odruchowo zmacał rękojeść sztyletu wsuniętego między kamienie. Właściciel cienia, mężczyzna w szarej podróżnej paenuli z kapturem, siedł ku nim jak widmo na tle zachodzącego słońca.

– Ave, Leontiasie! – powiedział unosząc prawicę.

– Dawno nikt mnie tak nie nazywał – mruknął pedagog. – Prawie wszyscy, którzy znali to imię, nie żyją... Zaraz... dottorek? – Tu poderwał się na równe nogi i uściśnął gościa. Dottor Darni nie należał do olbrzymów. Nie dziw, że zniknął prawie w ramionach Leontiasa. Młodzież przyglądała mu się ciekawie. Szczupłą twarz szczurka wydłużała mała szpiczasta bródka.

– Trudno było mi ciebie znaleźć, Leo – rzekł przybysz. – Wiedziałem, że musisz być w kontakcie ze starą Sabina, a ta udzieliła mi wskazówek.

– Zadałeś sobie sporo trudu – w głosie nauczyciela zabrzmiał niepokój. – Masz jakieś kłopoty?

– Powiedzmy, że mój przyjaciel ma problemy i jesteś nam diablo potrzebny.

Młodzież zaczęła się rozchodzić, dryblas usiłował otoczyć ramieniem balladzystkę, ale ta strząsnęła jego rękę jak zeschnięty pęd winnorostu.

– A więc odmawiasz. Nie chcesz nawet poznać sprawy – w głosie Darniego brzmiała gorycz. Uniósł kielich pod światło i popatrzył przez czerwone wino na pochyloną nad stołem sylwetkę Leontiasa. Dzięki takiemu filtrowi nauczyciel wyglądał jak skąpany we krwi wojownik.

– Porzuciłem stare zabawki, przyjacielu. Wiesz, o ile łatwiej jest obciąć człowiekowi głowę niż nauczyć go myśleć?

– Rozumiem, obraziłeś się na świat, bo ten ośmielił się cię rozczarować. Szkoda. Byłeś najlepszy w szkole, podczas służby, wreszcie w Herrii. Pamiętam, jak rozpracowałeś siatkę Lonterra. A nasz zwiad w góry Dwóch Księżyców?...

– Szkoda, że nie zostałeś z nami później. Po Enteloi...

– Ewakuowano mnie. Byłem w szpitalu.

– Za to my brnęliśmy od klęski do klęski. Kompromisy wielkiej polityki! Niekompetencja Navigatoriatu. Korupcja. Zdrada! Media wbijające nóż w plecy weteranom! Trzeba było się cofać, ustępować, paktować z diabłem. I wreszcie

Piotr Kowalski



KO
WAL
SKA



rzucić tych nieszczęsnych Herriów na pastwę Ekumeny. Jak wcześniej Lidów, Wenedów... A wszystko pod hasłami izolacjonizmu i pokojowej koegzystencji. Tylu naszych zginęło na marne, a w Herrii mają Czarne Inferno... A ty chciałbyś, żebym pracował dla jakiegoś Navigatora?!

– Ależ Leo, czasy się zmieniły. Doszła do władzy nowa generacja polityków. Quintus, chociaż pacyfista, to równy gość.

– Życzę mu wszystkiego najlepszego. Ale niech każdy robi swoje! Widziałeś moich chłopców. Najlepszy gimnazjon by się ich nie powstydział...

– Czy ty nie rozumiesz, Leo? Jacyś cholerni skurwysyni montują spisek przeciw legalnie wybranemu elektowi. Kroi się wielka zadyma, która może zburzyć pokój nawet w twoim zakątku. Nie wiemy, kto za tym stoi: Herdatus, wywiad Ekumeny, Wandalijszczy? Jeśli na progu navigatury nie odkryjemy zagrożenia, co będzie dalej. A rozpracować je może tylko ktoś taki jak ty. Nieznany przeciwnikowi.

Leontias nie odpowiedział. Nalał następną porcję wina, po czym uniósł kielich:

– Za naszą młodość!

– Nie rozumiem cię – westchnął Darni. – Akcja może być arcyciekawa, dobrze płatna. Można naturalnie nie kochać Cedrusa, ale na miły Bóg, pomyśl o Federacji. Nasz wywiad donosi o rosnącej desperacji Ekumeny. Przegrywają z nami wyścig technologiczny, kto wie, na co mogą się poważyć?

– Mogę wypić zdrowie twojego Cedrusa – przerwał nauczyciel. – To wszystko.

– Świetnie się tu urządziłeś. – Lekarz powiódł przekrwionymi oczami po drewnianej chacie w stylu staroorelskim. Alkohol plątał mu już trochę język i rozpalał emocje. – Masz uczniów, posadę. Swoją drogą, dziwne, że cię jeszcze z niej nie wyrzucili... W edukacji obowiązuje utylitaryzm, a ty zmuszasz ich do myślenia.

– Daję sobie radę – uśmiechnął się pedagog.

– A ta dziewczyna? – Darni wskazał głową sypialnię. – Ładniutka. Prowadzi ci dom?

– Dia nie jest służącą!

– A zatem – zarechotał lekarz. – Do czego ci służy, figlarzu...? – urwał, ponieważ dostrzegł złowieszczy błysk w spojrzeniu Leontiasa. Który jednak zgasł równie szybko, jak się pojawił.

– A zatem macie zagadkę kryminalną? – powiedział wolno. – To nie dla mnie. Jedyna prawdziwa zagadka brzmi: dokąd idziemy, skąd przybywamy?...

Znów pili w milczeniu. Gdy pierwociny blasku rozjaśniły mrok za oknem, Darni osunął się na stół i wówczas Leontias zapytał go:

– Pamiętasz Enteloi?

Jakże mógł nie pamiętać... Naraz znalazł się na powrót w parnym powietrzu przesyconym zapachem potu i ognia. Noc rozbłyskała świetlnymi smugami pocisków zapalających. Płonąła tubylcza szkoła, hospicjum, taberny. Ogień z kanonów przybliżał się coraz bardziej do ich polany. Darni zdrowo oberwał. Zaciskając pasek bezskutecznie usiłował zatamować krew tryskającą z rozerwanej tętnicy. Dwóch salwatorianów śpieszących mu na pomoc padło, koledzy ostrzegający się z wiropłatu nie zamierzali ryzykować...

„Zdechnę tu, zdechnę albo dostanę się w ręce tych diabłów” – przemknęło Darniemu. I naraz z burzy ogniowej wypadł Leontias, który porzucił rakietnicę, a zamiast niej taszczył na ręku małą tubylczą dziewczynkę. Ujrzał Darniego, nadludzkim wysiłkiem zarzucił go sobie na drugie ramię i dopadł startującej ważki... Dottor stracił przytomność. Teraz go olśniło.

– To ona? Dia...? Dla niej się wycofałeś!? – wybełkotał.

Leontias nie odpowiedział. Odprowadził dottora do zawazanego fonicznie pędnika i oddał pod opiekę oczekującego aurigi.

– Bądź zdrow, zechce Jedyny, może kiedyś się spotkamy – rzucił na pożegnanie.

Potem wrócił do chaty, umył naczynia, uprzątnął resztki jedzenia. Miał iść spać, gdy rozległo się ciche skrobanie w okiennicę. Uchylił zapadkę. Błysnęły zapotniałe okulary Gurusa.

– Co tu jeszcze robisz?

– Sprawdzam, czy nikt nie śledził dottora. Tak jak pan uczył.

– No i?

– Nikt za nim nie jechał, w miasteczku również nie widziano nikogo obcego.

– W porządku. Idź spać.

– Będę potrzebny jutro?

– Nie sądzę.

Okularki i piegowata twarz zniknęły. Nauczyciel zgasił światła i zajrzał do alkowy. Dia spała. Koc zsunął się z jej nagiego ciała, godnego służyć za model najpierwszym rzeźbiarzom ze Złotego Wieku. Usta miała pełne, trochę kapryśne, włosy gęste, prawdziwą burzą kłębiące się wokół głowy, a piersi drobne, boskie... Leontias nakrył ją kocem i wyszedł. Nie zauważył, jak otwierają się i patrzą za nim migdałowe, tajemnicze oczy Herrianki.

IV GORĄCE SPOTKANIE

Fala piekielnych upałów ogarniała Equatorię zwykle z początkiem różyna. W połowie żeńca skwar przemieniał tę część Archipelagu w przedsionek piekła. Pustoszały plaże i deptaki. Autochtoni kryli się w głębi betonowych cavern, turyści szukali wytchnienia w stronach bardziej umiarkowanych. Przez całe wieki uważano, że życie w tej części Innej jest zgoła niemożliwe. W bezchmurne południe temperatura potrafiła sięgnąć 950 stopni skali Bardosa. Niekiedy na pustyni przekraczała poziom nawet wrzenia wody. Noce były łagodniejsze, zaledwie 400 stopni. Ale i tak nad wodą unosiły się nieustanne opary i lekko było jak w sudarium.

Inna w odróżnieniu od Starej Ziemi posiada wyprostowaną oś obrotu. Teoretycznie powinno to pozbawiać ją pór roku. W istocie ów mankament rekompensuje z naddatkiem elipsoidalny kształt orbity wokół Większego Słońca. Sprawia on, że perihelium dostarcza lata, natomiast w czasie apohelium znaczną część planety nawiedza zima. Mroźne fronty przesuwały się ku zwrotnikom – a wraz z nimi familie patrycjuszy migrują w cieplejsze rejony. Za to w strefie biegunów okrągły rok panują straszliwe mrozy, osiągając niekiedy minus 800 stopni – brak tam w ogóle dobroczynnej pory ciepłej...

W ogóle życie na Innej jest trudniejsze niż w pocziwym Układzie Słonecznym.

Wyobraźmy sobie ostre sezonowe wiatry, dmące wzdłuż południków i sprzeczne wpływy dwu Księżyców, z których jeden – Ormuzd – porusza się nad półkulą północną, a Aryman nad południową, w dodatku z różnymi prędkościami i w przeciwnych kierunkach. Powoduje to okresowe spiętrzenia wód w pasie równikowym oraz pływy sięgające 50 stóp, zmiatające przed sobą wszystko.

Najlepsze warunki do życia znajdują się w połowie drogi między równikiem a biegunami – tam niuanse pogodowe bywają najmniejsze, tam też rozpościerają się główne metropolie Wandalii, Ekumeny i Archipelagu. Za to rejon równika w przeważającej części wypełnia Ocean Wewnętrzny, przez żeglarzy nazywany w swej części centralnej Morzem Wrzątku.

Equatorię na stałe zasiedlono stosunkowo późno, dopiero pod koniec XIV wieku powstały tam sezonowe kąpieliska i zimowe rezydencje. Na dobre jednak w krąg cywilizacji włączyły ją industrializacja i wynalazek klimatermi.

Dottor Darni zacumował wynajętego szybkopława na końcu krytego mola Bianciny Equatorskiej. Automat wczepił cumę w magnetyczną paszczę elektropachołka. Hermetyczny rękaw połączyłabinę z korytarzem. Otworzyły się drzwi. Jednak zamiast chłodnego powietrza do wnętrza wtargnęła fala porażającego gorąca. Tylko tego brakuje, awaria! Nic dziwnego, że port w Biancinie wyglądał na wyludniony. Siedemset stopni wymiotło ludzi skuteczniej niż epidemia. W cieniu poszukiwały schronienia zwierzęta. Nawet ryby pochowały się w głębsze rejony akwenu. A do południa pozostały jeszcze dwie godziny. Dottor poczuł, jak z wszystkich porów tryska pot, mimo to przemierzył całe molo docierając do Officjum, gdzie miał oddać szybkopława.

– Jest tu kto? – zawołał od progu.

Odpowiedziała mu cisza. Na kontuarze w tablinum właściciela, od którego wynajął „Trytona”, zobaczył kartkę: „Awaria klimatermi. Jesteśmy w zimnej cavernie. Kontakt foniczny”. Sięgnął po fonikon, ale i on nie działał. Dottor odczuł niepokój. Nie podobał mu się ten martwy port, puste tablinum i brak łączności.

Mała zielona strzałka wskazywała drogę do zimnicy, jak popularnie nazywano schron przeciwupałowy istniejący w każdym equatoriańskim domu. Jednak nie kwapił się ruszać schodami w mrok. Wyciągnął i odbezpieczył sześciopistoletowy króciak. Potem na kartce skreślił kilka słów do armatora: „Wypływam jeszcze na parę godzin. O miejscu zakotwiczenia »Trytona« zawiadomię. Należność prześlę systemem menscompteryjnym”. Podpisał się nazwiskiem z fałszywych dokumentów nr 3, a potem ostrożnie ruszył z powrotem. Odrzucił pokusę udania się do pogrążonego w upale miasta, zwłaszcza przy perspektywie pokonywania 245 schodków.

– Czy mogli mnie namierzyć? – zastanawiał się rozglądając dookoła. – Kto i w jaki sposób? O wyprawie wiedzieli jedynie Druzzus, Ursin i metresa Julia. A może sam Sclavus był cały czas pod obserwacją...?

Sclavus – Słowianin, *cognomen*, czyli przydomek Leontiasa, wiązał się z jego barbarzyńskim pochodzeniem. Mała grupka Słowian, która u schyłku epoki Transferu pojawiła się na północno-zachodnich skrawkach Ekumeny, dość długo zachowywała swą odrębność jako Sojusz Wenedyjski, aż wreszcie wojny w XIV wieku spowodowały wchłonięcie dzielnego ludu przez grecką despotię. Wielu, w tym dziadkowie Sclavusa, wyemigrowało, reszta wegetowała pod ekumeńskim butem, pasując, wedle określeń samego tyra-
na, do greckiego imperium jak siodło do dojrzałej mlecznicy



i podrywając się w niezliczonych insurekcjach, bez wyjątku topionych w morzu krwi.

Ani na molo, ani w rękawie wiodącym do szybkopława nikt nie zaatakował Darniego. Ostatni etap pokonał dosłownie paroma suszami, z ulgą włączył klimatermię, odczepił „Trytona” i bezzwłocznie wypłynął z przystani na wody Białej Zatoki. Pośpiech sprawił, że na torze wodnym wypełnianym kłębami lepkiej pary omal nie zderzył się z płaską krytą łodzią dwupływakową, aż pilotujący ją puciołowaty nastolatek w ciemnych okularach pokazał mu przez szybę płaskiej kabiny obraźliwy gest. Wyszedszy na odkryte morze Darni wyświetlił na szybie mapę Equatorii. Wybór drogi zaabsorbował go do tego stopnia, że obecność intruza odkrył dopiero, gdy uczuł na szyi chłodne dotknięcie noża.

– Żadnych gwałtownych ruchów – powiedział gość za plecami.

– Mam do ciebie kilka pytań, dottorku – dorzucił inny, równie niewidoczny, z głębi kabiny. – Nie odwracaj się!

Muskularna łapa wprawdzie wysupłała króciaka zatkniętego przez Darniego za cingulum.

– Ładna zabaweczka, służbowa czy prywatna? – gwizdnął nożownik.



– Musisz odpowiedzieć nam na parę pytań – rzucił drugi z napastników, sądząc z władczygo tonu ważniejszy.

– Ależ panowie, musiała zajść jakaś pomyłka – zaczął płaczliwie Darni. – Jestem naukowcem, badaczem małży...

– Dottorze Darni, nie udawaj idioty – przerwał starszy siccaro. – Wykrety tylko pogarszają twoją sytuację.

Dottor, pragnąc zyskać na czasie, wyraził zapewnienie o gotowości jak najdalej posuniętej współpracy, błagając jednocześnie o dobre traktowanie. Delikatnie przeniósł ciężar na prawą nogę... jednak natychmiast uczył mocniejsze ukłucie sztyletu.

– Żadnych numerów! Powiedziałem!

– Skoro mamy rozmawiać, czy mógłbym usiąść?

Zgodzili się, podsunęli mu sellę, ale nadal nie pozwolili mu się odwrócić. Miał teraz jednak na wysokości oczu małe lusterko w postaci wypolerowanej burty czołna awaryjnego. Mógł obejrzeć prześladowców. Nożownik stał wprawdzie zbyt blisko, więc nie widział jego twarzy, za to jego szef, który przysiadł na szafce nawigacyjnej, prezentował się w całej okazałości. Chudy, smagły, o twarzy pokrytej gęstym, zmierzwiwym zarostem – Wandalijszyk, ani chybi, a może Pers!

– Powiedzmy, że udzielię interesujących was informacji, musiałbym mieć jednak gwarancje... – zaczął Darni.

– Jeśli chcesz żyć, nie stawiaj warunków! – Perso-Wandal splunął na podłogę.

– Nie będę gadał z nożem gotowym rozerwać mi krtań przy lekkim bujnięciu szybkoława – upierał się dottor. – Czym ryzykujecie, przecież zabraliście mi broń.

– Zrób, jak powiedział – warknął starszy siccaro i niemiły chłód na szyi znikł. – Po kogo cię wysłano?

– Miałem przeprowadzić poufne rozmowy w sprawie przyszłych nominacji w prowincjach – zaczął.

– Czyżby? Z kim w takim razie rozmawiałeś na Orelui? Nie byłeś w fakcjoniach ani termach kurulnych?

– Nie jestem upoważniony do zdradzania szczegółów...

– My cię upoważniamy! Mów! Jaki to ma związek z samobójstwem terrorysty Narensa?

Niedobrze, wiedzą wszystko – zmartwił się dottor. Tymczasem jego stopa delikatnie manewrując pod stolikiem natrafiła na kabel głównego zasilania i owinęła go wokół kostki. Według instrukcji gwałtowne wyrwanie przewodu musiało spowodować automatyczne wyłączenie „całej wstecz” z awaryjnego zasilania.

– Chyba rozumiesz pytanie. Z kim Druzzus kazał ci się skontaktować w Orelui?

A więc nie wiedzieli o Leontiasie, dobrze – ucieszył się dottor, a potem targnął kablem.

„Tryton” niczym ściągnięty wędzidełko koń stanął dęba. Darni, przewidując to zawczasu, zaparł się o tablicę licznikową. Napastnicy tej możliwości nie mieli. Nożownik przefrunął ponad stołem zatrzymując się dopiero na pancernej szybie. Nieprzyjemnie chrupnął łamany nos. Wandalo-Pers niczym worek cebuli poturlał się po podłodze i uwiązł głową w szafce z gaśnicami. Nie wypuścił wprawdzie broni, ale dottor nadepnął dłoń siccara i odebrał mu króciaka.

– Sytuacja się zmieniła – zawołał cofając się ku drzwiom kabiny tak, aby mieć na widoku obu napastników. – Teraz wy zaspokoicie moją ciekawość. Kto was wynajął?

Najemnik tylko zaklął gardłowo.

– Jesteście zawodowcami, to widać – ciągnął Darni. – Pomyśl, aby zaczekać na mnie na „Trytonie”, był dość sprytny... – urwał. Zaniepokoił go dziwny błysk w oczach bandziora. Instynktownie uskoczył w bok. Cios elektryczną pałką mierzony w głowę trafił go w kark, ale i tak pozbawił przytomności.

– Patałachy – nowo przybyły, rosły blondyn o wywinionych wargach zwyrodniałego Kupidyna nie tał pogardy. – Ile razy mam was wyciągać z opałów? Rozczarowujesz mnie, Flaccusie!

Śniady nie skomentował, nożownik natomiast lamentował nad swoim zmasakrowanym nosem i złamaną ręką.

– Mam ocucić to ścierwo, Lucjuszu? – zapytał brunet wskazując dottora.

– Za dużo zachodu, to twardziel, i musielibyśmy nieźle się namęczyć. Poza tym wracał sam, co oznacza, że jego misja się nie powiodła. Załadujemy go do czołna i wypchniemy w morze bez wioseł. Nie ma szans przeżycia tego upału dłużej niż parę godzin. Nieprzyjemna śmierć na patelni. Nieprzyjemna...

Tak uczynili. Ciągłe nieprzytomny Darni został umieszczony w odkrytej łodzi. Miał przed sobą parę godzin konania. Najemnicy przezornie wybrali teren płytkiej zatoki przylegającej do pustyni Equatorii, nie odwiedzanej o tej porze roku ani przez turystów, ani przez rybaków. Wezwany wiropląt zabrał na pokład dwójkę siccarów, co do trzeciego zgodnie uznali, że ranny najemnik to balast, i spełnił o wiele pożyteczniejszą rolę jako karma dla krabów trupojadów. Za to, zgodnie z zawodową etyką, jego część honorarium została natychmiast przesłana wdowie. Natomiast „Trytona” po zablokowaniu steru i ustawieniu silnika na „całą naprzód” skierowano wprost na łańcuch raf. Jeśli nawet ciało dottora zostanie odnalezione, dla wszystkich będzie jasne, że po katastrofie szybkoława usiłował się ewakuować czołnem, lecz wkrótce zmarł z żaru, pragnienia i wyczerpania.

Zetknięcie ze słonecznym żarem przypominało chlupnięcie wrzasku na twarz. Darni natychmiast odzyskał przytomność, nie poruszył się jednak, zanim nie ścichły silniki „Trytona”. Wtedy dopiero otworzył oczy, widział świat niewyraźnie, lecz błyskawicznie pojawiła się groźba sytuacji – na łódce nie miał ani skrawka cienia. Bez wioseł nie mógł się poruszać, a odległe o dobre 5 mil wybrzeże przerażało żółtymi diunami pustyni. Mógł oczywiście wskoczyć do wody o temperaturze zupy, co też niezwłocznie uczynił, okręcając wokół głowy wilgotne pantalone. Ale co przez to zyskiwał – dłuższe konanie?

Nie należał jednak do ludzi poddających się łatwo. Był niezłym pływakiem i oszczędzając siły miał szansę dotrzeć do lądu, a gdyby dotarł na brzeg nocą, mógłby wspiać się na wydmy i szukać światła. Atoli już po godzinie poczuł tracić nadzieję, drobiny soli parzyły oczy, przeżerały wysuszone usta. Jakby tego było mało, naraz na wprost siebie ujrzał ciemny, szybko poruszający się kształt.

– Ichthiozaur! – Zachłysnął się solanką, lecz nie poszedł pod wodę... Wskutek ogromnego zasolenia wód płytkiej zatoki utonięcie nie było wcale łatwą sprawą – ale przy odrobinie wysiłku... Całkowicie opuściła go wola życia. „Wybacz, Jedyny, moje grzechy” – pomyślał. Otworzył usta. Czuł, jak słona woda wdiera się do jego krtani, do płuc, paląc żywym ogniem. Ogarniała go ciemność. I ogień. Skąd ogień? Znowu był pod Enteloi. I znowu mocarne ramie unosiło go w górę na powierzchnię.

– Dottorku, dottorku – zabrzmiał męski baryton. – Wypłuj tę wodę, bo inaczej Dia będzie ci musiała robić sztuczne oddychanie.

Darni kaszlnął. Otworzył oczy. Znajdował się w ciasnym, chłodnym wnętrzu. Leontias wyciskał z niego ohydny słoną ciecz. Dia polewała słodką wodą z zielonego węża i wilgotnym ręcznikiem usuwała sól. Gurus, piegowate stworzenie w drucianych okularkach, siedział przy sterze łodzi... Tylko czy była to łódź? Nabierająca prędkości maszyna unosiła się

nad wodę. Jej pływaki okazały się skrzydłami hydraviona. Omnivant! – to był legendarny omnivant. Pojazd, który przecież nie istniał. Jego konstrukcji zaniechano przed kilku laty, gdy zdominowana przez pacyfistów Kuria zaczęła ostro oszczędzać na zbrojeniach. A więc był we wnętrzu wehikułu istniejącego tylko w imaginacjach projektantów. Pojazdu poruszającego się po lądzie, wodzie, pod wodą, a nawet w powietrzu. (Jak dowiedział się później, wysoko wydajne baterie solarne pozwalały przebywać mu bez zatrzymywania 1000 mill w nocy i trzy razy tyle w dzień.)

Mimo nalegań dottora Leontias nigdy nie wyzna, jak wszedł w posiadanie omnivanta i w jakim celu nadzwyczajny pojazd miał służyć prostemu nauczycielowi historii i literatury, który na zawsze pożegnał się z działalnością w extraordynariacie. Zdany na domysły Darni zastanawiał się nad ewentualnym związkiem z głośnym terrorystycznym napadem na bazę „Cerera VII” na Superiorze przed trzema laty. Media spekulowały wówczas na temat skradzionego tam jakiegoś bojowego prototypu. Gubiono się w domysłach, czy była to sprawka Wandalijczyków czy kryptonów Ekumeny... Później pojawił się oficjalny komunikat, że prototyp nigdy nie opuścił Archipelagu, szczątki podwodnego okrętu napastników oraz kilka nieidentyfikowalnych ciał znaleziono na plażach Orelia, zaś bezcenny ładunek spoczął na zawsze w głębinach. Któż jednak dokonał sabotażu? Extraordynariat lub FOI nie omieszkałyby się pochwalić...

Kiedy wreszcie Darni doszedł do siebie, zapytał Leontiasa, czemu najpierw mu odmówił współpracy, a potem bravurowo uratował mu życie?

– Ostrożność – odparł lakonicznie Sclavus, zwolniwszy Gurusa z roli sternika i przyspieszając lot.

– Chciałeś mnie sprawdzić?

– Nie ciebie. Tych, co mogli iść za tobą.

– I musiałeś wystawiać mnie na takie ryzyko?

– Musiałem, dzięki temu przeciwnik myśli, że zginąłeś, nikogo nie zwerbowałeś i w ogóle może być bardzo zadowolony z siebie.

– Wiesz, kto dał zlecenie tym siccarom?

– Jeszcze nie, ale bądź pewien, dowiem się...

Darni miał na końcu języka pytanie, jak Leontias godził swoją niezwykłą ostrożność z zabieraniem na niebezpieczną wyprawę dwójki małych, ale Słowianin uprzedził kwestię.

– Musiałem ich wziąć ze sobą. To sieroty, nie miałbym ich komu powierzyć. Zresztą po przybyciu do Florentyny ograniczymy ryzyko do absolutnego minimum.

V LEONTIAS SŁOWIANIN

W czasie kiedy lecący nisko nad powierzchnią Morza Wrzątku omnivant unosił Darniego, Leontiasa i dwójkę nastolatków – Dię i Gurusa – w stronę nieuchronnego zderze-



nia z rzeczywistością, najemnicy Lucjusz i Flaccus, zadowoleni z wykonanego zlecenia, wypoczywali w Rosadii położonej na północnym cyplu Equatorii. Zwiedzali miejscowe lupanary, których reklama głosiła, iż posiadają najlepszą klimatermię na świecie, a zarazem najgorętsze dziwki na Innej. Pozorna sprzeczność nie przeszkadzała klientom, a już szczególnie Lucjuszowi i Flaccusowi, zwłaszcza że za akrobatyczne wysiłki Equatorianek płacił portfel – sierota po Darnim.

Leontias błyskawicznie rozgryzł tożsamość siccarów. Na podstawie rysopisów sporządzonych przez dottora Darniego, wchodząc za pomocą menscomptera do zasobów FOI ustalił, że trzech łotrzy (istotnie rodem z Wandalii) byli fachowcami od mokrej roboty, zatrudnianymi swego czasu również przez służby specjalne Archipelagu. Jednak od paru lat prowadzili samodzielną działalność gospodarczą, specjalizując się w porwaniach i morderstwach na zlecenie. Ale nikt jakoś nie rozesłał za nimi listów gończych. Dawało to do myślenia...

Tymczasem w stolicy Archipelagu pełną parą szły przygotowania do inauguracji nowego SuperNavigatora. Te dwa tygodnie są zawsze dla elekty okresem szczególnie in-



tensywnej pracy. W krótkim czasie musi przejąć od swojego poprzednika wiedzę o całości spraw Federacji. Powinien dokonać objazdu wszystkich stowarzyszonych wysp, porozmawiać z tysiącami kandydatów faksji „Błękitnych” na czołowe stanowiska w państwie. Wszak tylko jemu przysługiwało ostateczne zatwierdzenie urzędników, spośród rzesz desygantów samorządowych, wyłonionych poprzez diecezjalne elekcje. W przygotowaniu ruchów kadrowych szczególnie pomocny był Ruffix, natomiast na Ursiną spadła całość prac związanych z Zaprzysiężeniem, czyli z Ceremonią Sermnentacyjną.

Sledztwo w sprawie incydentu w hostelu Asilium oficjalnie zostało zamknięte. Ostateczna wersja przeznaczona dla mediów mówiła o nieszczęśliwym wypadnięciu przez okno jednego z gości hostelowych. W poufnym raporcie, który dostał Cedrus, nie znalazło się wiele więcej; mówił on o jednym ze szczególnie hałaśliwych manifestantów, zatrzymanym w hostelu celem otrzeźwienia (był pod wpływem olbrzymiej dawki stymulantów), który próbując ucieczki w narkotycznym delirium pomylił okno z drzwiami.

Tylko Ursin wiedział, że rozwiązaniem zagadki miał się zająć przywieziony przez dottora Darni tajemniczy człowiek z Orelii, człowiek, który w opowieściach Druzzusa urastał niemal na mitycznego herosa. Bywało, że wypuściwszy się z Ursinem na przejażdżkę na hipposaurach (np. kiedy Cedrus odwiedzał gospodarstwa hodowlane dziękując agricolom za subsydia na kampanię elekcyjną), szef ochrony Cedrusa rozgadywał się i Ursin miał wrażenie, że były atleta minął się z powołaniem literackim. Zdaniem Druzzusa Leontias Słowianin należał do rzadkiego gatunku ludzi przygody, których najłatwiej spotkać na kartach powieści. Chociaż nic nie zapowiadało jego awanturniczej kariery.

Wywodził się ze średniozamożnej ultimijskiej rodziny słowiańskich emigrantów i wiele wskazywało, że skończy jako kolejny w rodzinie księgowy czy mierniczy. Wiecznie zaczytany w książkach, stroniący od zajęć fizycznych, przezywany był przez kolegów „elefantozaurem”. Jedynie jego masa sprawiała, że słowne zaczepki nie kończyły się cielesnym prześladowaniem. Kiedy Leo miał 14 lat, zdarzył się fakt, który odmienił wszystko.

– Pech chciał, że banda Pertesa – opowiada Ursinowi Druzzus – po złupieniu Banku Thule obwarowała się w domu Sclavusów biorąc całą rodzinę za zakładników. Przypadek. Fatum. Ananke! Mnożąc żądania zabili najpierw dwie siostry Leo, potem matkę. W czasie spartaczzonego szturm sił pretoriańskich zginął również stary Sclavus.

– A sam Leontias?

– Właściwie nie wiadomo, dlaczego Pertes zachował go na deser. Igrał z nim, a z początku nawet dał mu broń i śmiał się. „Słoniku, zabij mnie, a uratujesz wszystkich”. Ale Leontias, mól książkowy, łagodny idealista nie miał pojęcia, co to walka i zabijanie. No i zobaczył. I coś w nim pękło... Pertes, opowiadano, przekonany był, że ujdzie cało, jego banda miała związki z młodzieżową subkulturą helleników, ponoć tajnie wspieraną przez legaturę ekumeńską. Miała wedle prognoz od wewnątrz rozłożyć Federację. Wiesz doskonale, że w latach osiemdziesiątych, zanim nadszedł Navigatoriat Runnosa i zawieszono 19 paragraf Statutu Federacji, służby Greckiego Mocarstwa penetrowały zupełnie swobodnie nasz Archipelag, przenikając przez granice łatwiej niż woda przez rzeszoto... No i faktycznie, kiedy doszło do szturm, ktoś uprzedził o szczegółach Pertesa, równocześnie podstawiono bandytom pędni na tyłach insul. W efekcie piątka siccarów ulotniła się szybciej niż kamfora.

– Ale co z Leontiasem?

– Poznałem go wkrótce po tym zdarzeniu, mój wuj był trenerem w szkole walki. Wahał się, czy przyjąć safandulę. Ale później nie żałował. Mówił mi, że nie spotkał nikogo równie zawziętego w ćwiczeniach. Gdy Leo ukończył 17 lat, wstąpił do Gimnazjonu Sekurytów. Mimo że początkowo nie dawano mu szans, skończył jako prymus. Nie przyjął jednak ofiarowanego stypendium w metropolii. Zniknął. W onym czasie „List gończy za Pertesem i jego kompanami”, ofiarujący za żywego lub umarłego herszta 100 aureusów i po dwudziestce za pozostałych, zdołał zżółknąć na korytarzach cyrkulów. Słowianin powrócił po roku. Dostarczył do cyrkulów obcięte uszy i kciuki złoczyńców i wskazał marznicę, gdzie umieścił ich ciała...

– Na Światłość Wiekuistą – jęknął Ursin.

Po tym incydencie dla części opinii Leo stał się wtedy bohaterem. Ale rzecznicy humanitaryzmu i tolerancji, jakich pełno w naszych mediach, okrzyknęli go krwiożerczym potworem. Prywatnym mścicielem! Osiągnęli skutek. Na całej Ultimie nie mógł znaleźć pracy w zawodzie sekuryty. Owszem, wielu przyjęłoby go na prywatnego ochroniarza, ale jego to nie interesowało. Studiował więc „pedagogiczne nonium” dorabiając nocami noszeniem pak w mercatoriach. Potem opuścił Ultimę i znalazł pracę w superiorskiej vigilantii. Z hasłem „Zero tolerancji dla zbrodni” w ciągu trzech lat wyczyścił najbardziej podejrzane zakamarki Superiory i znów pozostał bez pracy.

– Jak to możliwe?

– W bezkompromisowym niszczeniu zła nie liczył się z wpływowymi patrones ani z komesami faksji, nie brał łapówek. I tak została mu tylko armia. Tam się znów spotkaliśmy. Z pierwszą falą ochotników popłynęliśmy bronić Herrii, w której rewoltę podnieśli miejscowi „hellenicy”, a jak zwykle za wszystkim stała Ekumena. Z naszego oddziału po dwóch sezonach w Czarnych Górach zostaliśmy tylko ja, dottor Darni i on... Mężny aż do szaleństwa nawet podczas odwrotu... Wiem, że zdrada polityków podłamała go. Miał dość wojny, zabijania, zwłaszcza że nie zmieniało to świata na lepszy – a siły jasności na całej Innej ustępowały potędze mroku. Wystąpił z Legii. Zatarł za sobą ślady. Pod zmienionym nazwiskiem został nauczycielem, ja jeden wiem, że osiedlił się w głębi Orelii...

– I sądzisz, że zechce zerwać ze stabilnym, bezpiecznym życiem?

– Intuicja podpowiada mi, że tak. Ta sama intuicja, która każe sprawę Narensa traktować znacznie poważniej niż mogłoby się to wydawać...

 Tymczasem od momentu uratowania dottora Darni z objąć słonej śmierci nic nie szło według scenariusza, który wymarzył sobie piegowaty Gurus. Nie było szturm omnivantem kwatery „Złych” (bo nie ustalono jeszcze, kto jest złym), nie doszło do efektownych pościgów czy strzelaniny. W ciągu kilkunastu godzin od opuszczenia Equatorii Leontias nikogo nie zabił, nie porwał, ba, nawet nie wdał się w żadne efektowne mordobicie. Zamaskowany liśćmi omnivant pozostawiono w jakiejś wiejskiej posiadłości pod opieką dottora Darniego, a Leo i jego młodzi współpracownicy wynajętym pędnikiem przybyli do Florentyny. Słowianin nie ukrywał się. Nie musiał. Nikt nie wiedział o jego istnieniu. Jako pan Malachias, ojciec z dwójką dorastających dzieci, zameldował się w małym hosteliku i oddał zgoła mało interesującym sprawom, jak analizowanie kartotek przy pomocy menscomptera czy spotkania z rozmaitymi nieciekawymi ludźmi w rodzaju pierdołowatego eks-sekuryty Gerona, o tak ziemistej cerze, że można by sadzić na niej ogórki, i głosie zniszczonym giną i zwijami. Na doda-

tek Leo skierował Dię na jakieś lekcje tańca. No, to akurat dobre zadanie dla tej idiotki. Głupia gęś, traktowała Gurusa jak powietrze, za to wpatrywała się z cielecym zachwytem w Sclavusa, który jednak ignorował jej permanentną adorację.

– Czy ta puellka nie rozumie, że tylko Gurus jest jej szansą? – zżymał się chłopak. – Wprawdzie ze mnie nie Adonis, ale mam 200 punktów inteligencji na 170 możliwych, no i od Leontiasa jestem o ćwierć wieku młodszy. – Jeszcze bardziej zdenerwowało go polecenie zatrudnienia się w charakterze pucmistrza na parkingu przy gościńcu „Pod Starym Etruskim”.

Dopiero gdy pojawili się tam Lucjusz i Flaccus, krew w Gurusie zagrała żywiej. Nie pojmował, skąd Leontias wiedział, że tam się zjawia, nadto w jaki sposób udało się ich wyprzedzić... Jako bardzo młody człowiek nie miał pojęcia, że lupanary mogą zabrać człowiekowi naprawdę wiele czasu.

Gurus miał nie spuszczać oczu z zajązdu i meldować, kiedy tylko siccarzy będą go opuszczać, dostał natomiast absolutny zakaz podglądania najemników w pokojach. Przyjął to z żalem, uważał bowiem, widząc częste wizyty krzykliwie ubranych niewiast, że skracając dystans do inwigilowanych mógłby się bardzo wiele nauczyć. Rychło Leontias zamontował podsłuch w ich fonikonie, więc jeśli któryś dzwonił, w słuchawce w uchu Gurusa odzywał się brzęk. Jednak w ciągu pierwszego dnia nie skontaktowali się z nikim, kto mógłby być ich mocodawcą. Obaj zawodowcy próżnowali i wydawali się dopiero oczekiwać nowych propozycji.

– I co sądzisz o tym wszystkim, chłopcze? – zapytał go późnym wieczorem Leo. – Jak wiem, wśród swych licznych marzeń pragnąłeś zostać deduktorem?

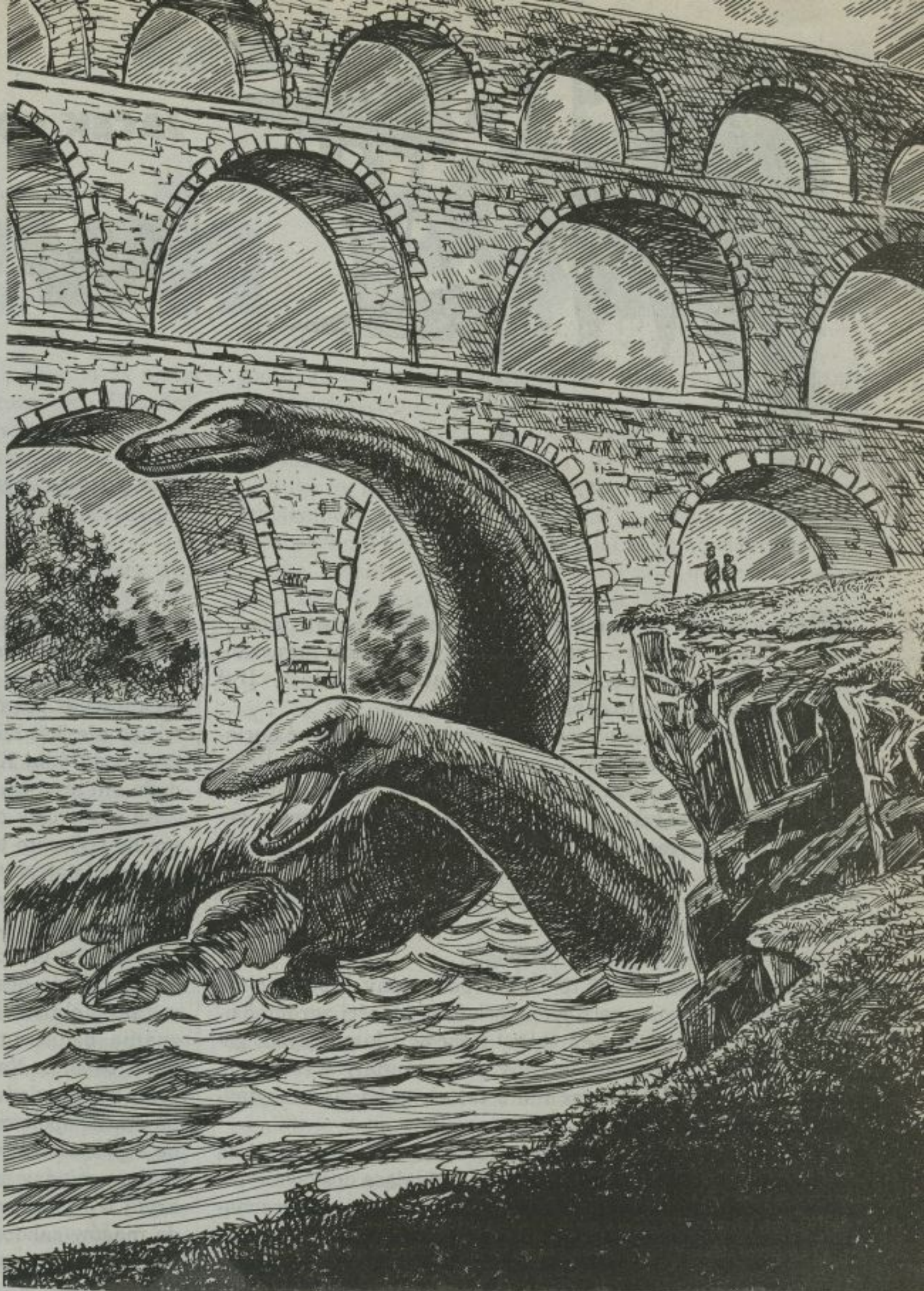
– Należy ustalić, kto wynajął Flaccusa i Lucjusza – odpowiada bez namysłu piegowaty grubasek.

– Zgoda, próbujemy to zrobić, ale to może potrwać, co dalej?

– Idźmy zatem tropem Narensa.

– Całkiem słusznie, mój przyjaciel sekuryta Geron udostępnił mi dossier tego młodego nieszczęśliwego człowieka. Wiele tego nie ma. Syn czcigodnych właścicieli nieruchomości, pół roku temu studiował prawo na Akademii Florenetyńskiej. Nadużywał stymulantów, ale nie był uzależniony. Trzy miesiące temu w autodansbudzie na Wzgórzu Cyklopów nawiązał romans z niejaką Kaliopę, związaną z „Agressores”. Nie został formalnym członkiem ruchu. Zginął, zanim przeszedł trynitatyczne wtajemniczenie. To była ledwie jego druga demonstracja. Po pierwszej spędził 48 hor w pudle... Zawieszony na Akademii. Nie próbował się odwoływać... Czy coś cię w tym *curriculum vitae* zastanawia?

– Co taki marny typek mógł wiedzieć aż tak ważnego, że chciał się spotkać osobiście z elektem? I dlaczego zginął?



– Znow poprawne rozumowanie. Rzeczywiście, co mógł wiedzieć organizacyjny nowicjusz?

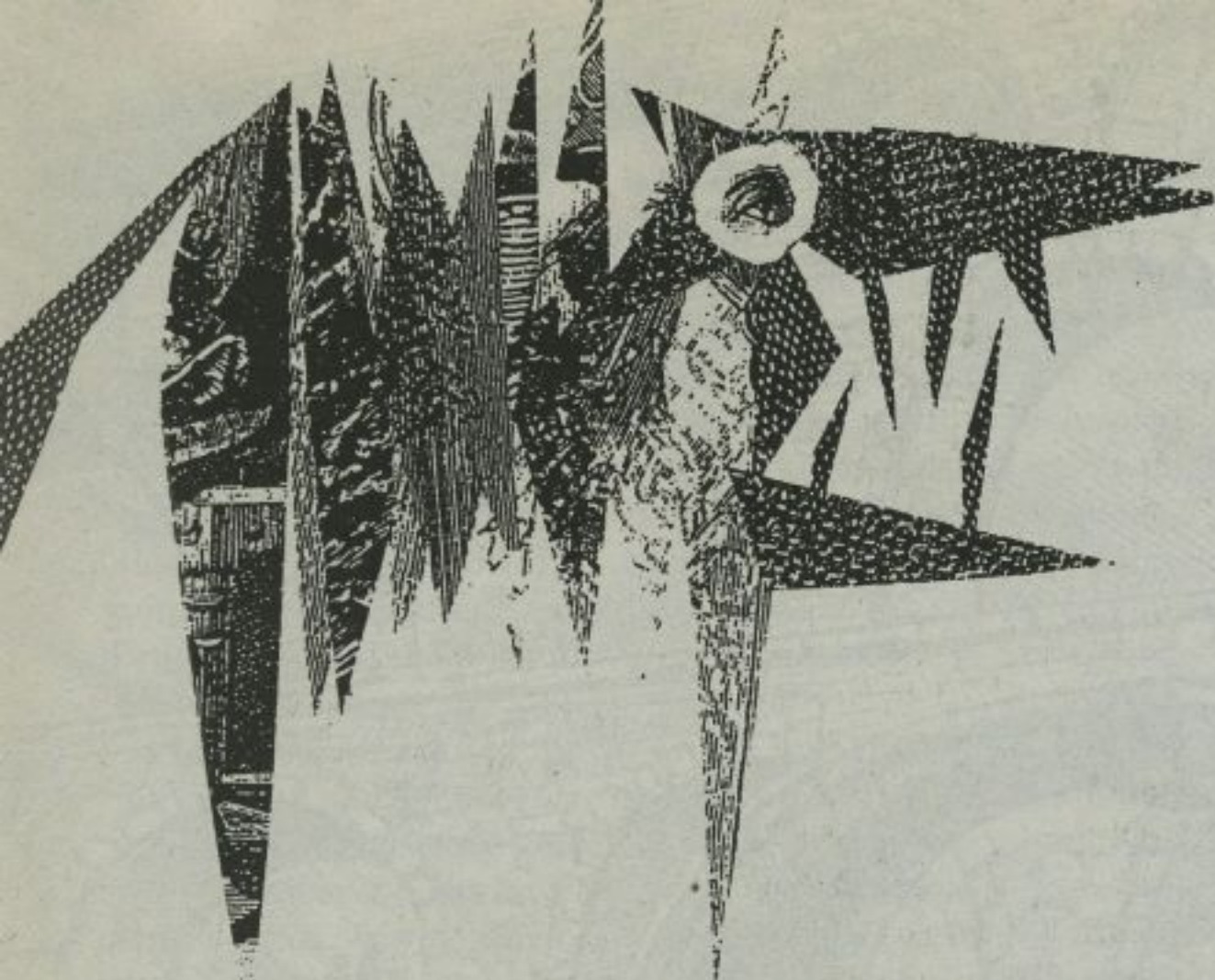
– Może coś podsłuchał przypadkiem. Może ci „Agressores” planują zamach na Cedrusa?

– Nie mają na to dość sił. Poza tym w czyim interesie leżałoby zgładzenie Cedrusa? Ekumeny, Wandalii? – Quintus jest człowiekiem środka. Opowiada się za pokojem, harmonijnym wzrostem gospodarczym. Herdatausa popierały koła militarne, ale nawet militaryści nie mają prawa obawiać się Quintusa. Będzie elementem sprawnie działającego systemu, nie władcą absolutnym. Poza tym wiemy, że morderca działał w kręgu najbliższych współpracowników kandydata – dokonał zbrodni, pozacierał ślady...

– Czyli może należy wykluczyć teorię zamachu. Może Narens uzyskał informację o kimś z najbliższego otoczenia elekta. Informację dla tego kogoś niebezpieczną... Cenną dla potencjalnego szantażysty?

– Ciepło, ciepło, synu. Tylko dlaczego Narens wspominał o spisku? Żeby zwrócić na siebie uwagę?

cdn.



JACEK SOBOTA

wieczó

Nie dawajcie psom tego, co święte.

EWANGELIA WEDŁUG ŚW. MATEUSZA

Tego wieczoru myślenie nie przychodziło Dolsilwie łatwo. – Być... żyć. Być... rzyć. Być... wyc – szukał gorączkowo dobrych rymów, lecz znajdował wyłącznie banalne. – Być albo nie być... Taaa, to dobre pytanie.

Cisnął wściekle gęsie pióro na ziemię i jął tratować buciorami, wcześniej bezwiednie pozbawiwszy je puchu... Przyczyną zachowań poety była męka twórcza, co przyprawia swe ofiary o gorączkę w oczach, niezborną i gwałtowną gestykulację oraz mamrotanie słów nie chcących układać się w zdania.

Dolsilwa jak zawsze usiłował wymierzyć sprawiedliwość widzialnemu światu.

Ale świat jakoś tego nie dostrzegał.

Nawet miejsce (a był to tani i podrzędny lupanar) nie sprzyjało twórczym nastrojom. Święto Płodności zgromadziło w Barden nieprzebrane tłumy kupców i kupujących; gospody były przepełnione, a ceny przypominały wysokością górskie łańcuchy. Lupanar nie z takich gości się utrzymywał – noclegi były tu tanie.

Wystrój pomieszczenia przygnębiał Dolsilwę wulgarnością – szczególnie różnokolorowe szmaty zwisające dosłownie ze wsząd, co być może sprzyjało nastrojowi obyczajowej rozwiązłości, ale zarazem było manifestacją kiepskiego doprawdy smaku. Szmaty, poruszane przeciągiem, rzucały na ściany płochliwe cienie, które nieustannie przed sobą umykały przyprawiając Dolsilwę o płasanie oczu. Natomiast z wysokości piętra nieprzerwanie dochodziły odgłosy intensywnie uprawianej miłości. Zaskakiwały różnorodnością – ktoś charkotał jakby duszony, inny swiergolił niczym osamotniony wróbel, często również dobywano z siebie jęki wyczerpania. Nakładał się na to płacz niemowlęcia, który Dolsilwa wziął zrazu za wyrafinowaną grę miłosną; potem jednak dowiedział się, że któraś z dziewczek urodziła niedawno dziecko. I jeszcze ten przyprawiający o mdłości fetor spoconych ciał. Poeta był przekonany, że rzeczywistość sprzysięgła się przeciw jego przeczulonemu zmysłom, atakując je kakofonią dźwięków i potwornym bukietem zapachów.

Gdzieś na piętrze rozpętała się kłótnia – klient poróżnił się z personelem o metody przeliczania miłości na złoto. Dziewka twierdziła, że liczy się czas uprawy (pewien znany artysta nazwał kiedyś miłość fizyczną *gorzkimi żniwami*, zatem rolnicze porównania były jak najbardziej uprawnione), klient natomiast uparł się przy liczbie stosunków jako przeliczniku. Ponieważ do spełnienia nie doszło, nie chciał płacić, na co dziewczka jadowicie ripostowała, że klepsydra dwukrotnie była obracana i sugerowała niedwuznacznie impotencję niefortunnego kochanka. Spór ucieła Kolchinea,

właścicielka lupanaru, egzekwując od klienta połowę zapłaty, a dziewczkę strofując za niedostatek zawodowych kwalifikacji. Kolchinea uchodziła kiedyś podobno za skończoną piękność. W pewnym wieku widać jednak, że piękno rzeczywiście nie jest kategorią nieskończoną. Poeta usiłował policzyc podbródki Kolchinei, jednak za każdym razem wychodziła mu inna ich liczba.

Aż nagle cały ten zgiełk i rwetes ucichł; nawet niemowlę umilkło. Często tak bywa w dzikich ostępach (bo w burdelach rzadziej), że pojawienie się drapieżcy niesie z sobą ciszę i bezruch. Dolsilwa rozejrzał się wokół w poszukiwaniu źródeł nagłego i niespodziewanego spokoju. Ujrzał trzy Psy schodzące z piętra. Jak rdza trawi metal na skutek wilgoci, tak Dolsilwie doskwierała ciekawość – skąd w Barden Psy w takiej obfitości? Pies był magiem, mędrce, królem poznania, badaczem pism starożytnych, alchemikiem i, powiadano, zabójcą. Nazwa cechu brała się z godła – zawsze był to pies, bez względu na krainę, bez względu na pochodzenie, na status społeczny mędrca. Pies miał znaczenie symboliczne – pozostawał w ścisłym związku ze śmiercią, był pośrednikiem między światem żywych i umarłych. Nazwa cechu kryła w sobie dwoistość – prosty lud odczuwał w stosunku do magów zabobonny niemal lęk, ale i pogardę. Nie był to bowiem lekki kawałek chleba; powiadano, że Psem mógł zostać ten jeno, kto za życia umarł; którego dusza kamieniem się stała, a sumienie – wspomnieniem. Wiadomo, że pies służy ludziom. Ale przecie nie wszystkim. Gadano, jakoby ubocznym zajęciem Psów było zwalczanie tajemnych a krwiożerczych stworów grasujących po borach i gościńcach świata. Jednak prawdziwe ich cele pozostawały tajemnicą.

Wieść o pojawieniu się niemal w tym samym czasie trzech Psów z różnych stron świata rozniosła się po Barden lotem błyskawicy. Psa nie było tu od dziesięcioleci – świąteczny nastrój prysł; na domiar złego i niedobór dobrego dużo mówiło się o przepowiedni nadwornego astrologa księcia Sorma – oto w okolicy miał się jakoby narodzić Król Królów, Pogromca Autorytetów, Łamacz Praw.

Pierwszy przybył Per kac – z zachodu. Jego droga nie była długa. Oficjalnym celem wizyty był Pożeracz Cieni grasujący jakoby po ciemnych zaułkach Barden. Istotnie, zaginięcia mieszkańców miasta dramatycznie się ostatnio nasiliły. Dolsilwa wyczytał kiedyś w „Bestiariuszu” niejakiego Grobesa, że Pożeracz Cieni *przód ma krokodyla, środek lwa, a tył hipopotama*, więcej w tym jednak bredni było niżli prawdy. Stwór żywić się miał cieniami istot żywych – fakt ów nastroczał jednak myślicielom wątpliwości co do natury

Marek Adamik

Monice B., Muzie uroczu „drobiącej”

r trzech Psów

jego metabolizmu; nie mogła to być wszak przemiana materii. O Pożeraczu Cieni napisano nawet rozprawy filozoficzne, jako o tym czynniku, co pozbawia przyczynę skutku. Czy może istnieć przyczyna bez skutku? – rozważano. Niektórzy odpowiadali na to pytanie twierdząco, odwracając tym samym porządek świata. W każdym razie istoty pozbawione cienia znikać miały w niebycie.

Perkac zabrał się do zagadnienia praktycznie. Przez dwa dni z rzędu organizował szeroko zakrojone obławy. Podobno niektórzy uczestnicy nagonki widzieli Pożeracza, jednak każdy inaczej go opisywał. Jeden widział krokodyla, inny lwa, jeszcze inny „coś na kształt hipopotama”. Dość, że trzeciego dnia potwora zagoniono do opuszczonego domostwa na peryferiach Barden. Perkac miał podobno dylemat, jak też monstrum uśmiercić: dostarczając mu nadmiaru cienia (na przykład w postaci fermy kur lub stada królików), by – z powodu własnej łapczywości, która obrosła legendami – zdechł z przeżarcia, czy też, co było sposobem wolniejszym, ale skuteczniejszym, odciąć go raczej od cieni? Wybrał sposób drugi. Wokół domu ustawiono strażę, a następnie zaślepiono wszelkie otwory, które mogły dostarczać światła. Pozbawiony cienia – potwór skonać miał z głodu.

W niejaki czas po Perkacu tego samego dnia przybyli dwaj pozostali. Chormiel ze wschodu, gdzie rozciągały się nieskończone stepy, i Zaarbalt z odległej krainy Hongh. Teraz wszyscy trzech siedzieli przy jednym stole, popijając niespiesznie wino i rozprawiając w nieznanym Dolsilwie języku. Różnili się między sobą w niemal każdym szczególe; inaczej się zachowywali, gestykulowali, inne też były ich upodobania smakowe. A jednak Dolsilwa nie miał wątpliwości: więcej ich z sobą łączyło niż braci syjamskich. Gdyby poeta znał historie ich żywotów, być może nie narzekałby na brak weny.

Nieoczekiwany przeciąg przyspieszył bieg cieni. W luparnarze pojawili się nowi goście. Wkrótce Dolsilwa ich ujrzał: czterech obwiesi spod ciemnej gwiazdy, każdy z obnażonym mieczem w dłoni.

– Najemnicy... – szepnął Dolsilwa i pomyślał, że robi się coraz ciekawiej.

Dwaj byli doświadczonymi wojownikami; pozostali mleko mieli pod nosem. Na widok magów siedzących przy stole najemnicy stanęli jak wryci.

– Psy! – krzyknął najstarszy, wyraźnie zaskoczony, lecz bynajmniej nie przestraszony.

– Tfu! Na psa urok! – zawtórował mu jeden z młodszych.

Z góry pospiesznie schodziła do nich Kolchinea trzęsąc wszystkimi podbródkami.

– Nareszcie! – krzyknęła.

– Gdzie jest bachor? – zapytał najemnik.

– Na górze. Zaprowadzę – w oczach Kolchinei błysnęła chciwość. – Co za to dostanę?

– Pozbywasz się kłopotu, kobieto. Zresztą już się umówiliśmy. Cnob, idziesz z babą. Ty załatwisz sprawę. Kawalkado i Kandan zostają ze mną – komenderował stary.

– Z przyjemnością – rzekł ten nazywany Cnobem.

– Panowie z psiarni! – stary spojrzał na milczących mędrców. – Pozwólcie, że się przedstawię. Jam Jago o konicznym

godle. Ja i... moi towarzysze broni mamy tu sprawę, która was nie dotyczy. Zatem spędźmy ten czas na miłej pogawędce. Myślę, że nasze... hm... rzemiosła dużo mają z sobą wspólnego...

Długo by tak gadał, gdyż odnajdował w tym niewątpliwą przyjemność, lecz rozwój wypadków go uciszył. Oto Pies Zaarbalt ryknął coś niezrozumiale i jął szarpać dłońmi brzuch z taką gwałtownością, jakby zamierzył wyrwać z siebie wnętrzności. Po chwili zwałił się ciężko na podłogę i tam zwijał z bólu. Wywracał przy tym oczami, aż było widać białka, z ust obficie toczył pianę.

– Co, do diabła... – zaczął Jago, ale znów nie skończył, bo inny Pies, Chormiel, wykonał błyskawiczny gest o skomplikowanej geometrii i wypowiedział słowa, które dla Dolsilwy brzmiały jak chrząkanie świni. Dość, że w izbie gwałtownie pojaśniało, a zdawało się, że blask ów z powietrza się bierze. Wszystkich obecnych, z wyjątkiem Chormiela rzecz jasna, oślepiło. Dolsilwa słyszał przekleństwa najemników, krzyki kobiety dochodzące z piętra, płacz dziecka i szybkie kroki na schodach – ktoś wchodził na górę.

WIARA

Kolodi mógł uważać się za szczęściarza – urodził się w rodzinie szlacheckiej. Jego ojciec był najważniejszym człowiekiem w Rondrike, peryferyjnej osadzie położonej z dala od uczęszczanych szlaków handlowych. Raz w roku męscy potomkowie rodu mieli prawo, zaszczyt i obowiązek oglądać na własne oczy Horoda, władcę krainy Hongh, którego godłem był Upadły Anioł Z Jednym Skrzydłem. Horoda zwano powszechnie Bożym Namiestnikiem na tym łez padole, mniej powszechne, ale również przyjęte, było określenie „Dotknięty Przez Boski Palec”. Bezlitośnie tępieni opozycjoniści powiadali, że Bóg musiał stracić czucie w palcach, kiedy dotykał władcę Krainy Hongh.

Młody Kolodi nie lubił corocznych eskapad do Keros, stolicy krainy. Miasto było potwornie ludne i zawsze sprawiało na młodzieńcu wrażenie zmęczonego, spoconego. Horod zaś, w końcu żywa legenda, okazał się opasłym knurem o rozwodnionym spojrzeniu zogniskowanym na nicości. Szczęściem ród Kolodich nie miał istotnego znaczenia w geopolityce Hongh, zatem czas oglądu władcy nie był długi. Znamienitsi poddani mieli obowiązek obserwowania Horoda cały jeden dzień w roku. A bywało, że i znaczną część nocy. Kolodi senior im zazdrościł; junior – współczuł; taka była różnica między ojcem i synem. Senior był przekonany, że możliwość oglądania władcy daje rodowi wysoką pozycję i splendor. Celem każdego kolejnego Kolodiego miało być przedłużanie nudnego widowiska. Senior dzięki licznym ranom i uszczerbkom na zdrowiu poniesionym w wojnach przeciw dzikim plemionom Widarian z północy dorzucił dziewiętnaście ziaren piasku w klepsydrze i był z tego powodu bardzo dumny, ponieważ w bieżącym stuleciu był to rekord.

Syn jego, jak najodleglejszy od podobnych ambicji, już jako dziecko odznaczał się niespożytą ciekawością świata. Opowiadano, że w kołysce niszczył licznie dostarczane mu

zabawki, by osiąść tajemnicę ich przeznaczenia i działania. Gdy nieco podrośł, ciekawość gnała go w lesne ostępy, gdzie polował z łukiem, a następnie dokonywał na ofiarach sekcji zwłok, albowiem jeły interesować go zasady funkcjonowania organizmów żywych.

Zdarzyło się, że senior rodu umarł, a jego prawa oraz obowiązki przejął młody Kolodi. Był już wówczas młodzieńcem, niezwykle wysokim co prawda, ale odznaczającym się również chorobliwą niedowagą. Przypominał wyschły pień drzewa tuż przed ostatecznym połamaniem. Twarz miał pociągłą, ascetyczną w wyrazie. Życie uczuciowe Kolodiego nie było bogate. Śmierć ojca zupełnie go nie obeszła, myślał jeno o wykonaniu sekcji zwłok rodziciela, do czego – ze względu na tłum gapiów odwiedzających wystawione w zamkowych katakumbach zwłoki – nie doszło.

Wciąż zżerała go ciekawość świata. W towarzystwie Sekstara, człeka z gminu, którego na wyrost zwykły nazywać przyjacielem, odbywał wielodniowe wycieczki po bliższej i dalszej okolicy. Matka Kolodiego nie pochwałała ani tej przyjaźni, ani niezwykle zainteresowań syna. Dawała Kolodiemu do zrozumienia, że nadszedł czas korzystnie się ożenić, by krzewić i rozprzestrzeniać ród. A nawet i niekorzystnie – byleby rozszerzać rodzinę i oderwać syna od głupstw.

W niecały rok po śmierci ojca Kolodi jął sposobić się do podróży na dwór władcy Krainy Hongh, by dopełnić wiadomego rytuału. Wybierał się niechętnie, a trafić chciał, że jego przyjaciela żywcem zżerała ochota ujrzenia władcy i zapoznania się z dworskimi obyczajami, które zdawały mu się szczytem wykwintu. Od słowa do słowa – zmówili się, że zamienią się miejscami. I tak Sekstar pojechał do stolicy, Kolodi zaś na długie polowanie, bo zamierzał przyczynić się do śmierci pięknych saren; chciał z bliska, takiego bliska, że bliżej już się nie da, przyjrzeć się ich skocznym kończynom.

Obaj byli przekonani, że mistyfikacja się powiedzie. Łączyło ich bowiem pewne podobieństwo, nadto Kolodi pouczył Sekstara na temat arystokratycznych zachowań. Mimo to podmiana została wykryta. Sekstara, jako człeka niepowołanego do oglądania władcy krainy Hongh, skazano na wkłucie oczu i obcięcie dłoni. Po wstawiennictwie Kolodiego, który prosił o pozostawienie Sekstarowi oczu, karę złagodzono.

Pozostawiono dłonie.

Tymczasem ród Kolodich utracił równo trzydzieści ziaren piasku w klepsydrze. Obecnie było ich tylko sto i pięć.

– Dobrze, że twój ojciec tego nie doczekał – powiedziała matka Kolodiego.

Kolodi nic na to nie odparł.

Często odwiedzał swego oślepiętego przyjaciela i opowiadał mu o ptakach; coraz mocniej zajmowało go zjawisko lotu. Sekstar za każdym razem pytał, dlaczego właściwie nie odjęto mu dłoni i nie pozostawiono oczu. Kolodi odpowiadał na to pytanie filozoficznie.

– Równie dobrze, mój przyjacielu – mówił – mógłbyś zastanawiać się, dlaczego słońce jaśniej świeci od księżyca...

No właśnie, dlaczego? – przemknęło przez myśl Kolodiemu; demon ciekawości znów wziął w posiadanie jego duszę, a zagadnienia astronomiczne pochłonięły rozum.

Sekstara nie zadowalały filozoficzne wykładnie losu. Narzekał na jakość życia ślepcy; brak kolorów był mu niemiły; brzęczenie muchy, na którym – wbrew jego woli – koncentrowały się pozostawione mu zmysły, przyprawiało biedaka o udrękę bezsenności.

Któregoś dnia Kolodi zabił Sekstara i z ciekawością obejrzał jego organy wewnętrzne. Kiedy zabijał, powtarzał szepem, że to dla dobra wszystkich ludzi, a w jego oczach lśniły łzy przypominające drogocenne klejnoty. Kolodi należał do

tego gatunku osobników, którzy zabijają, by jak najwięcej dowiedzieć się o życiu, czynią zło dla ogólnego dobra, wierzą w powszechne szczęście, siejąc wokół siebie nieszczęście.

Ku zgryzocie matki Kolodi opuścił Kondrike na zawsze. Była w nim niezachwiana wiara w doniosłość własnego przeznaczenia. I zdarzyło się, że napotkał po drodze starca, który rościł sobie pretensje do mądrości. Starzec był Psem.

– Widzę, panie, że pcha cię naprzód wielka determinacja. Musisz być człkiem gorzko doświadczonym przez życie – rzekł starzec, gdy wieczorną porą zasiedli przy ognisku.

– Nie narzekam – odparł Kolodi z ujmującą prostotą.

– I to dostrzegam. Pan nie rozróżniasz dobra od zła i wyrzucasz to sobie, prawda?

Kolodi zastanowił się. Wyrzuty sumienia nie były plagą, z którą się zmagał. Dostrzegał jednak, że gdy – we własnym mniemaniu – czynił dobrze, inni ludzie zwykle fatalnie to odbierali. Chciał wiedzieć dlaczego, więc zapytał:

– Dlaczego?

– To proste: jedność przeciwieństw, mój panie! Pan wcale nie widzisz mniej od innych, jeno więcej. Dobro i zło to końce jednego drąga. Z tym jest jak z ogniem i mrozem: niby przeciwieństwa, a w ekstremach działają podobnie – skutki odmrożeń i poparzeń są jednakie, nieprawdaż? Dlatego ludzie dotknięci monstrualnym dobrem fiksują, jakby ich dotknęło zupełne zło.

Wywody starca zdumiały Kolodiego. Oto, do czego zawsze zmierzał – absolutna prostota, uniwersalizm zupełny podany na talerzu w trzech nieskomplikowanych zdaniach!

– Patrzysz na mnie, panie Kolodi – perorował namiętnie starzec – i widzisz Psa. Czujesz zapewne coś na kształt lekkiej obawy i obrzydzenia wymieszanych z ciekawością. A ja ci, panie Kolodi, powiem, że wszyscy ludzie są psami. Tak, wszyscy, nie dziw się. Zwykły pies, a mam tu na myśli czworonoga, nie wie, dlaczego jego pan wymaga od niego szczekania na jednych ludzi i merdania ogonem na widok innych. Nie wiedzą, dlaczego mogą szczać wszędzie, jeno nie w domostwie właściciela. Nie mają pojęcia, po co muszą ścigać do upadłego inne stworzenia, a następnie – wbrew naturze – ich nie zjadać. W zamian dostają gnata i wątpliwą protekcję. Jednak sens praw, które muszą respektować, jest dla nich tajemnicą. Respektują, lecz nie wiedzą, dlaczego. Podobnie sprawy się mają między Bogiem a ludźmi. Wszyscy ludzie są psami, panie Kolodi, ale tylko my mamy odwagę przyznać się do tego i jeszcze czasem potrafimy ugryźć Stwórcę w rękę, która podaje nam gnata! A teraz, panie Kolodi, powiedz, wierzysz mi?!

W Kolodim, gdzieś głęboko, gdzieś, gdzie nie sięgnęłaby żadna sekcja zwłok, było takie puste miejsce: miejsce na wiarę. Wszystko jedno w co. Do tego miejsca odbył się wyścig – kto pierwszy, ten lepszy.

Pierwszy był Pies.

Kolodi Psem zatem został i przyjął imię Zaarbalt, co w psiej mowie oznacza Wierzący Na Słowo.

Nauka psiej profesji odbywała się w Akademii Psów mieszczącej się na wyspie Haanor, którą obmywały ze wsząd wody słodkiego Jeziora Alzaa. Nauka długa była i żmudna, lecz umysł Zaarbalt, choć nieskomplikowanej był natury, okazał się chłonny. Szczególną uwagę, co oczywiste, poświęcał księgom anatomicznym. Nadto wymagano od niego, by bacznie snom swym się przyglądał, albowiem uważano, że tajemny protektor Psów w snach właśnie najczęściej objawiał swą wolę – i to tylko wybranym. Nazywany był Władcą Snów albo – co wydało się Zaarbaltowi nonsensem – Tym, Który Nie Jest. Natura Władcy Snów była tajemnicą, pochodzenie – nieznane, cele – mgliste. Zaar-

balt podejrzewał, że jest to postać legendarna, zatem po jakimś czasie przestał zwracać uwagę na sny, tym bardziej że najczęściej nie śniło mu się nic, z wyjątkiem parujących człecznych wnętrzności.

Ponieważ młodzieniec wciąż przejawiał pewne altruistyczne skłonności (które wprawdzie nie dotyczyły żadnego konkretnego człowieka, lecz całej ludzkości), stary Pies zabrał go któregoś dnia na przejażdżkę łodzią po jeziorze. Dopłynęli do piaszczystego półwyspu nazywanego Półwyspem Żuka. Już w pierwszej chwili Zaarbalt zrozumiał, dlaczego tak, a nie inaczej ochrzczono ów spłachetek lądu. Na piaszczystym brzegu roilo się od ogromnych żuków – były ich miliony, a może i więcej. Drgające punkty wyraźnie odcinające się od tła. Większość, na skutek oddziaływania silnych wiatrów, osypującego się piachu albo fal śmiało penetrujących ląd, leżała bezradnie na grzbietach. Wciąż poruszały odnóżami, wciąż – bardziej chyba instynktownie niż z jakąkolwiek celowością – próbowały zmienić niekorzystne położenie. Daremnie.

– Wyobraź sobie, Zaarbaltie – mówił stary Pies, którego uczniowie nazywali Psem Z Kulawą Nogą, ponieważ lekko utykał – że te nieszczęsne żuki to ludzie w opresji, wszystko jedno jakiej, dość, że w ostatecznym rozrachunku – śmiertelnej. Jak im pomożesz? Ilu ocalisz? Życia nie starczy ci nawet na ułamek. Na którym poprzestaniesz? Który będzie ostatnim szczęśliwcem, a który nieszczęśnik pierwszym i niezasłużonym pechowcem?

Zaarbalt zrozumiał. Odtąd zawsze, gdy zobaczył żebraka przymierającego głodem albo dziewczę bliższą dna niż sukcesu towarzyskiego, nie czynił nic. Za każdym bowiem razem przypominał sobie o żukach. I o daremności.

Kilka lat później, gdy Zaarbalt był już pełnoprawnym Psem, zdarzyło się pewnej nocy, że przyśniły mu się bynajmniej nie parujące wnętrzności. W tym śnie znajdował się na plaży, nawet wydawało mu się, że czuje na twarzy łagodną, ciepłą bryzę, która koiła, balsamowała skórę. Rozejrzał się wokół i wtedy zobaczył żuki; były dosłownie wszędzie – jedna rozedrgana masa. Niemal wszystkie przewracane były na grzbiety. Zaarbalt pochylił się nad jednym i jał obserwować beznadziejną pracę jego odnóży. Zaraz też zapragnął żuka rozplatać i pooglądać go od wewnątrz. Bo wewnątrz właśnie musiała się kryć tajemnica tej beznadziejnej dążności, tego pędu ku istnieniu, który wszyscy nazywają życiem. A jednak coś innego odwróciło uwagę Zaarbalt. Ujrzał w pewnym oddaleniu drobną figurę chłopca, który mógł mieć siedem, może osiem lat. Dziecko niespiesznie przechadzało się plażą, nie robiąc przy tym nic szczególnego. A jednak tam, gdzie przeszło, tam żuki nie były już bezradne. I to nie były żuki.

Byli to ludzie.

J A C E K S O B O T A

Rocznik 1969, olsztynianin, debiutował w „NF” dziesięć lat temu; od paru lat w zespole stałych recenzentów pisma. Drukowaliśmy jego opowiadania: „Splot” („NF” 4/90), „Ręka diabła” (5/91), „Równowaga” (9/92), „Cztery pory roku” (8/93), „Cierpienia hrabiego Mortena” (12/93), „Dwie krople deszczu” (1/95), „Głos Boga” (2/96; także druk w naszej jubileuszowej antologii „Miłosne dotknięcie nowego wieku”) oraz „Będzie ci policzone” (9/99).

„Wieczór trzech Psów” to czwarte już nowelowe podejście Jacka do pisanej na raty mozaikowej powieści o „mortenowej rzeczywistości”. Rzecz jest postmodernistyczną grą, a zarazem pełną bólu filozoficzną przypowieścią o odwróconym, paradoksalnym świecie, jeszcze gorszym od naszego (!?), choć bardzo do niego podobnym. Przyszłe losy najemnych morderców tryumfujących w tym fragmencie znają już Państwo z przedstawionego we wrześniu '99 „Będzie ci policzone”.

(mp)

– Oto jest ten, którego w przyszłości będą nazywać Głosem Boga – Zaarbalt wyraźnie słyszał szept, nie widział jednak szepczącego.

– K... kim jesteś?

– Nazywają mnie różnie. Jak zwali, tak zwali. Musiałeś słyszeć o Głosie Boga? – szept zdawał się dochodzić ze wsząd. Czyli znikąd.

– Stare przepowiednie. Syn Boga wcielony w człeczą skorupę...

– Dobrze, Zaarbaltie, odrobiłeś lekcję. Przyjdzie na świat niebawem, a stanie się to na terenie Cesarstwa Lechandryjskiego. Cesarz już wie i jest... hm... żywo zainteresowany jego śmiercią. Powiem ci dokładniej i musisz to zapamiętać. Opodał miasta Barden, na Zamku Kaltern, dawnej posiadłości hrabiego Mortena. Zapamiętasz?

– Tak.

– Świetnie. On pokaże ci sens świata i przyczynę życia. Weźmiesz go pod opiekę, nauczysz, co sam umiesz. Ukształtujesz go na rasowego Psa. Pozbaw go duszy, a zadbaj o rozum i świat będzie lepszy. Dużo lepszy...

Ale Zaarbalt miał swoje plany. Wciąż bardzo zajmowała go zasada funkcjonowania Wszechświata. Jeszcze w szkole wykonał skomplikowany model: maszynę, której rytm działania miał być zarazem rytmem świata. Jeden z praktyczniej myślących uczniów Akademii wykorzystał model Zaarbalt do konstrukcji pierwszego zegara.

Tymczasem Zaarbalt myślał o wnętrznościach – i to nie byle jakich, bowiem jego umysł bez reszty zajmowały Trzewia Bożego Syna.

Po co będę go o cokolwiek pytał, myślał Pies. Przecie jego wnętrzności muszą być modelem świata. Zrozumiem wszystko, gdy ujrzę jego serce.

Myśl ta pochłonięła Zaarbalt bez reszty, jakby nie myślała, a przepaściła. Towarzyszyła mu podczas przygotowań do dalekiej podróży i podczas samej wędrówki do Cesarstwa Lechandryjskiego. W trakcie dwutygodniowej żeglugi wzdłuż brzegów Morza Martwego Psu zebrało się na wymioty – zmogła go choroba morska. Pogłębiło to jego irytację na niedoskonałość człecznej kondycji, miał za złe własnemu organizmowi taką oczywistą słabość. Usiłował umysłem zaplanować nad reakcją wymiotną. Daremnie. Owe zmagania na krótki czas oddaliły go od myśli o Bożych wnętrznościach. Gdy zdał sobie z tego sprawę, opanował go jeszcze większy gniew; no bo jakże to – słabizna własnej kondycji oddalać go ma od myśli o Absolucji?!

Barden zaskoczyło Zaarbalt swą pokazową, jak mu się wydawało, żywotnością, wigorem. Wszystko działo się tu szybciej, w większym natężeniu niż w jego rodzinnych stronach; ludzie wydawali się żyć pełniej, radośniej. Lecz Zaarbalt myślał o nich wszystkich jak o żukach przewróconych na grzbiet. Ot, te żuki po prostu szybciej przebierają odnóżami, lecz daremna to aktywność.

Spotkanie w lupanarze (instytucje podobne były w Krainie Hongh czymś nie do pomyślenia) z dwoma innymi Psami wywołującymi się z innych części świata, innych kultur, innych Akademii wreszcie, zdumiało Zaarbalt, jednak nie doprowadziło jego umysłu do żadnych głębszych refleksji. Po prostu brakło miejsca, Pies bez reszty był pochłonięty jedną obłądną ideą.

Trzeciego dnia pobytu w Barden zebrali się wszyscy przy jednym stole, pili wino i gadali. O dziwo, choć pod każdym względem odlegli, zdawali się Zaarbaltowi bliżsi niż ktokolwiek inny – nawet jego matka, nawet przyjaciel, którego zabił. Nie wsłuchiwał się uważnie w rozmowę, sam raczej milczał. Raz wznosił toast, chcąc wyrazić wdzięczność opatrznosci za tak interesujące spotkanie, ale zamiast „wdzięczności”

wyszły mu „wnętrznosci”, więc umilkł, zawstydzony. Tymczasem dwaj pozostali mówili coś o Pożeraczu Cienia, o cieniu świata, o jakowychś Trzech Królach.

Zaarbalt czuł się bardzo źle i jego stan pogarszał się z każdą chwilą. Znów, jak na statku, nie potrafił siłą umysłu zapanować nad buntem organizmu. Jakby zapomniał, że umysł też jest jeno częścią organizmu.

– Ale to się zmieni – szeptał do siebie. – Już wkrótce się zmieni... Wszystko się zmieni...

Głęboko w to wierzył. Nawet wówczas, gdy upadł na podłogę tocząc z ust pianę i wywracając oczy aż po białka.

I z tą niczym niezachwianą wiarą umarł.

NADZIEJA

Wiele wskazywało na to, że losy Gerolda z miasta Menola są przesądzone. Od dziecięcych lat cichy, spokojny, skoncentrowany na własnym, nieco po prawdzie ubogim, świecie wewnętrznym, zawsze na uboczu, nieco od swych rówieśników mniejszy, znacznie bardziej wyciszony. Podobno jeszcze w kołysce leżał nienaturalnie spokojnie, niczego się nie domagając, nawet pokarmu. W gruncie rzeczy Gerold wydawał się niezmienny jak gład, ale z kamienną twardością nic wspólnego nie miał; wręcz przeciwnie – była w nim miękkość i miałkość, być może przesadzona z góry wyglądem zewnętrznym. Wystarczało Geroldowi jedno krótkie zerknięcie w zwierciadło, a choćby nawet i w kałużę, i hardość natychmiast się w nim załamywała – a to na skutek łagodnych rysów twarzy, dziewczęcych niemal.

Pochodził Gerold z rodziny mieszczańskiej; ojciec był krawcem i wyglądało na to, że syn pójdzie w jego ślady. Chłopiec spędzał długie godziny pośród strojów i materiałów. Kiedy był pewny, że nikt go nie widzi, rozmawiał z nimi nawet. Miał wówczas wrażenie, że obcuje ze światem wykwintu i dobrych manier, że oto nagle stał się kimś lepszym i przekroczył ramy zakreślone nad jego życiem przez przeznaczenie. Rodzice Gerolda trzebili w nim wszelkie ambicje nie licujące z jego pochodzeniem i pozycją społeczną. Byli przekonani, że czynią to dla jego dobra, oszczędzając mu niepotrzebnych rozczarowań i bólu. Nie wiedzieli, że cierpienia w żaden sposób nie da się wyminąć, a rzeczywistość bywa w swym bezosobowym okrucieństwie przezorna.

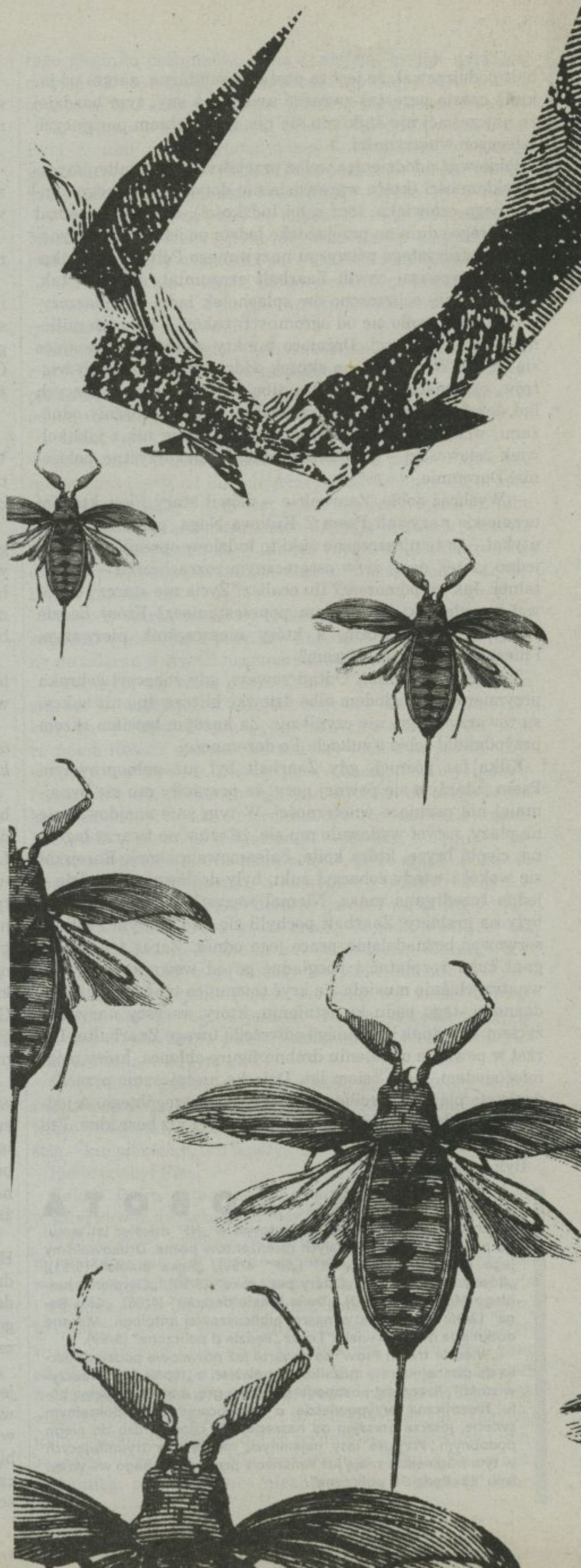
Gerold dorósł i – rzeczywiście – został krawcem. Dawało mu to okazję do mierzenia kobiet w talii oraz biuście. Często były to piękne arystokratki o atlasowej skórze i porcelanowej cerze, lecz młodego krawca zupełnie to nie poruszało – wydawało się, iż jego marzenia rzeczywiście zostały wytrzebione. Mimo to, w samotności, dobrze ukrywając swą tajemnicę, wciąż przemawiał do strojów.

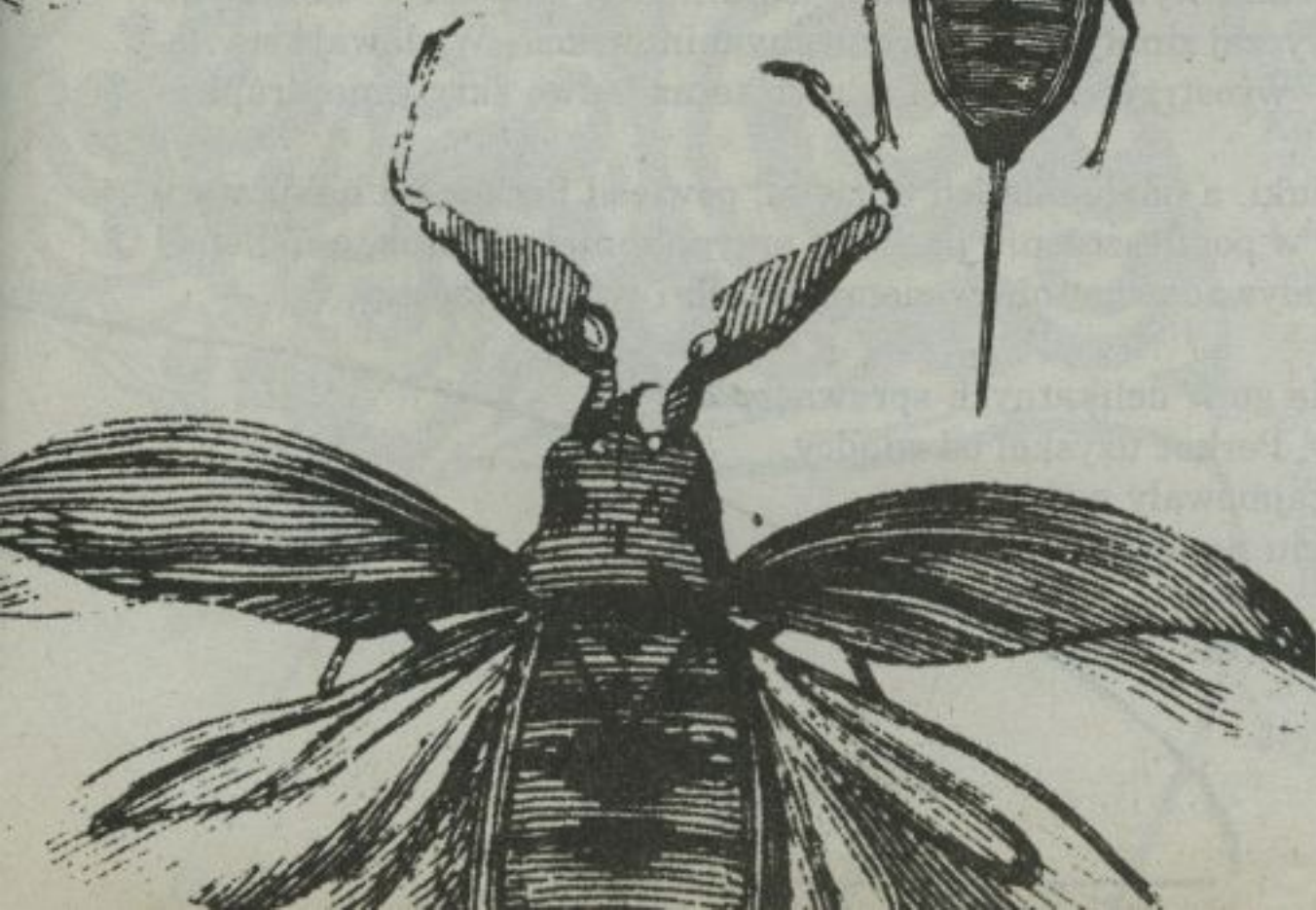
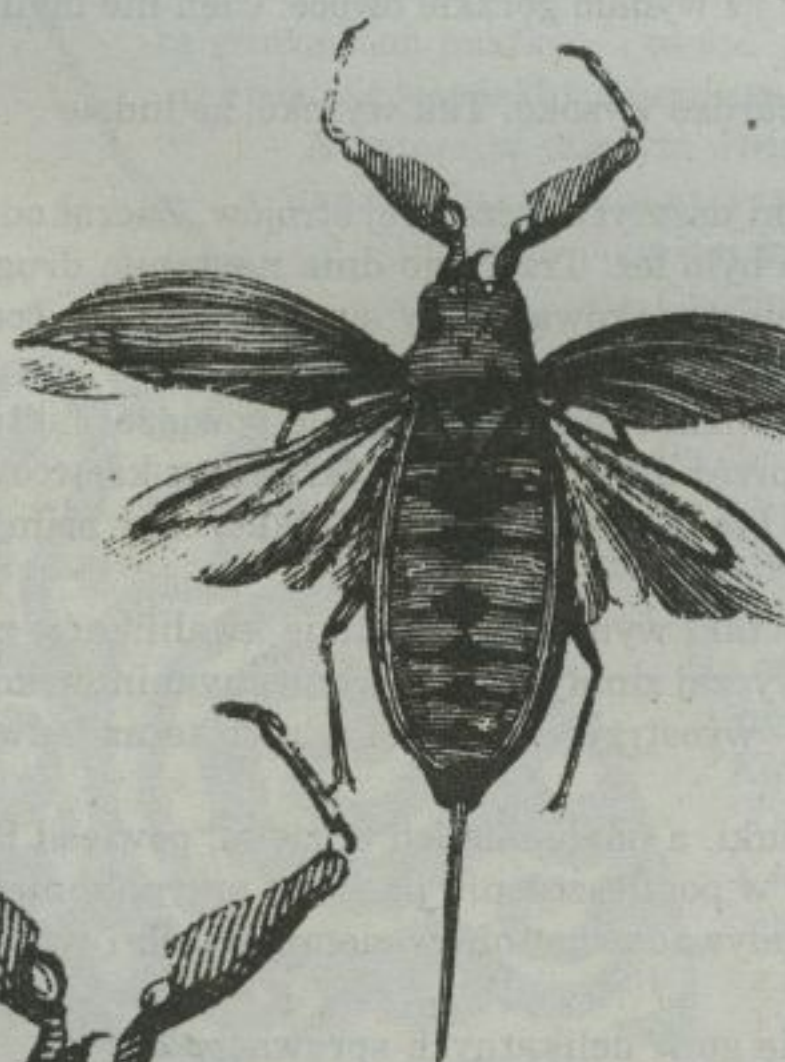
A stroje mu odpowiadały.

Gerold dorosły okazał się niemal dokładną kopią Gerolda brzdąca. Ta sama łagodność rysów przekładająca się na łagodność obyczajów; ta sama nieśmiałość i małowówność. Był co prawda większy, lecz proporcje zupełnie się nie zmieniły – pod żadnym względem.

Ojciec i syn prosperowali nieźle, ich zakład przy ulicy Krzywe Koło powiększył się o dodatkowe pomieszczenia. Ubierali się u nich arystokraci i bogaci kupcy. Wszystko zatem układało się dobrze – do czasu.

W Menoli pojawił się niejaki Kerac, emigrant (podobno polityczny) z Krainy Hongh, a przy tym – jak się wkrótce okazało – krawiec. Z miejsca przystąpił do odzieżowej ofensywy i od razu z sukcesem. Jego oferta niosła z sobą egzotykę i oryginalność, dobór kolorów szokował, a już fu-





rorę zrobiły obszerne kołnierze i haftowany wzór godła władcy Krainy Hongh: Upadły Anioł Z Jednym Skrzydłem. Ojciec Gerolda zareagował natychmiast odważnym połączeniem żółci z fioletem, jeszcze obfitszymi kołnierzami, lepszą jakością materiałów oraz – w patriotycznym uniesieniu – haftowanym godłem cesarza Lechandrii: Kobieta Bez Włosów Łonowych. Ten akt krawieckiej desperacji władze miasta uznały za szarganie symboliki cesarstwa. Starego Gerolda niezwłocznie osadzono w lochu, gdzie umarł po upływie trzech tygodni na skutek fatalnych warunków sanitarnych.

Matka Gerolda doznała pomieszania zmysłów; nieustannie wydawało jej się, że widzi męża. Chętnie do niego przemawiała, co przed tragiczną śmiercią krawca zdarzało się rzadko. Natomiast syna zdawała się nie dostrzegać – jakby to on właśnie umarł. Gerolda nawet to nie dziwiło; sam przecie zwykł rozmawiać z ubraniami.

Po śmierci ojca w Geroldzie zaszła, zrazu niedostrzegalna, zmiana – jakby nagle runęły tamy jego prawdziwego, choć latami ukrywanego, charakteru. Była to pierwsza z jego dwóch wielkich metamorfoz życiowych.

Któregoś dnia nałożył na siebie szczególnie elegancki strój, który odznaczał się również niepospolitą gadatliwością i, mrużąc pod nosem, udał się do zakładu znakomitego konkurenta. Kerac, powodowany pogardliwą ciekawością, przyjął Gerolda. Spodziewał się uniżoności, niepewnej propozycji połączenia sił, na co zamierzał oczywiście odpowiedzieć odmownie. Nic podobnego nie nastąpiło. Gerold, znacznie od konkurenta niższy, wspiał się na palce i wymierzył Keracowi siarczasty policzek. Wyrzucono napastnika kopniakami. Mimo to Gerold, chyba po raz pierwszy w życiu, poczuł się dumny. Nic nie wskazywało na to, że zająście zmieni jego życie na lepsze. Tak się jednak stało.

Świadkiem awantury była Meroni, posługaczka w zakładzie krawieckim Keroca. Kobieta niezbyt wielkiej urody, za to wielkiego serca. Czasem wydawało jej się, że przestrzenią swego serca może objąć świat cały, z jednym jednak wyjątkiem: nienawidziła szczerze Keraca. Człowiek ten – poprzez swą arogancję, oschłość i bezwzględność – krystalizował jakby całe zło rzeczywistości; był uosobieniem tego, czego Meroni nie potrafiła znieść.

I tak zaczęła się ich dziwna miłość. Oboje nie potrafili zrazu uwierzyć we własne szczęście. Szczególnie Gerold, który był przekonany, że jego los jest przesadzony. Nie brał pod uwagę potęgi pieczołowicie hodowanego przez Meroni uczucia; ta kobieta bez trudu mogłaby pokochać trędowatego, ostatniego potwora, gdyby dostrzegła w nim choć cień dobra. A w miłości charakteryzował ją wielki upór; niektórzy nazywają to wiernością. Z czasem Gerold przestał przejmować się swoimi niedostatkami, zaczął wręcz je uważać za atut. W tych stronach ludzie niechętnie dążyli do doskonałości w czymkolwiek, a to z obawy przed obrazą Stwórcy. Koła u wozów były nie do końca koliste, wieże zamków – niezbyt strzeliste, a i ulice nazywano tak, by Bogu nie urągać: Krzywe Koło, Brudna Sadzawka albo Łysy Pagórek. Zatem nędza własnej kondycji wydała się w końcu krawcowi jak najbardziej na miejscu.

Meroni objęła swą przerośniętą uczuciowością również matkę Gerolda, co nie było łatwe, albowiem staruszka przestała już dostrzegać kogokolwiek z wyjątkiem swego męża nieboszczyka. Gerold coraz rzadziej przemawiał do strojów, a te przestały mu odpowiadać.

Ślub był skromny; takie też miało być życie młodej pary. Więcej nie potrzebowali – tylko odrobiny wzajemnego

ciepła, przy którym ich dusze i serca mogły wreszcie odtajać niczym dłonie zgrabiały od chłodu. Któregoś dnia Meroni powiedziała mężowi, że jest przy nadziei. I nadzieja zagościła w ich domu. Gerold natychmiast zabrał się za szycie ubranek dla dziecka; wkrótce urósł ich cały stos. Myślał tylko o jednym – że zapewni dziecku los lepszy niż ten, który przypadł jemu w udziale; że nigdy nie będzie zabijał marzeń swojej latorośli.

I niech diabli porwą tradycje krawieckie!!!, myślał, szyjąc wciąż nowe ubranka.

Pewnego dnia zszedł do piwnicy w poszukiwaniu odpowiedniego materiału. Leżały tam całe bele płótna, aksamitów; w najróżniejsze wzory, we wszystkich możliwych kolorach. Poniewierały się również stare, zużyte lub wybrakowane stroje.

Nagle Gerold poczuł Obecność. Nie była to obecność kogoś konkretnego, ta Obecność nie potrzebowała materialnego ekwiwalentu. Gerold poczuł ją znacznie mocniej i pełniej niż wtedy, gdy rozmawiał ze strojami.

– Jest tu kto? – zapytał drżącym głosem.

– Jest. I nie jest – odparła ciemność. – Jest Nikt.

Stary surdut leżący w kącie jakby nagle napęczał i jał opinać szybko formujący się kształt. A kształtem tym była ciemność, najczarniejsza z czarnych, gęsta jak zupa, niemal namacalna – jakby pochodziła z samego dna piekieł. Już po krótkiej chwili ciemność przybrała postać ludzką. Drżący płomień świecy trzymanej przez Gerolda nie mógł przeniknąć tej atramentowej czerni.

– Kim... czym jesteś? – zapytał Gerold.

– Milcz i słuchaj. Nie mam dużo czasu. Twój syn umrze podczas porodu. Twoja żona też umrze. Tak jest zapisane.

– Zapisane? Gdzie? Syn... Mój syn? Meroni...

– Tak postanowił Stwórca, lecz czas twej zemsty nadejdzie. Jeszcze się zobaczymy, Geroldzie.

Surdut, w jednej chwili sflaczały, opadł na ziemię, ciemności rozrzedziły się; po Obecności nie było nawet śladu.

Meroni była w ósmym miesiącu ciąży, kiedy zaczęły się przedwczesne bóle. Gerold od razu przypomniał sobie, że ósemka uchodzi za liczbę fatalną – jako „odwrócona nieskończoność” oznacza przedwczesne zakończenie życia. Nie potrafił znieść spojrzeń swojej żony – było w nich nie tylko przerażenie; było też nieme pytanie – dlaczego? Meroni mniemała, że poprzez swe wszechogarniające dobro wykupiła sobie wreszcie dobry los. Myliła się.

Dopiero wtedy trwoga zagnała Gerolda do Boga. Modlił się gorączkowo, błagał, groził, obiecywał. Miał jednak wewnętrzne przecucie, które kielkowało, rosło, aż wydało gorzkie owoce: Cień nie mylił się, jego rodzina lada dzień umrze. Nadzieja umarła w Geroldzie.

Stało się dokładnie tak, jak było zapisane gdzieś bardzo, bardzo wysoko. Tak wysoko, że ludzie zbyt są krótkowzroczni, by odczytać własny los.

Trzy dni i trzy noce Gerold zajmował się rwaniem na sztuki uszytych wcześniej strojów. Zaczął od ubranek dziecięcych. Cały czas milczał, a w jego oczach nie było łez. Trzeciego dnia nastąpiło drugie wielkie przeistoczenie Gerolda. Zszedł do piwnicy i starannie zapakował stary surdut – jedyny ocalały z tej rzezi. Potem zniknął i nikt więcej nie słyszał o nim w Menoli.

Tej samej nocy spłonął dom krawca Keroa wraz z właścicielem i rodziną. Nikt nie powiązał faktu zniknięcia jednego krawca ze śmiercią drugiego. Dość, że w Menoli przez długi czas panował deficyt krawców.

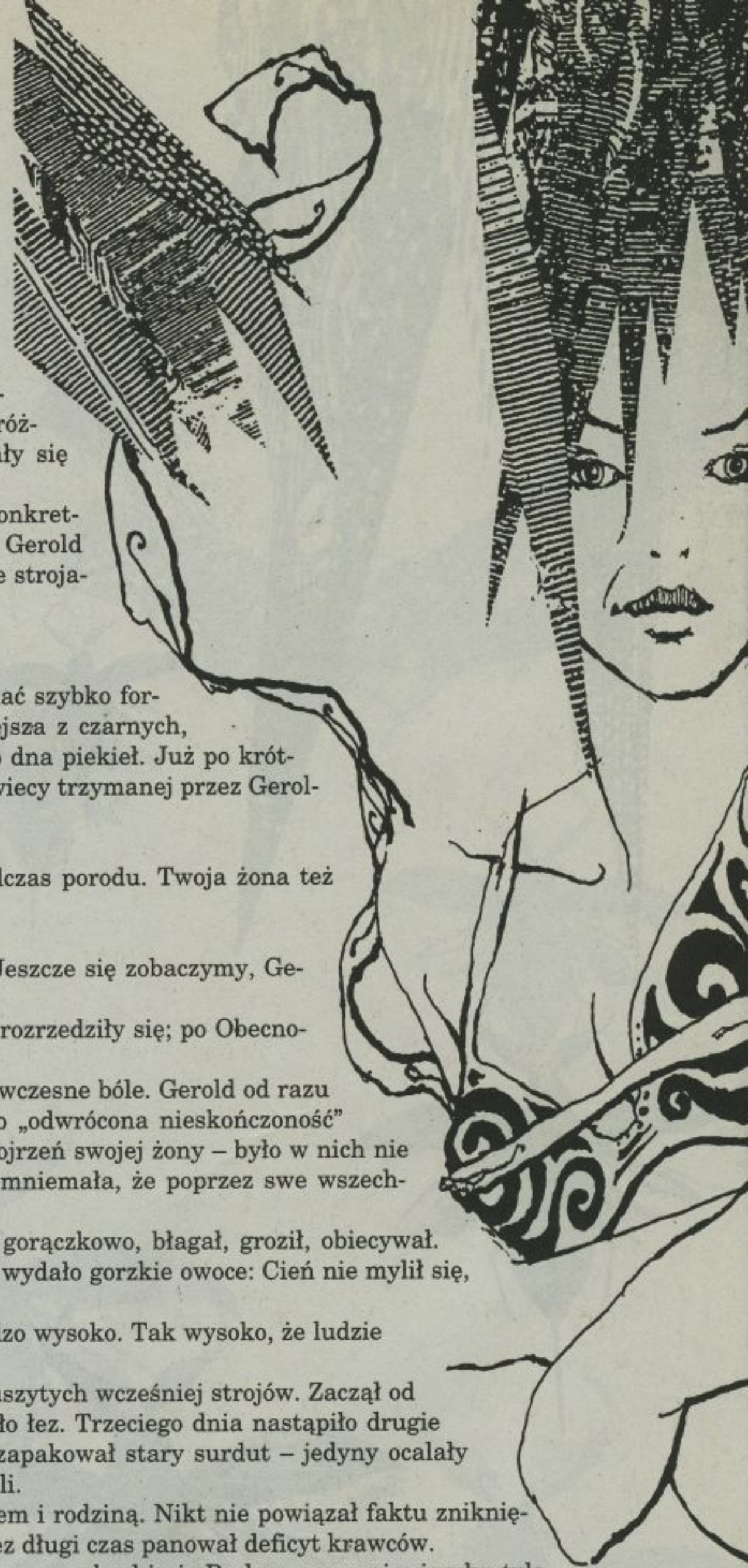
Jakiś czas po tragicznych wydarzeniach Gerold – już jako Pies – przybrał imię Perkac, co w psim języku tyle znaczy, co Nadzieja Głupca.

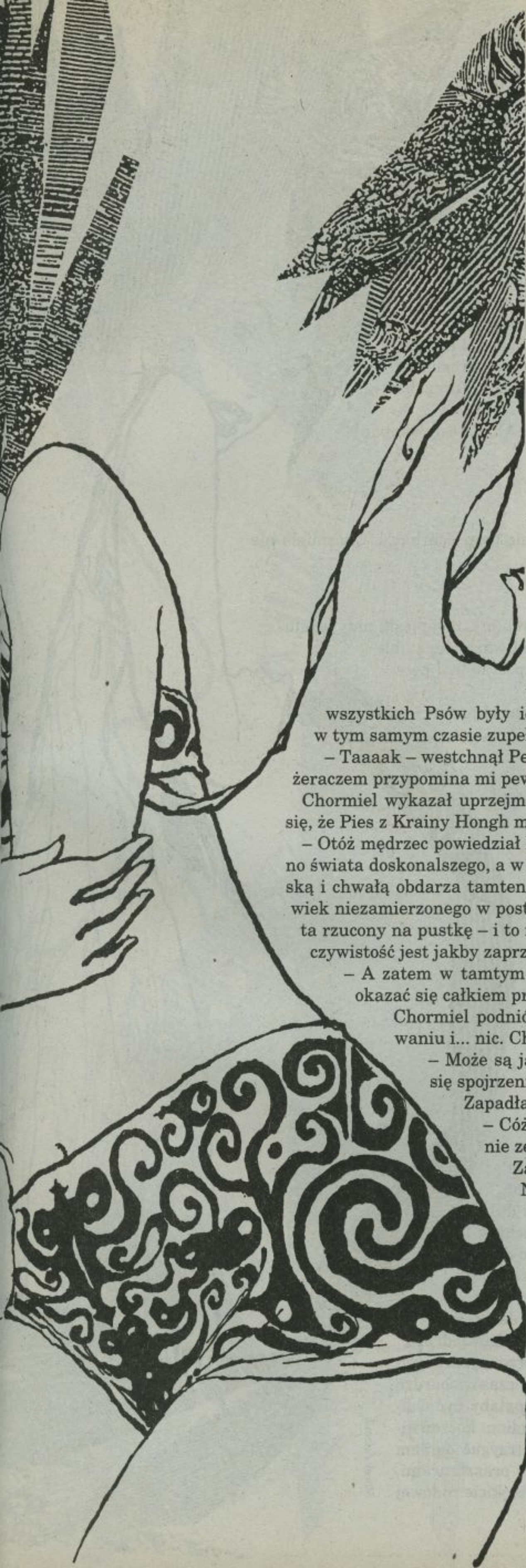
Mówi się, że Pies musi być duszy i sumienia pozbawion – taki wymóg fachu, takie kwalifikacje zawodowe. Perkac bił w tym względzie wszelkie rekordy. Okazał się Psem o nadzwyczaj zimnym i wyrachowanym intelekcie. Wydawało się nawet, że rysy jego twarzy – za młodu łagodne, zaokrąglone – wyostrzyły się; była w nich teraz ledwo skrywana drapieżność. Oczy Perkaca ściały mróz zawziętości.

W swej celi w Akademii Psów, gdzie najpierw pobierał nauki, a następnie ich udzielał, powiesił Perkac na haku stary czarny surdut, którego nigdy nie zakładał. Bardzo lubił, gdy w pomieszczeniu panował przynajmniej półmrok, a najlepiej już mrok. Jeśli nie pracował, potrafił całymi dniami przesiadywać samotnie w ciemnościach i wpatrywać się w surdut; jakby w oczekiwaniu.

Renoma Psa Perkaca rosła; podobno sam Cesarz radził się go w delikatnych sprawach. Za taką właśnie uznać należy narodziny Detronizatora Cesarzy. Perkac uzyskał od władcy wszelkie prerogatywy w tej sprawie. Zresztą już od dawna zajmowały go badania nad starymi przepowiedniami mówiącymi o rychłym przyjściu na świat Syna Bożego, w innych wersjach nazywanego Głosem Boga.

– Ochrypniesz... – często mówił do siebie Perkac. – Głos stracisz... Syn za syna!





Wreszcie zdarzyło się, że stary surdut znów wypełnił się Obecnością i Perkac został poinformowany o miejscu i czasie narodzin Głosu Boga.

Intrygę uknuł szybko i starannie. Nie chciał bowiem wywoływać niepotrzebnego zamieszania swym nagłym pojawieniem się w Barden. Za pośrednictwem zaufanych ludzi, wiernych poddanych Cesarza, rozpuścił po mieście plotkę o Pożeraczu Cieni. Kilku głupców postradało życie dla uwiarygodnienia historii. Całe zamieszanie sprawiło, że Pies przybył do Barden na usilne życzenie władz miasta. Po odegraniu komedii z nagonką i polowaniem Perkac mógł wreszcie zająć się właściwym celem swojej wizyty. Pojawienie się dwóch innych Psów mocno skomplikowało sytuację; Perkac od razu domyślił się, że ma do czynienia z konkurencją. Od czasu historii z krawcem Kera-cem Pies fatalnie znosił konkurencję.

Kiedy zatem pewnego wieczoru zasiedli razem przy stole, Perkac dosypał Psom dyskretnie trucizny do wina.

– Przyznaj jednakże, panie Perkac, że ostatniego Pożeracza Cieni, a wiem o tym, bom sprawdzał w kronikach miejskich, widziano w tych okolicach jakieś czterysta lat temu – powiedział ten, który zwał się Chormielem.

Zaarbałt wychylił kielich, a Perkac skwapliwie dolał mu wina. Pies Zaarbałt wydawał się bez reszty pochłonięty jakąś doniosłą ideą; głównie bowiem milczał. Chormiel za to mówił za dwóch. Jednak ku zgryzocie Perkaca do tej pory nie tknął zatrutego wina. Jego uwaga o Pożeraczu Cienia niosła z sobą oczywisty podtekst – Chormiel wiedział, jaki był prawdziwy cel wizyty Perkaca w Barden; mało tego – zapewne cele wizyt

wszystkich Psów były identyczne. Czyż trzy Psy mogą się spotkać w jednym miejscu w tym samym czasie zupełnie przypadkowo?

– Taaaak – westchnął Perkac. – Ale, ale. Wiesz pan, panie Chormiel, cała ta historia z Pożeraczem przypomina mi pewną starą teorię o cieniu...

Chormiel wykazał uprzejme zainteresowanie, Zaarbałt wciąż milczał; Perkacowi wydawało się, że Pies z Krainy Hongh mocno pobladł.

– Otóż mędrzec powiedział kiedyś – kontynuował Perkac – jakoby świat nasz cieniem był je-no świata doskonalszego, a w każdym razie prawdziwszego. Stwórca całym swym światłem, łaską i chwałą obdarza tamten, prawdziwszy świat. Niezamierzonym (choć czy może być cokol-wiek niezamierzonego w postępkach Boga?) efektem tego procesu jest cień prawdziwego świa-ta rzucony na pustkę – i to ma być właśnie nasz świat. Mędrzec ów wyrokował, że nasza rze-czywistość jest jakby zaprzeczeniem albo odwróceniem rzeczywistości właściwej...

– A zatem w tamtym świecie nasze... – Chormiel zawahał się – ...oryginały mogłyby okazać się całkiem przyzwoitymi ludźmi...

Chormiel podniósł kielich do ust. Perkac wstrzymał oddech w napiętym oczeki-waniu i... nic. Chormiel odstawił naczynie, by mówić dalej:

– Może są jakimiś mędrkami, królami poznania... – urwał i niemal wwiercił się spojrzeniem w Perkaca. – Którzy przybyli złożyć hołd Bożemu Synowi.

Zapadła ciężka cisza.

– Cóż – przerwał ją Perkac – wznoszę toast za nasze... oryginały. Oby nie zeszły na psy!

Zarechotali, napięcie opadło.

Na czole Zaarbałta perlił się zimny pot.

Chormiel wreszcie wychylił kielich.

Kielich goryczy, pomyślał z ulgą Perkac.

Dokładnie w tym momencie do lupanaru wpadli najemnicy z obnażonymi mieczami. Perkac od razu domyślił się, że musi chodzić o tego bachora, który niedawno przyszedł na świat z nieczystego łona jednej z dziewczek.

To sprawa tego głupca Sorma!, pomyślał z wściekłością Pies. Zaraz przyszła mu do głowy inna niewesoła myśl. Zbyt wielu potęgom, ludziom, cesarzom, księciom, Psom i nadprzy-rodzonym Cieniom nie w smak było przyjsie na świat Głosu Boga. Dlatego ich działania wzajem się niwelowały – nie-ustannie wchodzili sobie w drogę. Być może to wszystko, a w tej liczbie i on, Perkac, okaże się częścią Boskiego Planu? Myśl ta była Psu tak nienawistna, że aż się zatrząsł.

Tymczasem najemnik, który zwał się Jago, figura dość po prawdzie szpetna, wywodził o pokrewieństwie rzemiosła psiego i najemnego. Młodszy obwieś, Cnob, poszedł na górę wraz z Kolchinią. A właśnie zaczynało się krótkie, lecz bolesne umieranie Zaarbalt. Widok był nieznośny – w umieraniu jest jednak coś intymnego. Perkac pomyślał, że każdy powinien umierać w samotności. Z utęsknieniem czekał również na zejście ze sceny Chormiela, ten jednak nieoczekiwanie posłużył się Magią Gestu i uczynił to z taką biegłością i szybkością, że Perkac nie zdążył zasłonić oczu. Był to Znak Zii, gest oślepiający – jego działanie nie miało skutków trwałych; więc Perkac cierpliwie czekał. Słyszał przekleństwa najemników, odgłosy tłuczonych naczyń; z góry dochodziły okrzyki kobiety, płacz niemowlęcia. Przez krótki moment Perkac zastanawiał się, po co właściwie Chormiel wtrącał się w robotę najemników? Zaraz jednak zrozumiał: Chormiel nie do końca pozbył się sumienia. Perkac uznał, że to nadzwyczaj zabawne.

Po chwili wszyscy przejrzeni na oczy. Z piętra chwiejnie schodził Cnob; cały skąpany we własnej krwi. Jego twarz przecinała paskudna szrama.

– Dziewka... – wystękał. – Dziewka uciekła!

– Co z bachorem? – zapytał Jago.

– Zabrała go z sobą.

Jago zaklął szpetnie i rozejrzał się wokół. Opodał poniewierał się trup Zaarbalt. Chormiela nie było przy stole.

– Co z tym drugim Psem?

– Zimny – odrzekł Cnob.

– I bardzo dobrze. – Jago zerknął na Perkaca. – I co my z tobą zrobimy, mój pieski przyjacielu?

– Nie wchodźmy sobie w drogę – spokojnie odrzekł Perkac. Nie uważał się za biegłego w doraźnej Magii Gestów; najpewniej nie zdążyłby. Zatem postanowił pertraktować.

– Ja mówiłem o tym wcześniej – zauważył Jago. – Ale twój przyjaciel już wszedł nam w drogę...

– To nie był mój przyjaciel.

– Wszyscyście z jednej sfory. Jak i my zresztą...

Perkac był zaniepokojony. Sytuacja wymykała się spod kontroli, a tego nienawidził.

– Mówmy otwarcie – zaproponował. – Chcecie dostać owego boskiego bachora, co przyszedł na świat gdzieś w okolicy, i sądzicie, że uda wam się tego dokonać mieczkami, tak? Nie macie, panowie, błędnego pojęcia, z czym przyjdzie wam się mierzyć. To Syn Boga. Ja, być może, mam szansę, wy na pewno nie.

– Mądrze prawi jak na Psa, co Kawalkado? – mruknął Jago.

– Ale ty, Psie, nie jesteś bogiem, prawda?

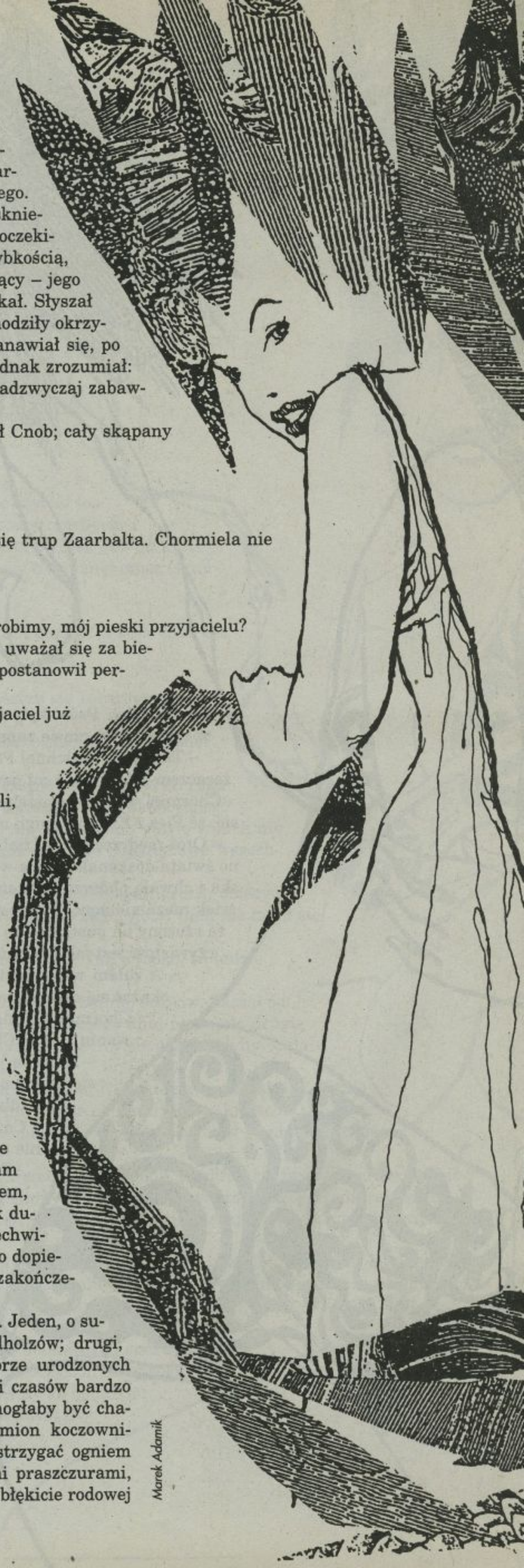
– Mam nadzieję – odrzekł Perkac. Los, jak zawsze perfidny, chciał, by były to jego ostatnie słowa.

– Sprawdźmy – powiedział Jago i przebił psie serce.

MIŁOŚĆ

Daleko na wschodzie ciągną się stepy rozległe jak morza. Wszystko w tej krainie wydaje się większe, obszerniejsze, intensywniejsze niż gdziekolwiek indziej. W gorące, wilgotne lata komary tną tam niemiłosiernie; zimą mróz skuwa ziemię, jakby była jego więźniem, amnestia następuje każdej wiosny. Jesienie bywają tu ponure jak dusza poety. Podczas gwałtownych burz niebo piorunuje glebę wszechwidyjącymi spojrzeniami – marny robał nie umknie jego uwadze, a co dopiero ludzie i ich namiętności, które mają tu potworne przebiegi, a zakończenia nieoczekiwane.

W tych właśnie okolicach wzniesiono przed wiekami dwa zamki. Jeden, o surowej architekturze, od początku należał do szlachetnych Korlholzów; drugi, urządzonego z większym przepychem i smakiem, do równie dobrze urodzonych Wenterów. Nienawiść dzieląca szlachetne rody sięga korzeniami czasów bardzo odległych i różnie powiada się o jej przyczynach. Jedną z nich mogłaby być charakterologiczna niezgodność; Korlholzowie wywodzili się z plemion koczowniczych, krew ich była gorąca i gęsta, wszelkie spory zwykli rozstrzygać ogniem oraz mieczem. Wenterowie inaczej – chlubil się cywilizowanymi praszczurami, wykształcenie odbierali staranne, bardzo lubili gadać o mroźnym błękitie rodowej



Marek Adamik



krwi. Korlholzowie nie pojmowali tej metafory; puszczałi wrogom juchę w celach eksperymentalnych, oczekując po niej nietypowego ubarwienia i temperatury. Nieustannie dziwili się jej pospolitej czerwieni.

Powiadano takó¿, lecz jest to najmniej prawdopodobna wersja, jakoby spór zaczął się od ptaszysk zdobiących rodowe godła i ich zdolności lotniczych. Godłem Korlholzów był Szpak Szpotawy, natomiast Wenterów – Biały Kruk Z Bielmem Na Oku. Obarody najęły pono znawców tematu, lecz ekspertyzy okazały się zgoła odmienne i lotniczego sporu nigdy nie rozstrzygnięto polubownie.

Była i romantyczna wersja historii. Mianowicie seniorzy znakomitych rodów zapalałi jakoby zgubną namiętnością do jednej i tej samej kobiety. Rychło jeden drugiemu łeb strzaskał ze skutkiem śmiertelnym, lecz komu kto, historia milczy. Dość, że od tej pory chlubną tradycją rodów było pouczanie spadkobierców jeszcze w pacholęcym wieku, by unikały jak ognia wyższych uczuć, ze szczególnym uwzględnieniem miłości.

W bieżącym pokoleniu pojawił się równie znakomity powód do nienawiści, a także wzajemnej rzezi. Otóż los, ślepy jak ziarno dziobane przez kurę, chciał, by Korlholz, mimo licznych a mozolnych prób z kobietami o zróżnicowanym pochodzeniu społecznym, spłodził jedno dziecko, podczas gdy Wenter okazał się niespodziewanie jurny – pacholąt dochował się siedemnastorga. Tak poważna dysproporcja w potomności, która zrazu wydawała się w oczywisty sposób działać na korzyść Wenterów, a na korlholzową krzywdę, miała jednak swą drugą stronę. Jedynym dzieckiem Korlholza syn był, zatem spadkobierca, Wenterowi zaś ponurą jakąś serią, córki się jeno rodziły. W okolicy nazywano je Siedemnastoma Mgnieniami Wiosny, bo senior rodu płodził je, gdy na rzekach lód trzaskał. Wenter podejmował również próby jesienne, dla losu odwrócenia; lecz taki płodozmian nie przynosił oczekiwanych rezultatów. Kobiety w tych stronach nie więcej znaczyły niż podpis pod umową majątkową, a często nawet mniej. Wenterowi nic nie zostało, jeno starać się o znamienitych małżonków dla cór, a i nie wszystkich, bo siedemnastcie ślubów z wystawnymi weseliskami zdziesiątkowałoby dobytek. Dla niektórych dziewcząt wyznaczył zatem zupełnie inne role. Wenter był przekonany, że czeka go starość gorzka jak żółć, albowiem krew jego rodu nadto się rozrzedzi, a może nawet zatraci swój błękit i niebezpiecznie się ociepli. Nocami senior fatalnie sypiał, bo nieustannie śniły mu się otaczające go legiony wnuczek, córek jego Siedemnastu Mgnień. O niczym tak nie marzył, jak o gwałtownej śmierci korlholzowego syna.

Pieczę nad młodym Korlholzem sprawował zaufany sługa rodziny, stary wojownik i wiarus, doświadczony przelewacz wenterowej krwi, Gardos godła Stonoga Bez Dwu Nóg. Miał za zadanie nauczyć młodzika trzech rzeczy, lecz dobrze wywiązał się z dwóch jeno. Do robienia mieczem junior, po przodkach, od razu wykazał nadzwyczajny talent i ochotę. Ale już kaligrafia zdała się chłopcu wyrafinowaną torturą, której poddawał się bardzo niechętnie. Gardos twardą miał rękę; zdarzało się, że chłopcu od razów puchły dłonie, a i krew ciurkiem puszczała się spod paznokci. W końcu naturalny opór został złamany, a młodzieniec jął kaligrafować z rzadkim kunsztem; nawet wydawało się, że większą uwagę przywiązywał do formalnej doskonałości w trudzie stawianych liter niż do treści przekazu.

Z czasem nabrało to charakteru łagodnej obsesji – Korlholz mniemał, że graficzna doskonałość i pięknota tożsama jest z prawdą treści i starczy za jakiegokolwiek dowody. To zadziwiające skrzywienie umysłu już w niedalekiej przyszłości zaważyć miało na życiu młodzieńca.

Jedynym wychowawczym zadaniem, któremu Gardos nijak nie potrafił sprostać, było oduczenie chłopca miłości. Korlholz od wcze-

snego dzieciństwa odznaczał się monstrualną kochliwością; zrazu zakochiwał się bez wzajemności w drewnianych zabawkach, potem przeszedł na materię ożywioną, a komplikacja miłowanych organizmów postępowała wraz z wiekiem chłopca. Gardos pojęcia nie miał, jak się do rzeczy zabrać. Wprawdzie opowiadał podopiecznemu, że miłość do kobiet przyprawia mężczyznę o pieczenie żołądka i łamanie w sercu, ale brzmiało to nieprzekonująco. Wreszcie doszedł do wniosku, że by oduczyć Korlholza miłości, wpięty trzeba by nauczyć go nienawiści; a tego wolał uniknąć, słusznie mniemając, że sam los będzie tu najlepszym nauczycielem. Być może nie potrafił stary Gardos uczyć chłopca bezmiłości, bo sam, skrycie, mimo pozorów oschłości, kochał go jak syna.

Był stary obyczaj, że raz do roku niesnaski wszelkie w niepamięć szły, a wrogowie, korzystając z prawa nietykalności, spotykali się na hucznej zabawie w mieście Kelnor. Przeciwnicy rzucali się sobie w ramiona, obiecując dozoną przyjaźń. Lecz już następnego dnia próbowali zgon wroga przyspieszyć, a przyjaźń skrócić.

Zdarzyło się, że młody Korlholz skończył osiemnaście wiosen i tyleż jesieni, zatem mógł udać się po raz pierwszy w życiu na festyn. Oczywiście w towarzystwie Gardosa. Korlholz rozglądał się wokół w oszołomieniu, bowiem ludzi w takim nagromadzeniu jeszcze nie widział. Tu i ówdzie potworzyły się egzotyczne pary wczorajszych i jutrzejszych, ale nie dzisiejszych wrogów. W najlepszej komitywie wspominali kradzieże wzajemnych dobytów, nastawianie na cnotę żony bliźniego swego oraz krwawe mordy na inwentarzu szczególnie znienawidzonego sąsiada.

Zaczęły się tańce. Korlholz zagłębiał się w tłumie niczym w wodach nieznanego morza. Tuż za młodzikiem, w dyskretnym oddaleniu, posuwał się stary Gardos. Sługa sprężył się natychmiast do skoku, gdy ktoś wpadł niespodzianie na Korlholza z tanecznym impetem. Rozluźnił się jednak, bo niefortunna tancerka okazała się dziewczyna, która mimochodem oślepiła młodzika swą urodą. Na jej widok i Gardos jęknął w duchu spodziewając się kłopotów z korlholzową kochliwością.

– Wybacz, panie – rzekła nieznajoma. Jej głos zdawał się mgliście coś obiecywać, choć właścicielki TAKICH głosów nigdy nikomu niczego nie obiecują.

– Wybaczę pod jednym warunkiem: zatańcz ze mną, pani.

Gardos rozważał przez moment możliwość ogłuszenia młodzieńca i dostarczenia go z powrotem do zamku.

Ale na to było już o wiele za późno.

Młodzi zawirowali, choć Korlholz myślał, że to świat wiruje, posagowo unieruchamiając roztańczoną parę. Tak oto tańiec, a nie czyjkolwiek geniusz astronomiczny, świat z posad wybił. Korlholz często mylił figury, tracił rytm, ale w jego ruchach nieposkromiony był żywioł, bo taką miał naturę. Nieznajoma tańczyła z nieomylnością śmierci, bezbłędnie jak Słońce, co zawsze wie, kiedy wzejść i zejść, choć czasem tę wszechwiedzę burzą chmury. Wyglądało, jakby dwa przeciwieństwa jęły niespodziewanie tańczyć, miast szukać nieuniknionej zwady. Ogień z mrozem. Rozkosz z bólem istnienia. Mrok żywy, bo wzrokiem nieprzebity, z blaskiem, który oślepia.

Kobieta z mężczyzną.

Nieznajoma mówiła za dużo, co kontrastowało z zaklętym milczeniem Korlholza, który w werbalnej powściągliwości z kamieniem mógł iść w zawody. Opowiadała o pewnym malarzu, którego obsesją była starość.

– Żebyś widział, panie, z jaką maestrią oddawał na płótnie drzącą poskręcanych artretyzmem dłoni albo fakturę zmarszczek na starczych obliczach. Malował wieczorami je-

no, przy chybottliwym blasku świec. Mniemał bowiem, że wieczór jest śmierci zwiastunem...

Korlholz bardziej wsłuchiwał się w barwę jej głosu, niemal ją widział (łagodne pastele), natomiast sens przemowy mu umykał. Młodzikowi przytrafiła się zatem przygoda podobna tej z kaligrafią.

– ...obiecą, że mnie namaluje – gadała dziewczyna – ale za lat pięćdziesiąt. Powiedział tak, choć sam był już starcem. Jakby jego nie dotyczyły prawa przemijania, jakby stał ponad naturą, ponad śmiercią, bo był przecie portrecistą wieczorów żywota...

Ruszyli powoli ulicami wyludnionego miasta, zostawiając za sobą zgiełk zabawy i całą resztę świata, z wyjątkiem Gardosa, rzecz jasna, który, ukryty w cieniu, podążał za nimi, jakby sam był cieniem.

Wreszcie nadszedł czas wyznań, bowiem Korlholz wyraźnie czuł, że chwila jeszcze, ledwie ziarno piasku, i serce z piersi mu wyskoczy, by samodzielnie przemierzać kontyenty w poszukiwaniu spełnienia.

– Kim jesteś, pani? – zapytał.

– Liściem – odparła – przez wiatr porwanym. Gwiazdą z nieba upadłą. Kołyską bez dziecięcia. Koroną bez głowy...

– Zatem?

– Kobieta? – zadrwiła.

– Bez imienia?

– Och, mam imię. Jam Weni z zacnego Wenterów rodu.

Korlholz poczuł, jak niebo na głowę mu spada kaskadą bardzo ciężkich gwiazd.

– Zacnego Wenterów rodu... – powtórzył bezwiednie. – Przeklętego Wenterów rodu!

– Dla... – nie dokończyła. – Nie... Ty nie możesz być...

– Mężczyzną?

– Korlholzem?! Nieszczęście! – krzyknęła i pobiegła w noc.

Powiadają, że nieszczęścia chodzą parami. Czasem są to pary ludzi.

Mijały miesiące, a w tym czasie Korlholz zmieniał się na gorsze. Zbladł, schudł, szerniał jakby, tak mocno trawiły go sprzeczne uczucia. Nikt prócz Gardosa, co grobowo milczał, nie znał korlholzowej tajemnicy. Wreszcie stary sługa nie wytrzymał cierpienia młodego Korlholza i zaofiarował prostodusznie i z głębi serca, że zamorduje Weni, a całą robotę zakończy odwieczny grabarz miłości – zapomnienie.

Wtedy Korlholz, tytanicznie wysiliwszy umysł, zadał Gardosowi pytanie, które miało mu towarzyszyć przez resztę życia:

– Czy czełek może się zmienić i siłą woli wykastrować z siebie istotę własnej natury?

Gardos nic na to nie odrzekł, ale zaraz pojął, że sprawa poważniejszą jest niż początkowo mniemał. Postanowił nie dopuścić do dalszej utraty wagi przez młodzieńca, ani do gwałtownego zapadania się jego błękitnych oczu w pogłębiające się wąwozy oczodołów, ni czernienia oblicza, co widowym jest znakiem podobnych procesów zachodzących w duszy. Zatem taki plan Gardos obmyślił: młodzik list miał napisać tajemny a miłosny, stary sługa natomiast wykorzysta dawną znajomość z piastunką wenterowych Mgnień; ta z kolei dostarczy pismo pięknej Weni. Jak postanowili, tak też uczynili.

Korlholz, w udręce ducha, pisał dwa dni i tyleż nocy, bardziej dbając o piękno stawianych liter niż o treść listu. Zatem zdumiona Weni przeczytała, że umysł młodzika wygotuje się niczym kasza, a serce na przestrzał przebije piersi, by siłą miłosnego ciągu przedzierać się przez gleby i skały – aż na samo dno piekieł; mimo że piekło dna nie ma. A duszy to Korlholz zgoła całkiem już nie posiada, bo wyparowała

w wysokiej temperaturze miłości. Młodzieniec w słowach tyleż uprzejmych, co formułowanych ze wzgardą dla reguł gramatyki, obiecywał solennie, że jego organizm osiągnie niechybnie stan wyżej opisany, jeśli Weni nie wyrazi zgody na spotkanie.

Gardos zorganizował schadzkę w pewnej wynajętej w Kelnor norze. Miejsce okazało się obskurne, a nędza trwożliwie wyzierała tam z każdego kąta. Młodzi jednak tego nie widzieli, ponieważ w ogóle niczego nie widzieli, jeno siebie wzajem. Stąd liczne ich kontuzje powstałe wskutek zderzeń ze ścianami oraz sprzętami domowego użytku, a także pajączyny wplątane we włosy.

Pierwsze spotkanie zaczęli od wyznania wzajemnej nienawiści, by już po chwili oddawać się zapamiętaniu miłości. Spotykali się nieregularnie, by tropy mylić; często w przebraniu, zawsze incognito. Rychło stał się Korlholz wybitnym, bo jedynym znawcą geografii ciała Weni, a miał także kartograficzne ambicje. Pracowicie kaligrafował w pamięci jej mapę, na którą nanosił cielesne zbocza, doliny i lasy, gdzie zapuszczał się z odwagą zdobywcy nowych lądów.

Lecz stało się, co stać się musiało – intryga wyszła na jaw. Zdarzyło się, że gościł na zamku Wenterów odległy ich krewny, figura nieciekawa i nieco szpotawa; niejaki Redrak. Powiadano, iż szpetota jego charakteru odbijała się piętnem na wyglądzie – i coś w tym było z prawdy. Redrak okazał się prostym człkiem: jego dusza w całości składała się z potrzeb, a niektóre z nich urastały do żądz. Żądze zaspokajać był zmuszony, bo inaczej niechybnie spłonąłby na wewnętrznym stosie samoudręki. Uroda Weni, czyli siódmego z siedemnastu Mgnień olśniła go natychmiast z potworną mocą. Redrak jął cesać się na bok i kwiaty zbierać po ogrodach, co było u niego oznaką chorobliwej fascynacji. Weni za nic miała jego konkury – przedziałek na nieforemnym łbie wyśmiała, prychała ze wzgardą na dobór kwiecica w bukietach, rzekomo niefortunnie kolorystycznie.

Redrak, poruszający się pod niesłychanym kątem nachylenia tułowia względem powierzchni ziemi – obserwatorom zdawało się, iż za chwilę opadnie na dłonie i pocznie galopować – był jedyną osobą zdumioną niepowodzeniem swych uwodzicielskich prób. Jął zatem śledzić poczynania Weni, a gdy odkrył jej tajemnicę, nie rzekł słowa staremu Wenterowi. Sam postanowił zastawić pułapkę, a Korlholza ubić. Czterech najętych przez Redraka zbirów zasadziło się na młodego kochanka, a każdy dla pewności ostrze miecza zanurzył w truciźnie. Nie wzięli w swych rachubach pod uwagę Gardosa, który krążył zaulkami wokół miejsca schadzek i na wszystko miał baczenie. Obwiesie zachowywali się nierozważnie – stary ujrzał ich cienie, usłyszał podniecone szepty. Zaraz też natarł na nich odważnie, jakby armią był w jednej osobie. Niegdyś uważano go za mistrza, lecz dobre lata miał za sobą. Dwóch wprawdzie położył od razu, z zaskoczenia; bruk zaczerwienił się w księżycowym blasku. Ale trzeci ciął paskudnie starego przez rękę. Gardos przerzucił miecz do lewej dłoni, którą władał z równą swobodą, i rozplątał przeciwnikowi czaszkę. Z ostatnim fechtował czas jakiś, jakby ćwicząc pchnięcia i wypady, by wreszcie z niewymuszoną gracją broń mu wyłuskać, a ostrze miecza do gardła przyłożyć.

– Mów, kto, nędzniku, a życie daruję! – warknął Gardos.

– Redrak... – wycharczał najemnik.

– Życie twe Bogu darowuję. – Gardos przebił obwiesiowi gardło.

Gdy Korlholz, nieco zmęczony siłą żywionych uczuć, wyszedł na zewnątrz, by odetchnąć wieczornym powietrzem i sprawdzić, czy księżyc jest na swoim miejscu, ujrzał nieco-

dzienny widok. Na bruku poniewierały się stygnące trupy, a w środku tak utworzonego kręgu stał na drżących nogach Gardos ciężko opierający się na mieczu, na którego ostrzu zastęgał szkarłat. Trucizna jeła już siać spustoszenie w woli życia starca, ciężko oddychał i tracił świadomość. Zdawało mu się, że znów jest młody i morduje Wenterów w rodowych wojnach, więc drapieżny uśmiech wykrzywił mu oblicze. Trzy ziarna piasku przed śmiercią odzyskał świadomość i wyszeptał imię Redraka.

Korlholz nie poddał się rozpacz, mimo że kochał starca jak drugiego ojca. Zapalał za to nową namiętnością – zemsta paliła go wewnętrznym żarem. Była to natura skłonna do popadania w skrajności; stany pośrednie duszy miał za nic.

Redrak przezornie nie opuszczał murów wenterowego zamku. O dziwo, stary Wenter nie wyrzekł się córki, choć szesnaście miał innych.

Długo czekał młodzik na odpowiednią okazję i ta w końcu nadeszła. Na corocznym święcie ogólnej ugody pogodził Redraka z jego rosnącymi potrzebami, łamiąc tym samym starą tradycję nietykalności.

Nastał czas rzezi i niepokoju. Senior korlholzowego rodu zaniemógł nagle i zmarł. Wówczas jego syn, trawiony nienawiścią i niespełnioną miłością, poprowadził wojnę podjazdową z zaciętością niespotykaną w poprzednich pokoleniach. Okolice wyludniała się w rosnącym tempie, zbrodnia zbrodnię goniła, łuny pożarów co noc raniły niebo, aż wydawało się, że pozostawia na nim trwałe blizny.

Któregoś jesienno dnia Korlholz otrzymał list tajemny, a jego autorką była Weni. Młodzieńca zdumiała pospolitość charakteru jej pisma, dopiero potem zainteresował się treścią. Okazało się, że Weni żyć nie potrafi z mordercą kuzyna, bo to nie uchodzi. Nie może również żyć bez Korlholza, zatem nie może żyć wcale.

Nastąpiła ożywiona wymiana korespondencji. Korlholzowi też źle się żyło bez Weni, więc postanowili zgodnie przedwcześnie zakończyć żywoty. Truciznę zorganizować miała Weni, zaś *wieczór ich żywotów* (Weni przypomniła metaforę śmierci starego malarza) dokona się w miejscu schadzek. Ustalili też datę.

Jednak w przeddzień tak dokładnie zaplanowanej śmierci wydarzyło się coś niespodziewanego. Korlholz otrzymał list, którego autorką nie była Weni. Ledwo złamał pieczęć i rozwinął rulon, zaraz ciemność stanęła mu przed oczami, a sam ledwo utrzymał się na nogach dotkniętych gwałtownym rezonansem – tak porażająca była doskonałość formalna pisma. Korlholz, choć znał się na rzeczy, nigdy nie widział porównywalnego arcydzieła kaligrafii, kunsztu piśmienniczego w równie potwornym stężeniu, rafinady liter niczych zawijasów o nieludzkiej wręcz opływowości.

Autor listu zwracał się do Korlholza z niecierpliwą pogardą, nazywając go *głupcem i ślepcem impregnowanym na oczywiste prawdy*. Ostrzegał przed wenterową córą, albowiem Weni miała być *bronią ostateczną* przeciw rodowi Korlholzów. Od dziecka po to ją jakoby chowano i szkolono, by młodzika zgubić. Jej nauczycielkami były autorytety pośród kurtyzan tego świata, znawczynie etykiety, miłosnej retoryki i płaczki, które uczyły Weni ronić łzy na zawołanie. W tym miejscu następowała wyraźna zmiana tonu listu i nieznany anonim po przyjacielsku radził (a jak zapewniał, *przyjaciół Korlholza cały jest Legion*), by młodzieniec podmienił fiołki z trucizną, a wówczas dopiero przekona się o prawdziwych intencjach kochanki: jeśli szczerze, oboje umrą szczęśliwie; jeśli nie – Korlholz pechowo przeżyje. Wszystkim nieszczęściom, jak utrzymywał nieznajomy, winna była miłość; przez miłość do Korlholza zginął Gardos, od

miłości spór rodowy wziął swój początek; z powodu miłości do ojca wreszcie Weni posunęła się do straszliwej zdrady. *Powiadają, że Bóg jest miłością* – kończył swe miłosne wywody nieznany korespondent. Obiecał, że w następnym liście poda receptę na likwidację wszechświatowej miłości – ku ogólnemu pożytkowi, rzecz jasna. Na fundamentalne pytanie Korlholza o zmienność ludzkiej natury, anonim twierdzącą dał odpowiedź: *Człek może się zmienić. Na tym piekłym świecie bywa to jego psim obowiązkiem.*

Podpisu nie było.

Korlholz zrazu nie chciał uwierzyć w epistolarne insynuacje, lecz doskonałość zapisu siała w nim ziarno wątpliwości. Trapiiony wyrzutami, co miały przerzuty i magicznie odradzały się w coraz to nowych postaciach, nieco spóźnił się na własną śmierć.

Weni już na niego czekała; jej podkrążone oczy obficie roniły łzy, ale Korlholz przypominał sobie fragment z listu o płaczkach i wzdrygnął się wewnętrznie. Dziewczyna podała mu fiolkę, sobie zatrzymując inną. W świadomości młodka walczyły ze sobą zacięcie dwie skończone doskonałości: oślepiająca uroda Weni z obezwładniającą rafinadą formalną anonimowego pisma; opływowe kształty piersi kochanki z geometrią liter stawianych dłonią genialną i nieomylną. Wreszcie zdecydował. Z mocą przytulił do siebie ukochaną, aż żebra jej zatrzęszczały od serdeczności uścisku i, niby to na pożegnanie, pocałował ją z taką zapalczywością, że wytrącił jej z dłoni fiolkę; potem zręcznie podmienił naczynia.

Czuł się podle.

– Żegnaj – powiedziała Weni i wychyliła zawartość swej fiolki.

Czy w jej głosie był fałsz?

– Spotkamy się w lepszym świecie – rzekł Korlholz i wypił.

Jednak ich spotkanie zostało odłożone. Weni skończyła w ramionach Korlholza; on zaś wciąż żył, choć wszystko w nim umierało. Najpierw miłość. Drugim trupem była młodość.

Od tej pory postanowił krew studzić, nikomu w drogę nie wchodzić, pilnować własnych spraw. Porzucił rodowe włości bez żalu i ruszył w świat.

Wenter triumfował, lecz triumf jego był krótki. Jego koszmarny sen ziścił się – córki płodziły wyłącznie dziewczynki, jakby ich łona obłożone były kłatwą. Po dziewiątych takich urodzinach Wenter doznał pomieszania zmysłów; wkrótce umarł.

Korlholzowi tłukły się po łbie urywki z anonimowego listu: *pieski świat, psi obowiązek*. Potraktował to jak cenne wskazówki i Psem został. Przybrał imię Chormiel, co w psiej mowie znaczy Kochanek Fortuny. W naukach nie był zbyt biegły, wspaniale za to kaligrafował i wnet zatrudniono go do przepisywania ksiąg wiedzy tajemnej. Okazało się, że ma talent do posługiwania się Magią Gestu, gdzie nieodzowna jest zręczność dłoni.

Całymi latami czekał na obiecany list i doczekał się. Była w nim przybliżona data i miejsce narodzin Głosu Boga.

– Bóg jest miłością – szepnął do siebie Chormiel. – Trzeba zabić tę miłość.

Podróż trwała długo, lecz przybył do Barden na czas. Gdy na miejscu spotkał dwa inne Psy – Zaarbalt i Perkaca – zrozumiał, że cel ich wizyty tożsamy jest z jego zamiarami. Nie przeszkadzało mu to; wręcz przeciwnie – w końcu dobrze jest połączyć siły, by dokonać dzieła trzebień miłości.

W lupanarze, w którym – na skutek tłoku w gospodach – zatrzymali się wszyscy trzej, mieszkała dziewczka, która niedawno powiła syna. Na imię miała Kroni i urodą, a nawet

gestykulacją i głosem (który niejasno coś obiecywał) bardzo przypominała Chormielowi Weni. Jego piękną Weni. Nie spodziewał się, że wspomnienia i dawne uczucia odżyją w nim z tak potworną siłą. Kroni, którą sterowała nieomylna intuicja, zwróciła się o pomoc właśnie do niego. Pragnęła uciec z Barden; w mieście właśnie zaczęły się niepokoje; siepacze księcia Sorma masowo mordowali dopiero co narodzonych chłopców. W odpowiedzi dał jej garść srebrnych monet; ten gest zdawał się nie kłócić z wyznawaną przez niego zasadą nieingerencji.

Jednak pamiętnego wieczoru, gdy trzy Psy przy jednym zasiadły stole, by popijać wino i gadać w psiej mowie, Chormiel co jakiś czas wracał myślami do Kroni. Opodał męczył się twórczo poeta Dolsilwa. Chormielowi starczał rzut oka na niechlujne liternictwo artysty, by zawyrokować o nędzy jego poezji. Rozmowa z podstępny Psem Perkacem (Zaarbalt wydawał się być nieobecny myślami i chory) zajmowała Chormiela częściowo, ponieważ nieustannie dręczył go stary dylemat o zmienności człeczej kondycji. Do niedawna sądził, że dylemat rozstrzygnięty; teraz nie miał takiej pewności. I kiedy do lupanaru wraz z jesiennym chłodem wtargnęli najemnicy Sorma, Chormiel w jednej chwili rozstrzygnął dylemat.

Zaarbalt upadł nagle, tocząc z ust pianę – najpewniej otruty. Chormiel pojął, że Perkac ich podszedł, że czasu zostało mu niewiele, a musiał – tak, musiał!!! – pomóc Kroni. Oślepił wszystkich obecnych gestem Zii, a potem pobiegł schodami na piętro, tropem młodego najemnika. Zaczynał odczuwać działanie trucizny, świat wirował mu przed oczami w takt niesłyszalnej muzyki. Zaarbalt usłyszał za to wołanie Kroni, a w jej głosie, jej obiecującym głosie, był strach. I błaganie.

– Nie! – krzyczała. – Oszczędź!

Wówczas Pies ujrzał, choć wzrok mu się mącił, miecz wzniesiony do ciosu, więc rzucił się ostatkiem sił, resztą energii gasnącego w nim życia, by zasłonić dziewczkę własnym ciałem.

Nie poczuł nawet chłodu ostrza i nie zobaczył, jak Kroni sztyletem tnie najemnika w twarz; potem złapała niewielkie zawiniątko, które musiało być jej synkiem, i zbiegła na dół – miała jeszcze trochę czasu. Chormiel nie wiedział, bo nie mógł wiedzieć, że właśnie uratował życie chłopcu, który w przyszłości okaże się największym ze zdrajców. Ale czy świadomość tego faktu cokolwiek by zmieniła?

Pies dogorywając zastanawiał się, co też wykończy go wcześniej: krwi upływ czy jady trucizny? Potem przypomniał sobie opowieść Weni o owym malarzu, który wieczorami portretował śmierć.

Tak, pomyślał Chormiel. *Wieczór to dobra pora na umieranie.*

Tuż przed śmiercią ujrzał Weni, która przyszła wreszcie na umówione spotkanie.

– Weni – szepnął. – Piękna, zdradziecka Weni.

Skonał, kochając.

Jeszcze kilka ziaren piasku i śmierć Perkaca zadana mieczem Jago dopełnić miała wieczór trzech Psów.

Kiedy najemnicy opuścili lupanar, Dolsilwa, nie zważając na psie trupy, jał ostrzyć nowe pióro. Niestety, wciąż cierpiał na niedostatek rymów.

I dobrych tematów.

Olsztyn, czerwiec-sierpień 1999 r.

Jacek Sobota



2020:

DRAMAT W KOSMOSIE

MACIEJ PAROWSKI

„Apollo 13”, ostatni film kosmiczny, który obejrzałem z zachwytem. Nie była to fantastyka, tylko rekonstrukcja. Realne zagrożenie w realnym kosmosie – walka z awarią silników, chłodem, wyciekami tlenu z kruchej łupiny statku setki tysięcy kilometrów od ziemi – zero baśni. Momenty jak z „Apolla 13” mamy też w najnowszym obrazie Briana De Palmy, a pierwszym filmie SF w jego dorobku. Ale znajdziemy tu też sceny ewidentnie mitologiczne, w których techniki trikowe z „Mumii” służą do wykreowania groźnego dziwowiska na powierzchni Czerwonej Planety. Piaskowy, inteligentny, morderczy wir jawi się na ekranie niczym potwór z obrazu Muncha (Beksińskiego?). Wilcox w „Zakazanej planecie” wspierał kosmiczną wizję jeszcze kim innym – Szekspirem.





TWARZ

ALEKSANDER OGAZA

W pierwszej wersji komiksu „Mars 1977” publikację miało rozpocząć zdjęcie „marsjańskiej twarzy”. Parowski zaproponował, że *sprawa została zdemitologizowana przez autorytety*. Umieściłem więc zdjęcie na stronach internetowych „M '77” i trzy lata

negocjowałem, aż komiks zaczął się ukazywać. Taki jest tryb nad Wisłą. A jak to robią w wytwórni Disneya? Podaję przepis na najnowszy film Briana De Palmy.

Bierzemy kawałki europejskich komiksów; z Ogazy najlepiej wykroić:

- marsjańską twarz,
- tajemniczą katastrofę z ocalałym astronautą marsjańskim,
- zakłócony przekaz wideo (od tegoż astronauty),
- motyw szaleństwa na Marsie (niestety, Ogaza nie wyjaśnił w swoim komiksie, o jaki rodzaj szaleństwa chodzi).

Ogaza nie wyjaśnił także znaczenia twarzy. Można to uzupełnić motywem z komiksu Rosińskiego/Van Hamme'a: „Thorgal – Wyspa wśród lodów”. Tak jak w Thorgalu, budowla (w filmie budowla-twarz) okazuje się wystającą częścią statku kosmicznego, co bohater odkrywa po wejściu do środka.

Z „Bliskich spotkań III stopnia” Spielberga wykrawamy:

- muzyczną rozmowę ze statkiem obcych,
- wniebowziętego wybrańca (Richarda Dreyfussa zastępujemy Garym Sinise'em),



Między rekonstrukcją a mitologią. Między odwzorowaniem na ekranie najnowszych (bądź wręcz opracowywanych jako przyszłościowe) technik i gadżetów z NASA a posłaniem genialnego szalbierza (fantasty?) Dänikena, dowodzącego wpływu kosmitów na powstanie człowieka. De Palma próbuje robić i jedno, i drugie, i trzecie, sięgając po kolejny mit fantastyki – pokazuje podbój kosmosu jako przedsięwzięcie rodzinne. Także w „Koziorożcu 1” obserwowaliśmy pozostające na ziemi dzieci i żony kosmonautów; w „Apollu 13” rodziny umierały ze strachu o najbliższych przed małymi ekranami. Nawet w „2001: Odysei kosmicznej” szef wyprawy gada przez wideofon z córeczką, a kosmonauta z matką i ojcem. U De Palmy w „Misji na Marsa” podobnie, ale też trochę inaczej – w kosmos lecą mąż i żona, co staje się zresztą kanwą dodatkowego dramatu, traktującego o śmiertelnym zagrożeniu, miłości i podjętej świadomie ofierze.

W pomieszczonych wyżej uwagach Olek Ogaza (autor komiksu „Mars 77”) odprawia lament nad różnymi formami zadłużenia De Palmy wobec wielu komiksów i filmów. Ma rację i nie; to tak jakby po lekturze kolejnego kryminału protestować, że znów znalazł się w nim trup, przekupny policjant i podstępna blondyna. Dzisiejsze kino kosmiczne musi po prostu być antologią cytatów, nasza wyobraźnia jest w tej dziedzinie ewidentnie zajęta, żeby nie powiedzieć zmęczona. SF literacka (Lem, Clarke, Dick, Bradbury, Van Vogt) i filmowa (Kubrick, Scott, Spielberg, Tarkowski, Lucas) ustawi-

ły nam w tej dziedzinie duchowy inwentarz na amen. Nam i setkom młodych inżynierów, naukowców, pilotów, spośród których najlepsi zdołali sny o kosmosie zrealizować i zabrać je ze sobą między gwiazdy. Współczesny pilot, astronauta może pod słowem honoru twierdzić, że obcych nie ma, ale nie potrafi przestać o nich marzyć. Jak filmowy Woody Blake (Robbins) z „Misji...” nie rozstający się z wisiorkiem/talizmanem rakiety komiksowego (sic!) Flasha Gordona.

Na samym początku „Misji...” udaje się De Palmie dwukrotnie wystawić do wiatru widza pewnego, że rozpoznał klasyczne chwyt SF. Makietę bierzemy zrazu za rakiety; późniejsze rzeczywiste badanie Marsa – odwrotnie, przez chwilę wydaje się ćwiczeniem z modelem na sucho. Następujący później morderczy piaskowy wir wywiedziono wprost z opowieści o duchach. Ratowanie statku rozhermetyzowanego uderzeniem drobnego meteorytu przypomina sceny z „Apolla 13” i „2001: Odysei...”. A więc i z życia, i z kina, i z mitu. Prowizoryczna baza na Marsie, w której oczekuje na wyprawę ratunkową i dziczeje cudem ocalały kosmonauta, to prezentacja technologii przetrwania w kosmosie i praktycznej eksploratorskiej filozofii: jak najmniej ze sobą przywozić, wszystko wytworzyć na miejscu. Ale też przypowieść jak z Bradbury'ego o czającym się w pustce kosmicznej szaleństwie.

Bezpośrednią inspiracją do nakręcenia „Misji...” była bodaj wrzawa z lipca 1997 r., kiedy na Marsie lądowała sonda Pathfin-



– wątlą i kruchą postać dobrodusznego aliena.

Dorzućmy jeszcze:

- „płyn do oddychania” z filmu „Otchłań” Camerona,
- piknik astronautów z „Dnia zagłady”,
- hełmy i skafandry astronautów z „2001: Odysei kosmicznej” Kubricka.

W poszukiwaniu zakończenia warto znów sięgnąć do dzieła spółki Rosiński/Van Hamme: finał „Szninkla” oferuje poklatkowe przedstawienie ewolucji życia na Ziemi.

Teraz zmiksujmy wszystko i wypuśćmy na ekrany!

*

Kino i komiks od początku swoich historii idą razem. Pierwsze etiudy braci Lumière – oparto na komiksach, wręcz „historyjkach obrazkowych” („Pomocnik ogrodnika”).

Wróćmy do Briana De Palmy. Rozwijał karierę najdosłowniej b a w i a c się materia filmową. Niefrasobliwe komedie z debiutującym wówczas Robertem De Niro („Przyjęcie weselne”, „Pozdrowienia”, „Cześć, mamol”) to prawdziwe komiksowe dziwolażki! Równocześnie zaprezentował się jako „najlepszy uczeń Hitchcocka” krwawą „trylogią

kinetyczną” („Siostry”, „Carrie”, „Furia”). De Palma wykracza jednak poza kontynuację stylu „Zawrotu głowy”. Nie tylko perfekcyjnie konstruuje fabułę, stopniowo zagęszcza atmosferę; także ruchem kamery – kompozycją kadru, montażem – łamie filmowe zasady sztuki opowiadania i tworzy nowe. Jedną z cech stylu De Palmy (dzielenie obrazu na pół, równoczesne opowiadanie z dwóch różnych punktów ustawienia kamery, np. „Carrie”, „Fajerwerki próżności”, „Oczy węża”) ma swój rodowód w sztuce komiksu.

Kino De Palmy uwodziło trafnymi obserwacjami psychologicznymi. Między kolejnymi obrazami istniała więź (wszechobecny kompleks podglądania/podsłuchiwanie lub obsesyjnie powtarzające się motywy ruchomych schodów, wind i metra – w „Świadku mimo woli”, „W przebraniu mordercy”, „Furii” i „Życiu Carlita”). Widoczna była także ewolucja – efekty montażowe w „Pozdrowieniach” (ślalom pijaków między filarami) powtórzono w „Carrie” (ślalom rowerzysty między drzewami). A mówimy tu o końcu lat sześćdziesiątych! Tymczasem stuknął rok 2000, a De Palma serwuje nam poprawną zaledwie historię futurystyczną.

Nie ma już efektu sennego koszmaru, zaskakujących zwrotów, trafnych obserwacji psychologicznych. Aktorzy nie przykładają się do roboty: wystarczy porównać rolę Sinise’a z kreacją w thrillerze De Palmy „Oczy węża”. Reżyser teraz powiedział im chyba: *Uśmiechajcie się, marszczcie czoło i wytrzeszczajcie gały. Resztą zajmą się spece od efektów*. Emocjonalne luki częściowo wypełnia dobra, choć nieekspansywna muzyka Ennio Morricone – nawiązująca w klimacie do „Pamięci absolutnej” Paula Verhoevena i „2010” Petera Hyamsa. Natomiast niezaprzeczną urodą filmu są krajobrazy marsjańskie (znakomite sceny z inteligentną trawą powietrzną – wiadomo, że globalne burze pyłowe są na Marsie zjawiskiem dość częstym).

Filmowa koncepcja cywilizacji Marsjan sprzed trzech miliardów lat wydaje się wątlą. Skoro była to cywilizacja globalna, to dlaczego sondy Viking (czy fotografująca Marsa od lat Mars Global Surveyor) nie wykryły podejrzanych struktur w innych miejscach (poza Regionem Cydonia)? Po drugie: urządzenia funkcjonujące tak długo!? To już nie SF, to fantasy. Czary-mary! W scenariuszu „Aleja Szaleńców” – (kontynuacji „M ’77”) przypisałem twarzy marsjańskiej poważniejszą rolę.

der i przekazywała na ziemię bezpośrednią transmisję. Nie ma pewności, czy na fantastów to jeszcze działa; a jeśli nawet, to raczej krótko. Kolejki do kin i psychoza wokół na przykład „Gwiezdnych wojen” trwały znacznie dłużej niż zainteresowanie Pathfinderem. Ale wynikają też stąd dla SF kosmicznej realne zagrożenia – pozbawiona dopływu wciąż nowych impulsów emocjonalnych wziętych z rzeczywistości, poczyną być systemem luster odbijających promienie dawnych dramatów i fascynacji, ostygłych mitów i znanych na pamięć fabularnych figur. W ten sposób fantastyka kosmiczna ma szansę uwieść tylko widza młodego, który tego wszystkiego jeszcze nie przerobił, dla którego wszystko tu nowe, pierwsze, nieznane. Stare wróble (galaktyki!) będą bardzo wybrzydzać.

Maciej Parowski

MISJA NA MARSA

Mission to Mars. Reżyseria: Brian De Palma. Scenariusz: Jim Thomas, John Tothomas i Graham Yost. Zdjęcia: Stephen H. Burum. Muzyka: Ennio Morricone. Efekty: Hoyt Yeatman, John Knoll. Występują: Gary Sinise, Tim Robbins, Don Cheadle, Connie Nielsen, Jerry O’Connell, Peter Outerbridge, Elise Neal, Armin Mueller-Stahl. USA 2000.



W zeszłym roku, obok przereklamowanych hollywoodzkich filmów-gigantów, pojawił się niezależny, udany obraz pt. „Beowulf”, wyreżyserowany przez autora „Alien Nation”, Grahama Bakera. Mimo że to film popularny, możliwe, że nie pojawi się w polskich kinach. Brak mu promocji, która dla rodzimych dystrybutorów ma znaczenie.

A przecież doświadczenie pokazuje, że nie wszystkie amerykańskie superhity stały się nimi w Polsce. Bywa, że filmy, których w USA do kin nie puszczono, tylko od razu na wideo (np. „Cube”), obroniły się na polskich ekranach. Myślę, że również „Beowulf”, gdyby dano mu szansę...

Nakręcony w Rumunii, jest luźną, futurystyczną adaptacją słynnego średniowiecznego eposu; przypomina w dodatku naszego „Wiedźmina”. Oto Zamek, w którym grasuje ucieleśnienie zła – Grendel, co noc mordujący kolejnych mieszkańców Odległej Warowni. Grendel zbiera krwawe plony i sieje strach... Nie jest wcale kolejnym bezrozumnym hollywoodzkim potworem znikąd, u jego narodzin kryje się ponura tajemnica – zdrada i klątwa, i... coś jeszcze. Coś przedwiecznego, tak starego jak najmocniejsza magia (patrz teksty Oramusa i Wieczorek w „NF” 2/2000).

Mimo przemysłowych pułapek, zbrojnych zasadzek i poświęcenia kolejnych śmiałków – nic i nikt nie jest w stanie zgładzić dręczącej



LAMBERT=WIEDŹMIN

zamczysko zmory. Dopiero przyjazd tajemniczego rycerza Beowulfa, noszącego na plecach miecz, może uratować potępionych. Znajome, prawda?

Beowulf ma szansę zwycięstwa nad Grendelem, ponieważ sam należy do Świata Mroku. *Walcze ze Złem, aby nie stać się Złem* – mówi tajemniczy białowłosey. Film „Beowulf” to widowisko, które albo pokochacie, albo znienawidzicie, mało bowiem przypomina typowe letnie kino. Pozostaje jednocześnie tworem komercyjnym, popcornowym. Nie ma co ukrywać, że „Beowulf” jest, jak na dzisiejsze warunki, produkcją skromną w środkach (zrealizowaną bodaj za dwadzieścia kilka milionów dolarów), borykającą się z problemami czysto technicznymi. W niczym nie szkodzi to jego urokowi.

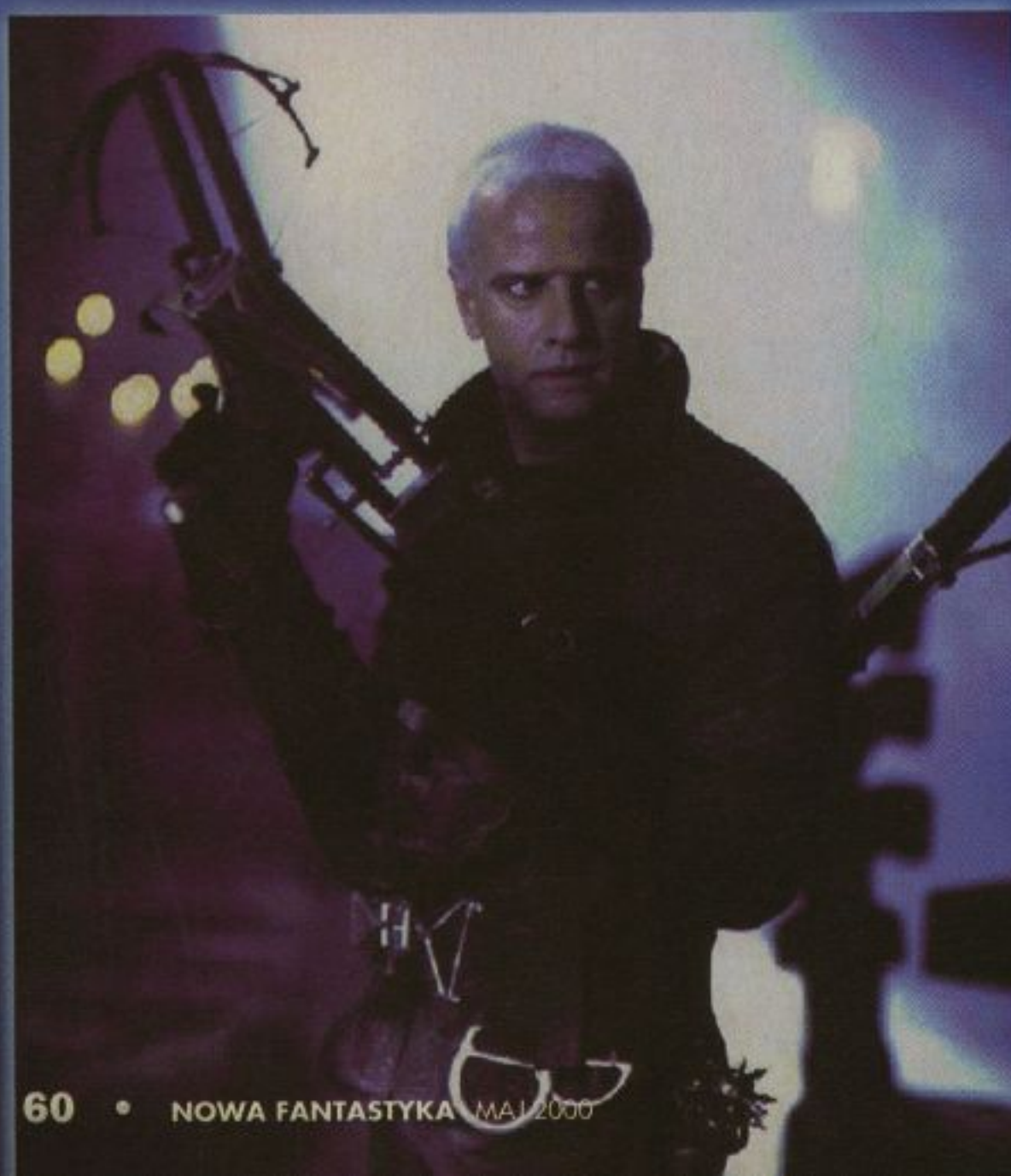
Na ekranie feudalna przyszłość, podobna trochę do uniwersum „Mad Maxa”, w istocie zupełnie inna. Jest tutaj trochę współczesności i dużo średniowiecza – miecze i zbroje, i wspaniałe prawdziwe wnętrza rumuńskiego zamku. Żadne atelier nie może równać się z wieloletnią prawdą – sale, zbrojownia, lochy mają dla kamery własny czar. Następnym plusem są stroje – od typowo rycerskich aż po wymyślne, przypominające „Diunę” Lyncha. Szczególną rolę odgrywa muzyka. „Beowulf” jest ilustrowany mocnym, wibrującym, dynamicznym techno. W kinie stereofonicznym, w systemie Dolby, robi to porażające wrażenie. Podobny koncept zastosowano w „Mortal Kombat II”, tam jednak elektroniczne kawałki znacznie niższego lotu gorzej „spasowano” z obrazem. W dziele Bakera widać, jakie zawrotne tempo mogą uzyskać sekwencje walk dzięki użyciu świeższego rodzaju muzyki.

Wielu na Zamku widzi w Beowulfie niewygodnego gościa, a nawet wroga. Po jego stronie staje córka rządcy Warowni, Kyra, zafascynowana zamkniętym w sobie przybyszem, i stara się odkryć jego prawdziwą naturę, której Białowłosey Przybysz tak bardzo się lęka... Tych dwoje zacznie łączyć coś więcej niż sympatia.

Choć film nie stawia wielkich pytań o sens człowieczeństwa, pojawiają się w nim mitologiczne pytania o ostateczną przynależność tytułowego bohatera. Należy do Naszego Świata czy do Stroiny Ciemności? Co o tym decyduje?

Odpowiedzi nikną jednak w feerii pulsujących obrazów i muzyki. Kiedy Beowulf staje twarzą w twarz z Grendelem, bardziej zwracamy uwagę na posępne piękno zalanych piwnic i zawrotne tempo starcia niż na słowa bohatera. Finał filmu przynosi jednak rozstrzygnięcie; Rycerz-Wiedźmin będzie musiał dokonać wyboru. Czy właściwego?

Beowulfa gra Lambert! Aktor kiedyś charyzmatyczny, nie miał ostatnio szczęścia do ról, tu jednak wypada znakomicie. Tak jak kiedyś w „Nieśmiertelnym” świetnie pasował do Connora MacLeoda, tak trudno sobie wyobrazić lepszego Wiedźmina/Beowulfa. Lambert mówi z dziwnym, nielokalizowalnym akcentem, co pomaga mu w stworzeniu postaci sympatycznej dla widza, choć piekielnie od niego odległej.





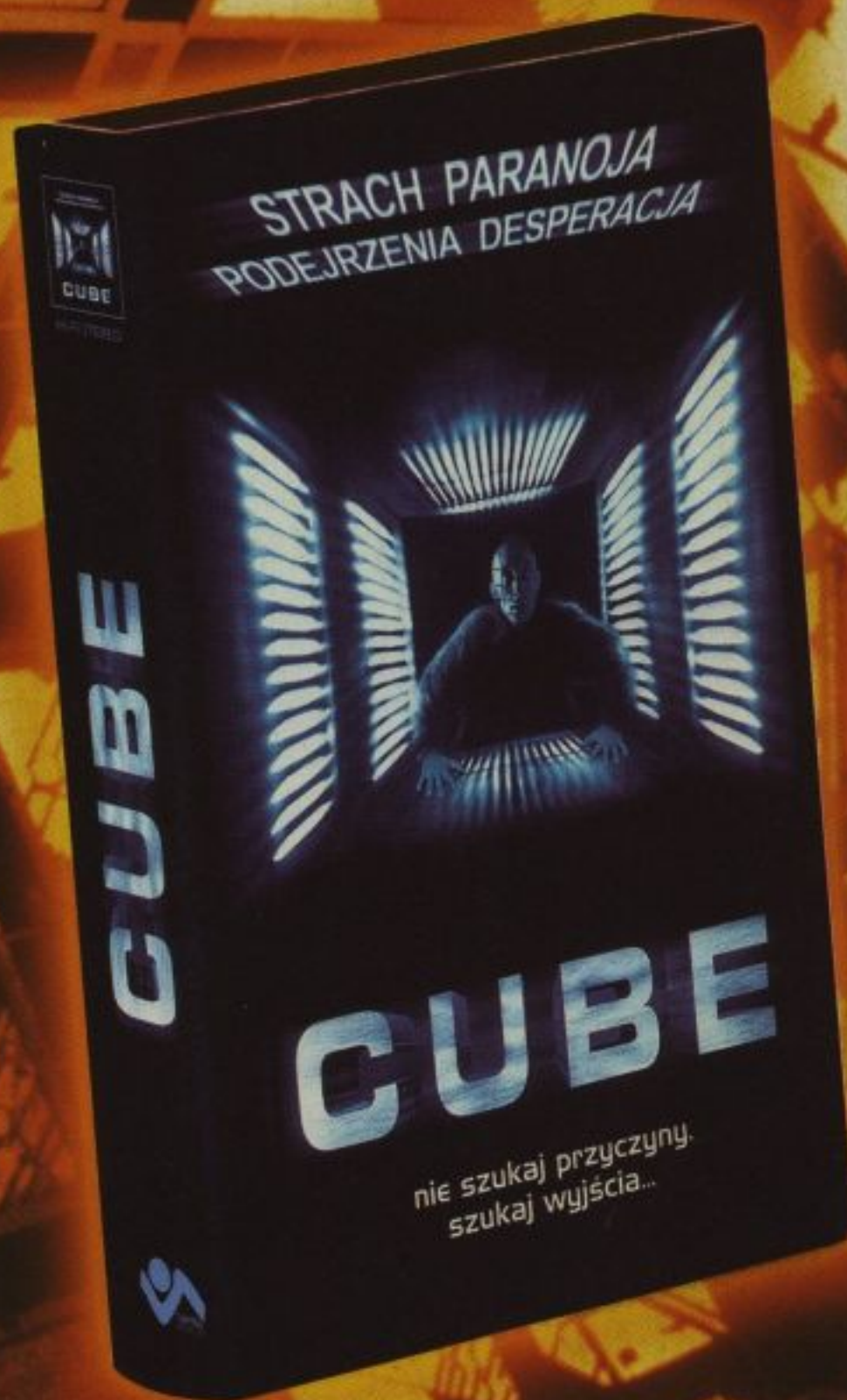
Warto odnotować udany debiut Mitry, kiedyś modelki wcielającej się w postać komputerowej heroiny – Lary Croft. Pełni tu funkcję ozdobnikową – jest młoda i piękna – ale współtworzy też kilka niezłych dramatycznych scen. Dobry jest brytyjski aktor Cotton jako strażnik Hrothgar wewnętrznie rozdarty między lojalnością wobec Sprawy a nieodwzajemnionym uczuciem do Kyry.

„Beowulf” to film inny, nowatorski (tak jest – mimo że oparty na z górą tysiącletnim micie); choć rzecz nie może się równać z kultowym „Nieśmiertelnym”, naprawdę warto ją zobaczyć. I to na dużym ekranie. Nawet na najlepszym wideo połowa niesamowitych efektów dźwiękowych i wizualnych zostanie po prostu zabita.

Arkadiusz Grzegorzak



Reżyseria: Graham Baker. Występują: Christopher Lambert, Rhona Mitra, Oliver Cotton, Gotz Otto, Layla Roberts, Brent Jefferson Lowe, Patricia Velazquez, Charles Robinson, Vincent Hammond. Muzyka: Ben Watkins. Kostiumy: Sanja Milkovic Hays. USA 1999.



KONKURS

fantastyka

Wymień imiona sześciu bohaterów CUBE. Wśród czytelników, którzy do końca maja nadeślą na adres redakcji „NF” prawidłową odpowiedź, rozlosujemy 10 gadżetów filmowych i 3 kasety wideo z filmem CUBE.

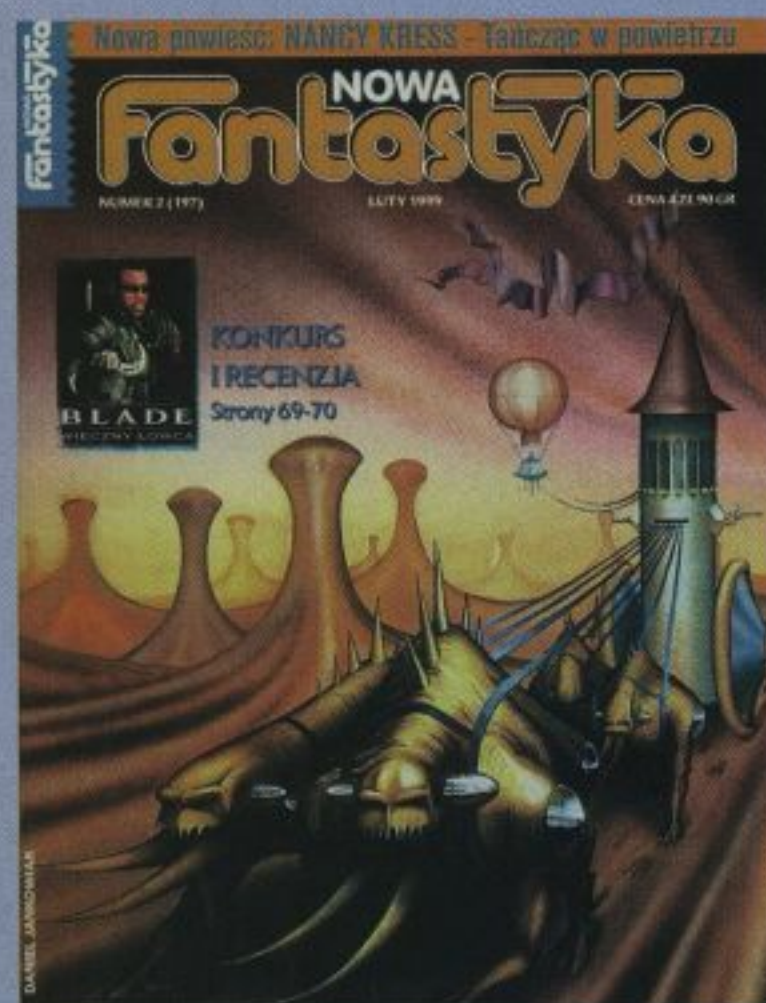
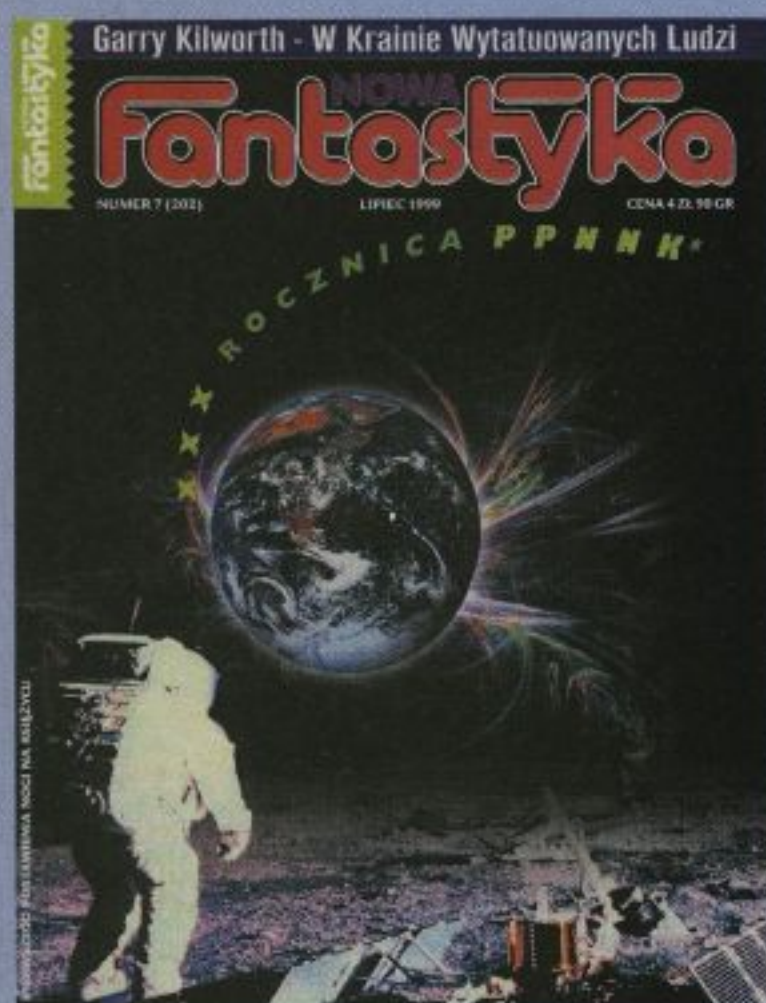
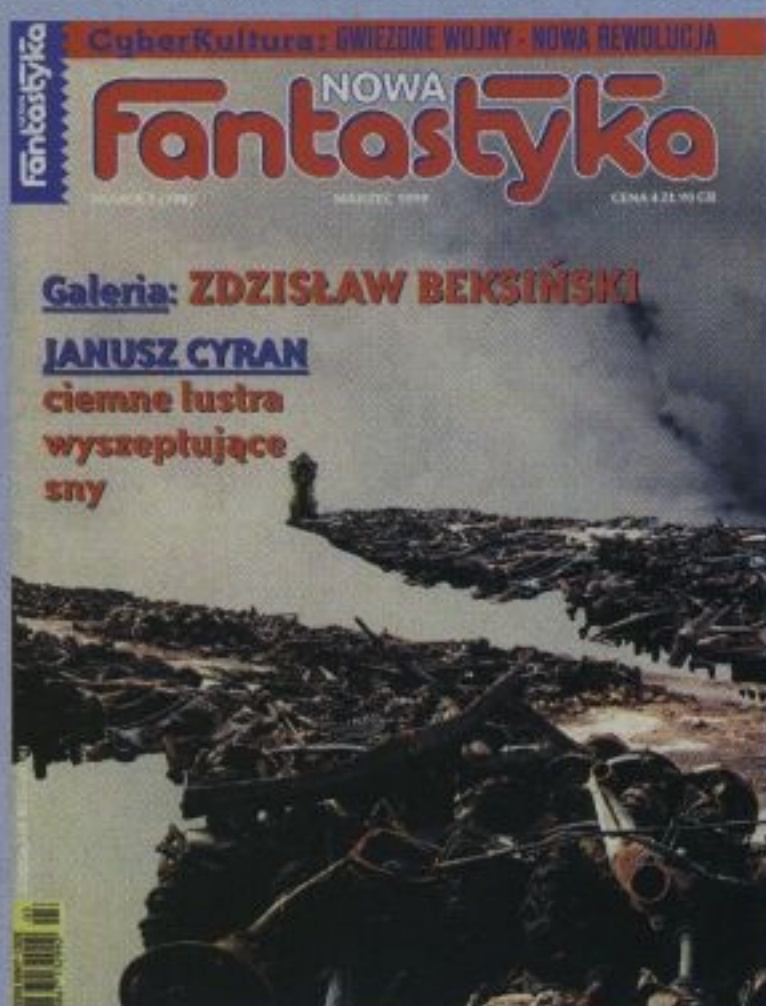
**dvd i video
w sprzedaży
od 22 maja**



www.tantra.com.pl/tantra/cube/



PLEBISCYT 1999 - WYNIKI!



W plebiscycie wzięło udział 270 Czytelników. Ocena dotyczyła „NF” w 1999 roku. Głosowano na najlepszy tekst literacki, na najładniejszą okładkę i najciekawszy tekst publicystyczny. Pytaliśmy również o największą wpadkę i, po raz pierwszy, o najciekawsze przedsięwzięcie pisma – hit roku.

SAME HITY?

W prozie tym razem padło na autorów polskich. Sukcesy Kresa i Białoleckiej nie dziwią, to fantastyczne tuzy, „Zajdliści”, tym bardziej cieszy wysoka pozycja debiutanta Szostaka. Cała czołówka, także Wright i Bułyczow, proponuje prozę emocji, literaturę psychologiczną, socjologiczną; SF w dosłownym sensie (poza po części Wrightem) w ogóle tu nie ma. Oto, myślę, znak czasu. Wymowny jest też przypadek Komudy: zdobywca mocnej szóstej pozycji rankingu prozy wędruje jeszcze wyżej, choć z mniejszą liczbą głosów, na liście wpadek. Jego „Wampiry z Odrzykońskiej”, mocny i posępny tekst o stanie wojennym, musiały wywołać w podzielonym społeczeństwie sprzeczne reakcje. Czy to znaczy, że „NF” powinna unikać tematów drażliwych? Nie sądzę, choć rzecz jest godna dyskusji.

Aż z dwu rankingowych list – dotyczących publicystyki i hitów – wynika wysoka ocena naszych felietonistów. Zarówno tych zasiedziały (Jęczyk, także już Hołyński), jak i świeżo przechwyconego (Oramus). Bardzo mi się też spodobały Państwa preferencje okładkowe; wystarczy nie dać tam Royo, byście na niego nie głosowali, ale wybrali znakomitego Beksińskiego. Niepokoi natomiast niechęć do okładek filmowych; dla pisma to rynkowa konieczność (naprawdę wolelibyście zamiast niej podwyższenie ceny numeru?). „Filmówki” ponadto zapewniają nam kontakt ze światową grafiką reklamową, no i stanowią dowód-zachętę dla czytelników z zewnątrz, że trzymamy palce na repertuarowym pulsie. Choć z kolei tytuł hitu roku zdobyty przez galerię zbierającą wszystkie okładki dowodziłby, że jest w Państwa stosunku do opakowania „F” i „NF” coś sentymentalnego i mistycznego, wymykającego się kategorycznym podziałom na sztukę dobrą i złą, reklamową i czystą. Już choćby dla tej konstatacji warto było pytać o hit.

Martwi trochę mniejsza niż przed rokiem liczba uczestników plebiscytu. Czyżby wymóg doklejenia do kartki wyciętego z pisma trójkątka tak strasznie Państwu dokuczał?

NAJLEPSZY UTWÓR LITERACKI

1. Feliks W. Kres – „Zabity”, „NF” nr 5/99 (29 głosów, tj. ok. 11% respondentów), 2. Ewa Białolecka – „Nocny Śpiewak”, nr 1 (27), 3. John C. Wright – „Prawo gościnności”, nr 8 (24), 4. Kir Bułyczow – „Wpadka '67”, nr 9-10 (23), 5. Wit Szostak – „Kłopoty z błaznem”, nr 9 (22), 6. Jacek L. Komuda – „Wampiry z Odrzykońskiej”, nr 12 (17).

Czytelnicy zgłosili tytuły 48 utworów.

NAJŁADNIEJSZA OKŁADKA

1. Zdzisław Beksiński, okładka nr 3 (62 głosy, tj. ok. 23% respondentów), 2. XXX rocznica pierwszego postawienia nogi na Księżycu, nr 7 (39), 3. Daniel Jankowiak, nr 2 (33), 4. I stanie się koniec (reklama), nr 12 (26), 5. Tomasz Sętowski, nr 6 (25).

NAJCIEKAWSZA PUBLICYSTYKA

1. Lech Jęczyk – cały cykl „Nowe Średniowiecze” (45 głosów, tj. ok. 17% respondentów), 2. Maciej Konacki – „Czarne dziury”, nr 3 (29), 3. Marek Oramus – „Siedem grzechów głównych polskiego wydawcy fantastyki”, nr 7 (25), 4. Requiem dla ludzkości? – oprac. Janusz Cyran, nr 9-10 (24), 5. Marek Hołyński – cały cykl „E-mailem z Doliny Krzemowej” (15).

Czytelnicy zgłosili tytuły 55 tekstów.

NAJWIĘKSZA WPADKA

Nie było żadnej wpadki w roku 1999, stwierdziło 70 czytelników, czyli ok. 26% respondentów (rok temu 21%, dwa lata temu 17%). A tak według pozostałych respondentów wyglądają nasze największe wpadki: 1. Nadmiar okładek filmowych (33 głosy, tj. ok. 12% respondentów), 2. Cały dodatek „CyberKultura”, nr 1-6 (20), 3. Galeria „Gdzie się podzieli europejscy komiksarze...?”, nr 2, oraz Jacek L. Komuda – „Wampiry z Odrzykońskiej”, nr 12 (po 9 głosów).

Wymieniono 80 pozycji (w tym na 51 oddano po 1 głosie).

HIT ROKU

1. Galeria jubileuszowa „200 miesięcy”, nr 5 (30 głosów, tj. ok. 11% respondentów), 2. Likwidacja dodatku „CyberKultura” (20), 3. Przeniesienie z „Fenixa” do „Nowej Fantastyki” cyklu „Pięte piwo” Marka Oramusa (14).

Zgłoszono 61 propozycji (w tym na 30 oddano po 1 głosie).

Wśród wszystkich biorących udział w plebiscycie rozlosowaliśmy upominki. Lista szczęściarzy za miesiąc.

(mp)

(KS)

POLSKI ALBUM KOMIKSOWY

Pierwsza nagroda w plebiscycie
„K'99”

Festiwal Komiksu na III Targach Książki – Kraków 24.10.1999

"(...) zaskoczenie polega na tym, że do wydawnictwa wybrano nie klasyczne, komercyjne komiksy, tylko historie jak na ten gatunek całkiem awangardowe. (...)

Słowem: rzecz kontrowersyjna i raczej dla koneserów niż komiksożerców. (...)"

MACHINA 6/99

"(...) Tak powinien wyglądać dobrze wydany komiks. (...)"

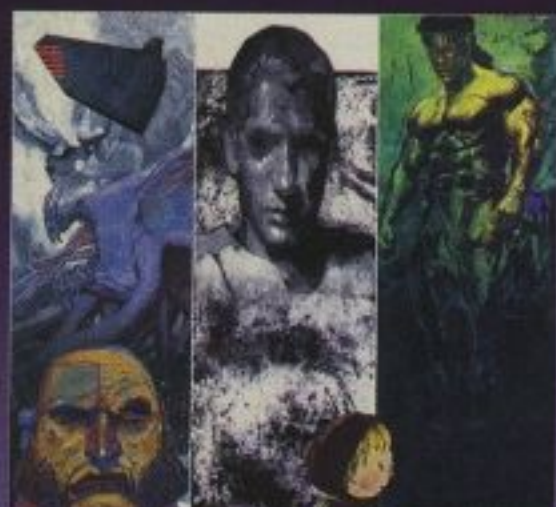
MAGAZYN KOMIKSÓW AQQ, 17/99

"(...) Jest to rzadka forma komiksu dla dorosłych, w którym chodzi nie tyle o fabułę, ile o wysmakowaną grafikę (...)"

PLAYBOY, 6/99

CARTOON

SITA



Zamawiam album komiksowy **CARTOON of SITA** w cenie **69,00 zł** w ilości ☐ szt.
W zestawie: komiks w języku angielskim, płyta CD, słownik angielsko-polski.

imię

nazwisko

firma

NIP

ulica

nr domu

nr mieszkania

kod

miasto

tel.

POTWIERDZAM
ZAMÓWIENIE
NA SUMĘ:

WYRAŻAM ZGODĘ NA WYSTAWIENIE FAKTURY VAT BEZ MOJEGO PODPISU.

data

czytelny podpis

Fantastyka 5/00

SITA

01-022 Warszawa, ul. Bellottiego 3, tel. (0-22) 636 90 91, fax 838 91 84

Cena zawiera podatek VAT. Ważna do momentu ukazania się nowej oferty. Płatne gotówką przy odbiorze. Koszt przesyłki w wysokości 16 zł ponosi odbiorca.



UCIECZKA W KOSMOS

nikt nie dotarł tak daleko



w każdą sobotę o 18:00

KRAKON 2000

Udał się tegoroczny Krakon, organizowany tradycyjnie przez Krakowski Klub Miłośników Fantastyki. Jak co roku w lutym do szkoły podstawowej przy ulicy Blachnickiego w Krakowie zjechały tłumy. Zdecydowana większość konwentowiczów obozowała w spartańskich warunkach w salach lekcyjnych, w szatni albo na korytarzu. Organizatorzy szacowali liczbę uczestników na około 900 osób.

Nawiązano do roku 2000 i nadchodzącego przełomu tysiącleci. Nieco pretensjonalnie anonsowano myśl przewodnią („coś się kończy, coś się zaczyna”), na szczęście sam program, jak to na Krakonie, był obfity i urozmaicony: ponad 60 pozycji. Spotkania, prelekcje i konkursy trwały równolegle w trzech blokach.

Krakowska impreza ma opinię konwentu nastawionego na miłośników RPG i karcianek. „Wampir: ewolucja mitu” – prelekcja Joanny Wołyńskiej i Jakuba Marszałkowskiego o kulturowych korzeniach i uwarunkowaniach opowieści o wampirach, przyciągnęła jednak wielbicieli literackiego i filmowego horroru na równi z graczami w „Wampira: Maskaradę”. O malejącym znaczeniu etykietek i podziałów mówiono na panelu „Koniec fandomu tradycyjnego”. Na spotkaniu „Kosmos naszą szansą?” stanowiska prelegentów, prof. Zbigniewa Dworaka i Marka Oramusa, okazały się sceptyczne; nie będzie realnych szans na opanowanie nawet Układu Słonecznego, jeżeli nie pojawią się nowe typy napędów statków kosmicznych, a i wtedy pozostaną problemy związane z biologią człowieka. Spotkanie z Lechem Jęczykiem było poświęcone pułapkom globalizmu jako ideologii.

Spotkania z redakcjami pism branżowych objęły „Fantoma”, „Portal”, „Hyperiona”, „Magię i Miecz”, „Fenixa” i „Nową Fantastykę”. Optymistyczny nastrój panował wszędzie z wyjątkiem redakcji największej – „NF”. Mirosław P. Jabłoński wymienił grzechy główne „NF”, a redakcja eksplikowała się tak długo, że zaplanowana godzina nie wystarczyła.

Dawno nieoglądany Jacek Dukaj wybrzydzał na twórców horroru, wywodząc, że gatunek w żaden sposób nie eksploatuje tkwiącej w nim potencjalnie teologicznej głębi („konkurencja” dwóch absolutów). Na konkursach mogli wykazywać się znawcy twórczości Sapkowskiego, Gibsona, trekkerzy... Najodważniejsi rywalizowali o tytuł Omnibusa. Sala gimnastyczna była zastawiona stołami, przy których odbywali swe batalie zwolennicy kart, natomiast sesje RPG odbywały się po prostu wszędzie.

Zawiązał się na Krakonie Związek Stowarzyszeń „Fandom Polski”, uchwałą sześciu klubów-założycieli. Krakowianie podczas swojego konwentu rozstrzygają też konkurs na najlepszy scenariusz RPG. Główną nagrodę, Quentina 2000, zdobył Łukasz Jaworski. Golema, nagrodę ufundowaną przez KKMF „Dzabbersmok”, przyznawaną

przez fandom krakowski za szczególne zasługi dla polskiej fantastyki, zdobył Mirosław Kowalski (SuperNOWA).

Ostatni Krakon w tym tysiącleciu zamknęła zabawa w krakowskim klubie Drukarstwa Związkowa.

Paweł Ostrowski

PYRKON 2000

Pyrkon to, wbrew pozorom, nie nazwa konserwy ziemniaczanej, lecz Poznańskich Spotkań z Fantastyką, które odbyły się w stolicy Wielkopolski w dniach 11-12 marca 2000 roku. Organizatorem był Klub Fantastyki „Druga Era”.

W Poznaniu prawie dziesięć lat nie było klubu SF, a przecież to kolebka polskiego fandomu, tu działał wyśmienity klub „Orbita”, tu wydawano najlepszy fanzin tamtych lat: „Kwazar”. „Orbitowcy” licznie nawiedzili konwent, wspomnieniom nie było końca i, co budujące, działacze nowego klubu przysłuchiwali się temu z zainteresowaniem.

Poznań jest zatem miastem wyposażonym, uczestników było więc co niemiara. Głównie graczy, ale taka panuje dziś moda. Grano w RPG, systemy bitewne i karty. Te dwie ostatnie formy dominowały. Było jednak cicho i grzecznie, gracze pochowali się w licznych salach, bo konwent odbywał się w gmachu szkoły. Szum czynili tylko zaproszeni goście, gdyż spotkania autorskie urządzono w holu przy wejściu.

Lista gości była imponująca, a program spotkań bogaty. Nie brakowało paneli:

o fantastyce jako współczesnej mitologii mówili Parowski, Jęczyk, Ingłot i Burszta, a o tłumaczeniu SF – Cholewa, Lipski, Jęczyk i Klafkowski. Spotkania autorskie mieli Sapkowski, Huberath, Pilipiuk, Jabłoński, Sobota, Dębski, Kres, Zimniak, Ingłot. Odbyło się spotkanie z redakcją „NF”. Żywo rozprawiano o polskiej fantastyce; mówiono, niekoniecznie w superlatywach, o wielkich nieobecnych.

Bawiono się i sprawdzano wiedzę w licznych konkursach, odbyły się turnieje najpopularniejszych gier karcianych i bitewnego „Warhammer Fantasy”. Publikacja dopisała na pokazach filmowych, oprócz wideo można było obejrzeć z taśmy „Matrixa” i „Pi”.

Furorę zrobiło wystąpienie Marka Oramusa w barze „Grzanka”, jakby wyjętym z okresu wcześniejszego o dwie dekady. Wykład dotyczył stylów picia piwa, a wzorowany był na wystąpieniach partyjnych Gomułki. Przemówienie zyskało wielki aplauz, wytrzeszcz kłów i zajady od śmiechu miałem aż do rana. Celnym punktem programu było także spotkanie w pubie „Twierdza”, gdzie spotkały się cztery przynajmniej pokolenia polskich fantastów; najmłodsi nie byli w stanie uwierzyć, że Lech Jęczyk pamięta wjazd Hitlera do Warszawy.

Wyjechałbym z Poznania wielce uszczęśliwiony i ukojony widokiem nowych rzesz fanów fantastyki, gdyby humoru nie popsuł mi jeden fakt. Na imprezę, według organizatorów, sprzedano 580 wejściówek. Kolega obsługujący stoisko księgarskie sprzedał... 40 książek. Druga era?

Wojtek Sedeńko

HISTORIA KOBIETĄ SIĘ TOCZY

Dziesiątego marca Warszawski Ośrodek Kultury po raz kolejny gościł wielbicieli fantastyki i, zapowiedzianych w marcowym numerze „NF”, autorów pierwszych polskich wydawniczych nowości A. D. 2000. Okazali się nimi Andrzej Zimniak i Marcin Wolski oraz, nieobecny na imprezie, Tomasz Sętowski, autor malarskiego fantastycznego kalendarza.

Andrzej Zimniak zaprezentował uczestnikom nowy zbiór opowiadań „Łowcy meteorów”. Cztery z nich: „Pod ochroną”, „Pęknięty dzban”, „Ornitologia” („NF” 2/86) oraz tekst tytułowy to wznowienia. Dwa: „Czterdziestu małych kochanków” i „Przynieś mi serce Matki Teresy”, nie były dotąd publikowane. *Ten zbiór stanowi swego rodzaju przekrój przez całą moją twórczość* – mówił autor. Wydanie książki zbiegło się z dwudziestą rocznicą literackiego debiutu pisarza w Tygodniku Studenckim „Politechnik”.

Zebrane w „łowcach” opowiadania są, według autora, inspirowane Ameryką. Natchnieniem dla większości z nich, zauważę stronniczo, jest płęć piękna. Kobiety u Zimniaka nie tylko uwodzą, mają i oczarowują, ale przewrotnie doprowadzają do zagłady gatunku męskiego („Pęknięty dzban”), o czym autor z sympatycznym spokojem informował publikę (zdominowaną przez pierwiastek męski).

Marcin Wolski, różny od Zimniaka temperamentem, w kwestii kobiecej zajmował podobne stanowisko. W najnowszej książce „Pies w studni” napędem intrygi czyni kobiety (kobietę?), a raczej psa (stąd pies w studni?) na kobiety i awanturnika, który, ukarany za grzech rozwiązłości, ma spędzić resztę żywota w Studni Potępionych, jednak jakimś cudem przenosi się w czasie... *To książka pełna raczej miłości (ha!) niż frywolności* – podkreślał autor.

Druga pozycja autorstwa Wolskiego to, startująca w tym numerze „NF”, „Kwadratura trójkąta”. Motorem akcji jest zjawisko panhomii (por. panspermia), czyli przenoszenia ludzi z danej planety w inne zakamarki wszechświata. *To rodzaj krzyżówki political fiction z teorią, że na naszej ziemi wciąż znikają ludzie* – skomentował pisarz.

Rozgorzała potem dyskusja o czynnikach determinujących powstanie oraz upadek cywilizacji, imperiów i państw, z Rzeczpospolitą Obojga Narodów włącznie. Kontynuację poważnych rozważań stanowił pokazany na telebimie film „Dzień, w którym ziemia zamarta” (The Day the Earth Stood Still, USA 1951) w reżyserii Roberta Wise’a, będący ostatnią już atrakcją wieczoru. Utrzymany w konwencji SF, nakręcony w okresie „zimnej wojny”, przestrzega przed militarystką obu stron i wybuchem kolejnej wojny światowej. Końcowe sekwencje filmu, po raz kolejny tego wieczoru, potwierdziły, że historia kobietą się toczy.

Anna Woźniak

ROZPAD CAŁKOWITY

(z Edmundem Wnuk-Lipińskim rozmawia Dominika Materska)

Dominika Materska: – Od wydania „Mordu założycielskiego” – ostatniej części pańskiej trylogii rozgrywającej się na Apostezjonie – mija już dziesięć lat, które poświęcił pan polityce i socjologii. Teraz planuje pan powrót do fantastyki. Czyżby zawiódł się pan na nauce i uznał, że nie potrafi ona opisać chaosu współczesnego świata?

Edmund Wnuk-Lipiński: – Mój powrót do fantastyki odbywa się stopniowo, jest to bardziej długotrwały proces niż jednoznaczna decyzja. Myślę o napisaniu kolejnej powieści, jednak nie jestem jeszcze pewien, czy tak się stanie. Ewentualną decyzję o dalszym pisaniu fikcji uzależniam w pewnym stopniu od tego, jak czytelnicy młodsze pokolenie przyjmą wydane właśnie poprawione wznowienie trylogii. Na pewno nadal zajmować się będę socjologią i analizowaniem polityki, gdyż nie straciłem wiary ani w sens zajmowania się nauką, ani w język nauki. Myślę, że nauka wciąż potrafi opisać zachodzące zjawiska, tyle że w sposób odmienny niż niegdyś. Chaotyczność współczesności, mnogość zachodzących jednocześnie zjawisk i stopień ich złożoności sprawia jedynie, że skończyła się epoka wielkich systemów naukowych, zdolnych ogarnąć całą rzeczywistość. Dla naukowców nadszedł czas zawężenia pola badań.

– **Literatura pozwala zaś pokusić się o próbę wykreowania całej rzeczywistości?**

– Literatura pozwala na wydawanie sądów intuicyjnych, a fantastyka to literatura szczególnie uprzywilejowana, bo pozwala wyrwać opisywane zjawiska z ich bezpośredniego kontekstu i przedstawić je w postaci wyabstrahowanej. Piszac SF nie tylko można dotrzeć do znacznie szerszego grona czytelników, ale także pokusić się o prognozowanie i dywagacje na temat zachodzących zjawisk. Socjologia natomiast nie pozwala opisać przyszłości, gdyż nie jest na szczęście w stanie przewidzieć zachowania się mas. Mówię „na szczęście”, bo inaczej tyranie trwałyby wiecznie. Ludzie w przeciwieństwie do zwierząt nie są w pełni zdeterminowani ani swoją naturą, ani warunkami życia. Człowieka nie da się zalgorytmizować, bo jest on w stanie przekraczać granice własnych uwarunkowań, a wszystkie wielkie systemy naukowe opierają się na niezmiennych założeniach o naturze ludzkiej.

– **W czasach gdy zaczął pan drukować, kostium fantastyki służył często do mówienia o polskiej rzeczywistości. Czy w pana przypadku SF była grą z cenzurą, dywagowaniem nie wprost o procesach zachodzących w PRL-u, czy też chciał pan nadać swoim powieściom charakter uniwersalnej paraboli?**

– Myślę, że jedno i drugie – ale decydująca była chęć dotarcia do jak największej

grupy ludzi po to, by podzielić się z nimi moją oceną rzeczywistości. Pierwsza, zmieniona później, wersja „Wiru pamięci” rozgrywała się w realiach warszawskich, a jej bohaterowie nosili polskie nazwiska. Ze względu na cenzurę musiałem książkę przerobić, umieszczając jej akcję na fikcyjnej wyspie Apostezjon, choć niektóre realia warszawskie nadal są w niej obecne. Także w późniejszych tomach trylogii udawało mi się przekazać sygnały, że tak naprawdę mówię o Polsce – w „Mordzie założycielskim” na przykład przemyciłem opis pomnika Kopernika i pałacu Staszica.

– **Jakie procesy czy zjawiska zachodzące w ówczesnej Polsce dały panu impuls do stworzenia Apostezjonu i rozgrywających się na nim wydarzeń?**

– Pomysł na pierwszą powieść, „Wir pamięci”, powstał jeszcze na początku lat siedemdziesiątych, kiedy wydawało się, że polityka Gierka i jego ekipy może odnieść sukces. Wtedy właśnie przyszło mi do głowy pytanie, jacy byliby ludzie, gdyby komunizm odniósł sukces gospodarczy, a ludzie w nim żyjący nie mieliby ekonomicznych powodów do niezadowolenia. Bohaterowie „Wiru pamięci” żyją w państwie ściśle kontrolowanym przez władzę, ale działającym sprawnie i wydajnie. Powieść jest próbą odpowiedzi na pytanie o zachowania ludzi funkcjonujących w takim społeczeństwie – od konserwatywnych temporystów po osoby z marginesu. Oczywiście takim dywagacjom nadałem ramy sensacyjnej akcji.

– **A jak było w przypadku „Rozpadu połowicznego” i „Mordu założycielskiego”?**

– Bezpośrednim impulsem do napisania pierwszej z tych książek było odreagowanie śmierci Grzegorza Przemyka. Wtedy zadałem sobie pytanie, czy prawdą jest powtarzane czasem twierdzenie, że odpowiednio dobierając tortury każdego można złamać: nie kupić, ale właśnie złamać. Piszac „Rozpad połowiczny” przeprowadziłem eksperyment myślowy – próbowałem dociec, czy jest w człowieku takie *residuum*, do którego nic, żadne tortury nie są w stanie dotrzeć. Odpowiedź była oczywiście dwuznaczna – niektórych da się złamać, a niektórych nie. „Mord założycielski” natomiast to próba odpowiedzi na pytanie: co będzie, jeśli wolność przyjdzie do kraju, który jest pozbawiony religii, a przez to zdolności rozróżniania, co jest dobre, a co złe, do kraju, gdzie są jedynie enklawy wiary w wyższe wartości. Chciałem też zastanowić się, co będzie z demobitem starego systemu.

– **W pana powieściach widoczne są nie tylko inspiracje wydarzeniami rozgrywającymi się w ówczesnym PRL-u, ale także teoretyczne rozważania nad sposobem funkcjonowania społeczeństwa w stanie izolacji. Jaki był wpływ socjologii na pańską twórczość?**

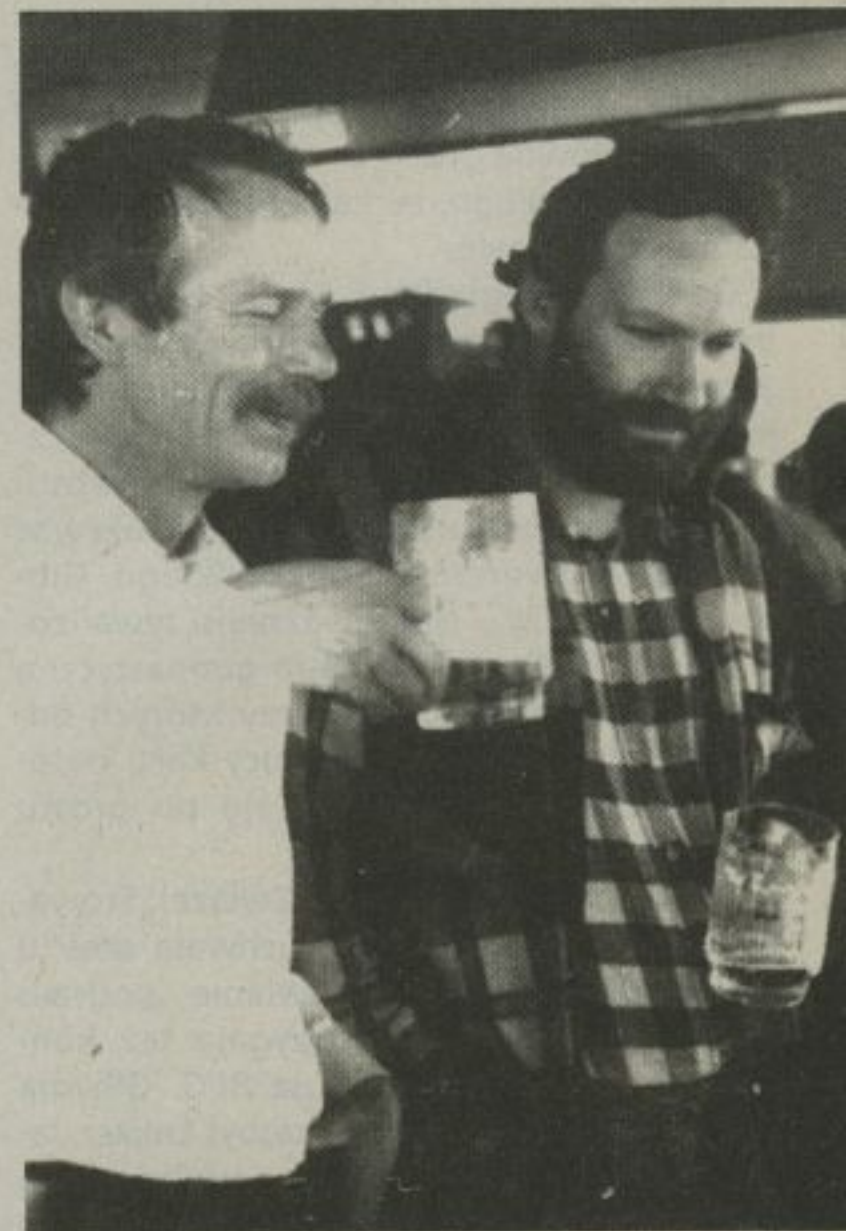
– Duży. Inspiracje socjologiczne to podstawa mojej trylogii. I to nie tylko dlatego, że wiedza ta siedzi gdzieś we mnie głęboko. Świadomie zdecydowałem się użyć kostiumu SF po to, by opowiedzieć o moich przemyśleniach, o których ówczesna socjologia musiała milczeć.

– **Jakie socjologiczne teorie wywarły na pana jako pisarza SF największy wpływ?**

– Słynne rozważania na temat totalitaryzmu i sposobów, jakich rządy totalitarne używają, by utrzymać władzę. Ustalenia dotyczące tego, jak manipulacje poziomem konsumpcji wpływają na stabilność polityczną systemu, jak izolacja państwa od czynników zewnętrznych – np. wiadomości o życiu w innych krajach – gwarantuje zachowanie spokoju społecznego. Pozbawienie ludzi świadomości, że istnieje gdzieś inny świat, oraz wmówienie im zagrożenia ze strony wroga pozwalają rządowi totalitarnemu utrzymać władzę bardzo długo – stąd konieczność żelaznej kurtyny.

– **Czy jeśli Apostezjon byłby szczelnie izolowany, to mimo pogarszającej się sytuacji ekonomicznej udałoby się powstrzymać przewrót?**

– Byłyby dużo większe szanse. Jednak taka izolacja jest praktycznie niemożliwa – odcinając dopływ wiadomości ze świata hamuje się bowiem postęp techniczny w kraju. Dodatkowo, społeczeństwo w pełni izolowane musi zapomnieć również o przeszłości. Reżim jest więc zmuszony zmienić historię i, niczym państwo Wielkiego Brata opisane przez George'a Orwella w „1984”, stworzyć historię alternatywną i jej materialne ślady.



Staszów 1984

– W „Wirze pamięci” główny bohater przechodzi operację zmiany pamięci. W „Rozpadzie połowicznym” ważny jest motyw beczasowości Apostezjonu – propaganda państwowa dyskredytuje historię, a ci, którzy o niej pamiętają, czyli temporyści, to opozycja polityczna. Takie odcięcie od przeszłości zarówno osobistej jak i narodowej ma służyć pełniejszej izolacji?

– Właśnie. Na Apostezjonie nie ma właściwie narodu. Ludzie pozbawieni pamiętek przeszłości są niczym lotny piasek – pozbawieni jakiegokolwiek spoiwa. Jest to zresztą prawda socjologiczna znana już od dawna i wykorzystywana między innymi przez Adolfa Hitlera – jedność narodu rodzi się z pamięci przeszłości, wspólnych mitów, do których się przyznajemy. Dodatkowo historia podsuwa nam scenariusze buntu i daje świadomość alternatywy – jeśli kiedyś było inaczej niż teraz, to znaczy, że i obecna sytuacja może ulec zmianie. Należy więc zlikwidować, a przynajmniej unieszkodliwić ludzi wykształconych, któ-

meczek dowiaduje się, że jeden z więźniów ośrodka resocjalizacyjnego pisał coś o dawnych kultach, o ludziach wierzących w życie po śmierci, awans do wyższej klasy. Ten więzień nie żyje i Nemeczek nie może poznać szczegółów, jednak tak małe naruszenie izolacji sprawia, że sam zaczyna się zastanawiać, czy jego bliska już śmierć będzie na pewno końcem jego istoty. Niepokój, jakim zaraził się Nemeczek, zmusza go do wyłączenia pamięci i przypomnienia sobie kościołów, do których chadzał z matką w dzieciństwie. Tego rodzaju rozmyślenia są cechą natury ludzkiej, uniwersalnym niepokojem metafizycznym. Brak religii, która daje odpowiedzi na tego rodzaju pytania, prowadzi do dezintegracji i powstawania substytutów metafizyki, takich jak na przykład sekty i sekciarstwo.

– Skąd więc biorą się mity?

– Są charakterystyczne dla życia społecznego. Naród pozbawiony mitów czy wydarzeń mitotwórczych byłby chory. Mit to sposób myślenia o lepszym świecie i defi-

dzieję, sprawiła, że ludzie mogli już myśleć o przyszłości, o tym, co będą robić, w kategoriach alternatywy. Kolejnym mitem była oczywiście dobrowolna śmierć Wargacza, która dała rewolucji mit o męczenniku.

– Czy był on niezbędny dla wybuchu rewolucji? Czy i rewolucje w jakimś sensie wyrastają z mitu?

– Jest wiele teorii rewolucji, do których nawiązywałem w trylogii o Apostezjonie, ale żadna z nich nie ma wartości prognostycznej. W historii zdarzały się momenty, kiedy w bardzo podobnych okolicznościach – na przykład pojawienia się charyzmatycznego przywódcy – rewolucja wybuchała lub nie. Uogólniając: aby wybuchła rewolucja, potrzebna jest cała sekwencja czynników – tak jak to było i na Apostezjonie. Po pierwsze, wśród ludzi musi narodzić się świadomość alternatywy, wiara, że istnieje lepsze życie, i nadzieja, że da się je osiągnąć. Po drugie, potrzebny jest rozłam w elicie władzy – w przypadku Apostezjonu w Radzie Ekspertów – na twardogłowych i liberałów. Następnie musi wytworzyć się kontrelita, alternatywny ośrodek władzy, ku któremu ciążą niezadowoleni. Ten ośrodek może być w uśpieniu. W momencie gdy masy zdefiniują wspólnego wroga, gdy powstanie podział na „my” i „oni”, a „my” to będą wszyscy, którzy nie lubią „ich”, czyli władzy, ośrodek przebudzi się. Do tego potrzeba jeszcze naruszenia izolacji i już zostaną spełnione warunki brzegowe rewolucji. Do jej wybuchu w takim momencie potrzeba jedynie impulsu, drobnego wydarzenia, które posłuży za iskrę rewolucji. Na Apostezjonie czymś takim była awaria zakładów chemicznych i skażenie, jakie za sobą pociągnęła.

– Podział na „my” i „oni” istniał na Apostezjonie już wcześniej – myślę o konfliktach na linii temporyści – lovitci.

– Oficjalny reżim wygrywał przeciw sobie te dwie grupy niezadowolonych. Temporyści – czyli odpowiednik konserwatywnej opozycji w PRL, i lovitci – czyli margines społeczny, ludzie zaniedbani tak, że nawet ich nazwa jest błędna, bo pochodzi od słowa *love*, od miłości, której im brakuje. Obie te grupy uważały się wzajemnie za wrogów, a przez to nie zwracały przeciw reżimowi. Jest to jedna z najstarszych metod utrzymania podwładnych w posłuszeństwie – „rządz i dziel”.

– Wspominał pan „1984” George’a Orwella. Czy lovitci nie są wzorowani na orwellowskich prolach? Na Apostezjonie to właśnie lovitci robią rewolucję, a u Orwella w pamiętniku Winstona Smitha pada zdanie: „Jeśli jest jeszcze nadzieja, to leży ona w prolach”.

– Tak, byłem świadom tego kontekstu. W obu powieściach przedstawione jest państwo totalitarne, kontrolujące swoich obywateli, a taka kontrola ma to do siebie, że jest tym słabsza, im niższe warstwy społeczne rozpatrujemy. I prole, i lovitci to sam margines, ludzie tak nieważni, że prawie zupełnie ignorowani. Przez to także najslabiej zindoktrynowani.

– Nawiązań do „1984” jest w Apostezjonie więcej, że wspomnę chociażby metody



rzy tę historię znają i mogą o niej opowiadać. Ideałem, znowu tak jak u Orwella, byłaby zmiana języka na taki, którym nie da się mówić o przeszłości. Aby rozerwać więzi historyczne, odciąć młode pokolenie od opowieści o przeszłości, powtarzanych przez starszych, należy także zlikwidować, a przynajmniej bardzo osłabić instytucję rodziny. Na Apostezjonie dzieci odbierane są rodzicom i wychowywane w specjalnych ośrodkach, gdzie następuje ich socjalizacja – wpojenie wzorców odpowiadających polityce władz. W pełni izolowani ludzie są także pozbawieni religii, a przez to skazani na życie bez metafizyki, bez nadziei na istnienie lepszego świata.

– Jednak na Apostezjonie metafizyka się odradza, a na miejsce zlikwidowanej religii pojawiają się mity.

– Tak, izolacja nie jest bowiem pełna. W „Rozpadzie połowicznym” profesor Ne-

niowania siebie jako człowieka – istoty dążącej ku czemuś wyższemu. Mit to wzorzec postępowania i silnik pchający społeczeństwo naprzód. Dobrym przykładem jest tu amerykański mit mówiący, że każdy może zostać milionerem. Najkrócej sprawę ujmując, jeśli nie ma za co umierać, to nie ma też po co żyć.

– W momencie kiedy mitów nie ma, społeczeństwo jest więc pozbawione dynamiki?

– Tak. Aby ludzie na Apostezjonie zaczęli się organizować, konieczny był mit. Stała się nim Strefa – enklawa buntowników odgradzona przez siły bezpieczeństwa, a następnie spacyfikowana. Pamięć, że istniał taki obszar, w którym panowała wolność, była konieczna, by ludzie zrozumieli, że istnieje alternatywa wobec obecnego stanu życia społecznego i by zaczęli się jednoczyć w imię tej wolności. Strefa dała na-

resocjalizacji stosowane przez O'Briana i powtórzone w opisach tortur prowadzonych przez ludzi Nemeczka. To świadoma stylizacja?

– Świadoma. „1984” jest modelową wręcz dystopią, a moją ambicją było pokazanie, jak funkcjonuje taki układ. Muszę się jednak przyznać, że w momencie pisania „Wiru pamięci” nie znałem Orwella, przeczytałem go dopiero potem. W kolejnych częściach trylogii nie unikałem nawiązań. Tortury, o których pani wspomniała, opierają się na tej samej głębokiej prawdzie psychologicznej – aby kogoś złamać, należy zmusić go, by porzucił rolę ofiary przemocy i dołączył do katów. W „1984” Winston Smith pokochał Wielkiego Brata w chwili, gdy podczas tortur wyparł się miłości do Julii i krzyknął, aby zamiast niego torturować ją. Zdrada wobec tych, których kochamy, to najjaskrawszy dowód, że dołączyliśmy do oprawców – tę samą prawidłowość wykorzystałem w torturze czuwania, jakiej poddawani byli więźniowie ośrodków resocjalizacyjnych.

– Jakie inne powieści SF miały wpływ na pana jako na pisarza i socjologa?

– Niewątpliwie książki Stanisława Lema, a także Krzysztofa Borunia i Andrzeja Trepki, na których się wychowałem. Potem, na studiach, wielkie klasyczne utopie, takie jak „Państwo” Platona czy „Utopia” Morusa.

– Czy socjologowie czytają SF? Mogliby znaleźć w tych książkach wiele intrygujących pomysłów.

– Niestety, ogólnie rzecz biorąc nie czytają. Do wyjątków należą książki tak sławne jak właśnie „1984” i „Nowy wspaniały świat” Aldousa Huxleya – ale praktycznie tylko te dwie. Nie znają nawet Lema, że nie wspomnę o Asimovie. Sam zrobiłem kiedyś taki żart – nazwałem jedną ze swoich prac naukowych tak samo jak jedną ze swoich powieści – „Rozpad połowiczny”. Nie zorientowała się ani jedna osoba.

– Jeśliby jako socjolog miał pan prognozować, co wydarzyło się na Apostezjonie tuż po rewolucji, to co by pan wyprorokował?

– Aby odpowiedzieć na to pytanie, należy wrócić do sprawy, o której mówiliśmy wcześniej, mianowicie do dynamiki rewolucji. Przewrót, w tym także przewrót na Apostezjonie, przeprowadzany jest zawsze w imię wartości. Ludzie jednoczą się pod hasłami, za które gotowi są umierać – w imię wolności, prawdy czy tolerancji. Wartości te są wspólne dla wszystkich tak długo, jak długo pozostają słowami. Po zwycięstwie rewolucji nadchodzi moment wcielania w życie tych szczytnych haseł i wtedy też okazuje się zazwyczaj, że wolność czy równość każdy definiuje inaczej. Na tym tle dochodzi do podziałów wśród dawnych sojuszników. Myślę, że i Apostezjon nie uniknie tego losu.

– Mieszkańcy Apostezjonu, wychowani przez reżim totalitarny i pozbawieni nawet więzi rodzinnych, nie stanowią zważającego narodu. Jeśli dojdzie więc do rozwar-

stwienia na tle ideowym, państwo to chyba katastrofa?

– Apostezjon był państwem pozbawionym religii. Myślę więc, że w warunkach zdobytej wolności jedynym spoiwem nowego systemu może być jakiś substytut wiary – mit, wokół którego zaczną powstawać naród.

– Na przykład kult Wargacza?

– Na przykład. Kult ten może jednak przyjąć różne formy w zależności od osoby czy grupy ludzi, która nim pokieruje.

– Nowy przywódca państwa, Nordman, który na końcu „Mordu założycielskiego” jest wręcz zmuszony do objęcia władzy, robi to pod hasłem „Nordman uczniem Wargacza”.

– Nordman to typowy przykład człowieka, którego na szczyty wyniósł przypadek, sama dynamika rewolucji. Gdy trzeba było przywódcy, znalazł się w odpowiednim miejscu, a był zbyt wielkim tchórzem, by odmówić nowej władzy. Jeśli on zacznie wykorzystywać propagandowo kult Wargacza, to niewątpliwie mianuje samego siebie jego następcą.

– A jeśli będą to lovitti, dawny margines społeczny, który teraz wspiera nową władzę?

– W takim wypadku Wargacz zostanie wykreowany na bohatera ludowego – powstaną mity o tym, jak rozprawiał się z wrogami i jak potrafił zdobywać dodatkowe przydziały; słowem – stanie się wcieleniem cnót lovittów. Myślę ponadto, że duża część lovittów wkroczy w życie publiczne i narzuci swój sposób myślenia i styl bycia w strefie publicznej. Świat zacznie się gwałtownie zmieniać i nawet temporystom, którzy niegdyś wiedzieli, czego się trzymać, zabraknie punktu stałego oparcia. Chyba że odrodzi się religia. Wolność, która zapanowała nagle na Apostezjonie, zaskoczy jego obywateli nieprzygotowanych zupełnie na jej przyjęcie. Myślę, że pierwsze pięć lat po przewrocie będzie dla wszystkich okresem uczenia się świata na nowo, poznawania zasad funkcjonowania w zupełnie nowych warunkach.

– Te pierwsze pięć lat dodefiniowywania rewolucyjnych wartości stanie się więc okresem dramatów?

– Tak, ludzie, którzy byli razem, przestaną być razem. Główny dramat będzie jednak inny i nazwać go można najlepiej mianem dramatu poznawczego. Mieszkańcy Apostezjonu będą w sytuacji zwierząt wypuszczonych nagle z zoo. W momencie gdy poznają lepiej świat, rozumieją, że jest on inny niż sobie wymarzyli, że na wolności panują znacznie sroższe warunki. Stracą poczucie obliczalności świata, co może być źródłem dotkliwej frustracji – tak jak to opisywał Erich Fromm w „Ucieczce od wolności”.

– Co więc się stanie z nimi wszystkimi – z lovittami, temporystami i spolegliwymi obywatelami Apostezjonu?

– To już jest temat na czwartą część tej historii, która być może powstanie.

Notowała **Dominika Materska**

KOŁO HISTORII

Poparcie dla wstępowania do Unii Europejskiej w Polsce słabnie, a dlaczego – pokazuje niepozorna książeczka Barnima Regalicy „Bunt”. Zawiera ledwie siedem opowiadań (dwa z nich drukowaliśmy w „NF” 3/98), osadzonych w hipotetycznej rzeczywistości pierwszej dekady XXI wieku. Polska została przyjęta do Unii i podzielona na euroregiony, gdzie przymusowo wciela się w życie unijną ideologię tolerancji (granice między euroregionami są pilnie strzeżone). Upiory polskiego szowinizmu, nacjonalizmu, etnocentryzmu, ksenofobii, nietolerancji i oszołomstwa zostały już zasadniczo przewyciężone, można więc skupić się na tępieniu marginalnych przeżytków wyżej wymienionych cech i profilaktyce.

W Euroregionie Warta, gdzie rzecz się dzieje, historia zatacza koło: w środowiskach licealistów odbywają się zebrania Młodzieżowej Ligi Antyrasistowskiej (dawniej ZMP), znów mamy prymat ideologii narzuconej z zewnątrz, „nowa wiara” wyznawana jest na pokaz, a we własnym gronie kpi się z niej i szydzi, ile wlezie. Polacy, zamknięci w gorset „europejskich” zakazów i nakazów, stają się we własnym kraju obywatelami drugiej kategorii. Europa, słusznie nie wierząc, że ómy Ciemnogrodu zostały przegnane, stosuje testowanie nadmiarowe, a to instalując w Poznaniu dzielnicę wietnamską, a to sprowadzając nieco Murzynów w celu introdukowania (jak tam z ksenofobią?).

Metoda Regalicy jest prosta: łapie i ośmiesza retorykę „europejczyków”, próbujących zwalić na nas bagaż win i kompleksów za jakieś urojone grzechy (a może by tak poszukać belek we własnym oku?). W opowiadaniach pełno jest tragikomicznych rekwizytów i scenek świadczących o indoktrynacji młodego pokolenia i trzymaniu w imadle starszych. Wszystko to prowadzi do wybuchu powstania w Euroregionie Warta, a kto wie, czy i nie gdzie indziej.

„Bunt” pojawił się w chwili, gdy znaczna część Polaków ma już powyżej uszu gorzkich wyrzutów na temat polskiej ksenofobii i antysemityzmu. Niestety, robotę autora psuje oprawa: napis na okładce *Książka nie tylko dla faszystów* rzeczniczy sprawę „europejskiej” chętnie wezmą dosłownie. Już lepiej było zastosować mimikrę SF. Ci bowiem, co tak gromko domagają się tolerancji od innych, sami czują się z niej zwolnieni.

Kunktator

Barnim Regalica: *Bunt*. Rekonkwista 1999.

POCZEKAJCIE, BURŻUJE

„Dywizja Cassini”, książeczka w sumie niewielka, sprawiła mi nieproporcjonalnie dużo uciechy. Powieść Kena MacLeoda to nowoczesna space opera, nie stroniąca od cyberpunkowych zapożyczeń. Wiek XXIV, ludzkość, zjednoczona w Unii Solarnej, staje wobec potencjalnego zagrożenia ze strony usadowionej na Jowiszu cywilizacji postludzi. Są oni potomkami śmiaków, którzy kiedyś wybrali drogę transbiologicz-

nej autoewolucji, porzucając ciała dla rzeczywistości wirtualnej. Stacjonująca na Calisto Dywizja Cassini, jedyna, jaką Unia dysponuje, przymierza się do prewencyjnego uderzenia na wroga.

Mimo paru niezłych pomysłów powieść MacLeoda lokuje się w strefie średnich dokonań gatunku. Odróżnia ją za to konsekwentny socjalistyczny internacjonalizm autora. W trakcie lektury oczekiwałem, że komunistyczna utopia obróci się w parodię; całość bardzo poważna. Po Upadku (systemu kapitalistycznego, rzecz jasna) od każdego wymaga się według jego możliwości, zaś dóbr udziela się podług potrzeb. Obowiązuje zwrot grzecznościowy, jeżeli nie towarzyszu, to przynajmniej sąsiedzie. Tu i ówdzie pojawiają się gromady Niezależnych, głównie po to, by bohaterowie mogli zdumiewać się i wydziwiać nad nieszczęsnym losem osobników dających się wyzyskiwać innym. Cóż dopiero, gdy dzięki odnalezieniu tunelu czasoprzestrzennego udaje się odnaleźć całą planetę, zamieszkaną przez zacończonych kapitalistów! Samobójcza chciwość pcha ich ku katastrofie, której zapobiegają nasi altruistyczni komuniści.

Jeżeli zważyć, że powieść pochodzi z roku 1998, to po dobrej zabawie, której nam MacLeod niezamierzenie dostarcza, ciarki mogą przejść po plecach.

Aligator

Ken MacLeod: *Dywizja Cassini*. Tłum. Maciejka Mazan. Amber 1999. Cena 20,80 zł. Mistrzowie SF i Fantasy.

CUD SENSU

„Okrutne cuda”, ostatni tom czteroksięgi opowiadań Orsona Scotta Carda, to zbiór sześciu pozornie zupełnie różnych utworów, które łączy motyw przewodni. Napisane przez żarliwego mormona, próbują pogodzić głęboką religijność z racjonalnością właściwą klasycznej SF. Na sześć różnych sposobów Card udowadnia tę samą prawdę: jedynie założenie, że Bóg istnieje, nadaje cel i sens chaosowi, jaki pozornie rządzi Wszechświatem.

Religia wedle Carda to wartość uniwersalna, występuje we wszystkich cywilizacjach, a formy, jakie przybiera, nie mają znaczenia. Każde z opowiadań tomu rozważa jeden aspekt tak pojmowanej religijności. Od impresji na temat cywilizacji istot nieśmiertelnych, których bogowie umierali, przez studium coraz popularniejszego w Stanach zjawiska telewizyjnych uzdrowicieli-szarlatanów, po opowieść o ofierze składanej Obcym.

Religia zmusza do kierunkowego działania, walczy z entropią. Wiara popycha bohaterów „Opowieści św. Amy” do niszczenia śladów ziemskiej cywilizacji, by mogła się odrodzić w czystszej formie. W opowiadaniu „Świętość” wiara tubylców jest tak mocna, że wbrew rozsądkowi ulega jej i ziemski antropolog.

Jedynie „Okno za okno” – najlepszy utwór zbioru – pokazuje, jak groźny może być fanatyzm religijny. Obdarzony zdolnościami bioelektromagnetycznymi założyciel klanu uznał się za biblijnego patriarchę. Powtarzając starotestamentowy schemat

kazirodycznych związków w rodzie Mojżesza klan ten doprowadza do narodzin potomków, którzy potrafią sprowadzać na innych raka, a nawet czystą złością zabijają na odległość.

Anihilator

Orson Scott Card: *Okrutne cuda*. Tłum. Anna Czajkowska. Amber 1999. Cena 19,80 zł. Mistrzowie SF i Fantasy.

TRWANIE I EKSPANSJA

Hard SF wraca do łask, przynajmniej w strefie anglojęzycznej. Dowodem tej tendencji jest kilka nowych powieści napisanych przez grupę nowych autorów. Jednym z nich jest znany w Polsce z „Krainy baśni” (powieść SF!) Paul McAuley.

Tytuł „Czterysta miliardów gwiazd” oznacza średniej wielkości galaktykę, czyli na przykład naszą, intryga zaś dotyczy konfrontacji ludzi z nieznaną rasą. W sektorze BD 20 toczą się działania zbrojne, a na odległej planecie obiegającej czerwonego karła trwają jakby prace studialne nad miejscową fauną oraz monumentalnymi budowlami, pozostałymi po prehistorycznych czasach. Ale to tam właśnie leży klucz do konfliktu (i kontaktu).

Sytuacja ulega przełamaniu dzięki telepatce, która wchodzi w kontakt mentalny z ostatnią z wielkich przywódczyni stadników. Jest to stara rasa, zwaśniona, rozproszona po kosmosie, częściowo już zdegenerowana. Jej dewizą jest przetrwanie, podobnie jak dewizą ludzi – ekspansja. Po zamknięciu konfliktu w BD 20 będzie się można skoncentrować już tylko na tym.

Przygodowa powieść McAuleya jest napisana sprawnie, a pod względem naukowym bodaj bez zarzutu. Czyta się jednym tchem. Ale w tym thrillerze kontaktowym czytelnika obeznanego z tematem niewiele jest w stanie zaskoczyć.

Predator

Paul J. McAuley: *Czterysta miliardów gwiazd*. Tłum. Zbigniew A. Królicki. Zys i S-ka 1999. Cena 25 zł.

PRZEZNACZENIE NIVENA

Długo kazał Larry Niven czekać na swoją nową powieść. „Droga Przeznaczenia” – jak sam przyznaje w przedmowie – kosztowała go znacznie więcej czasu i pracy niż myślał. Tymczasem rzecz trzeba bez ogródek: jest to zawód.

„Droga” bardzo luźno łączy się z dylogią „Dziedzictwo Heorotu” i „Dzieci Beowulfa” napisaną przez Nivena wraz z Jerrym Pournelle’em i Stevenem Barnesem. W „Drodze” Niven opisuje po prostu historię kolejnej próby kolonizacji obcogwiezdnej planety, ale innej i podjętej lata później. Tym razem startuje z punktu wysuniętego parę wieków od lądowania, ze społeczności po części zdegenerowanej i pozbawionej pamięci własnej przeszłości – tak że szczegółowe losy kolonistów i powody, dla których ich potomkowie znaleźli się w tarapatach, musi czytelnik (wraz z głównym bohaterem) dedukować przez całą powieść.

To jest bowiem jej główna i, podkreślam, jedyna treść. Niven zastosował tu przepis, który niejednokrotnie w wykona-

niu mistrzów hard SF (w tym jego własnym!) dawał dobre rezultaty: obmyślił obcy ekosystem, rzucił weń grupkę ziemskich eksploratorów o ograniczonych zasobach, wykonał kilkanaście umysłowych iteracji, a wynik zamaskował przed czytelnikiem. Tym razem jednak metoda fatalnie zawodzi. Wszystkie szwy, cały szkielet konstrukcji – wychodzą na wierzch. Ani ten ekosystem nie jest na tyle interesujący, ani bohater na tyle sympatyczny, ani fabuła na tyle wciągająca, ani wykonanie na tyle zręczne, ani na koniec rozwiązanie zagadki na tyle olśniewające. Na dodatek zdarzają się nieścisłości merytoryczne (np. chronologia wydarzeń).

Jest to poniekąd charakterystyczne dla starszych pisarzy: odpalają swoje sprawdzone algorytmy – lecz czytelnicy miast oczarowania doznają rozczarowania. Czyżby takie miało być przeznaczenie także Larry’ego Nivena?

Terminator

Larry Niven: *Droga Przeznaczenia*. Tłum. Janusz Ochab. Prószyński i S-ka 1999. Cena 28.00 zł.

W KRAINIE SNU

Marta Tomaszewska kojarzy się głównie z dziecięcą serią o przygodach dzielnych Tapatików przybywających na Ziemię w dziwnym pojeździe kosmicznym. Tym razem autorka poświęciła uwagę bardziej dorosłej odmianie fantastyki. Ale „Królowa Niewidzialnych Jeźdźców” niewiele ma wspólnego z konwencjonalnie rozumianą fantastyką, bliżej tej książce do tradycyjnej baśni.

Muszę ostrzec: jest to baśń, która nie wszystkim będzie odpowiadać. Jest oniryczna, tempo opowieści z początku powolne, dopiero później przyspiesza. Styl narracji również może irytować – nagminne jest, że po opisie jakiejś sytuacji narrator błyskawicznie wprowadza autopoprawkę, stwarzając wrażenie, że sam sobie przeczy, gmatwa. Ale to wydaje się zamierzonym efektem, mającym podkreślić charakter opowieści, która jest niczym innym jak tylko marzeniem sennym narzuconym postaciom w Noc Świętego Snu.

Powieść poświęcona jest losom chłopca przezwanego Oko. Znalezione niedaleko wioski Ullamp, nie zna swojego prawdziwego imienia, co więcej, jest przekonany, że ma coś wspólnego z nieszczęściami nawiedzającymi wioskę. Wyrusza więc w drogę; nie tylko odnajdzie swoje prawdziwe imię i matkę, lecz również pokrzyżuje knowania złych mocy.

Jak z każdej baśni, tak i z tej można wyciągnąć nauki. Ważne jest, by nie uciekać przed własnym losem. Nie należy kierować się wyglądem, gdyż jest on tylko pozorem. Uroda może skrywać zło, a szpetota dobro. Podobnie postać niskiego stanu staje się księciem z bajki. Ale tak to już w baśniach bywa.

Małgorzata Wieczorek

Marta Tomaszewska: *Królowa Niewidzialnych Jeźdźców*. Prószyński i S-ka 1999. Cena 18 zł. Polska Fantastyka.

ZŁOTY KANON



„Złota księga fantasy” to zbiór trzydziestu najlepszych opowiadań fantasy wszechczasów, swoista kronika rozwoju gatunku. Ponieważ liczba pisanych corocznie opowiadań fantasy przewyższa, przynajmniej w Ameryce, liczbę

nowych utworów klasycznej SF, Amerykańskie Stowarzyszenie Pisarzy Science Fiction postanowiło w roku 1992 dodać do swej nazwy człon Fantasy. Przy okazji planujący wydanie „Księgi” Robert Silverberg zwrócił się do członków Stowarzyszenia, by ustalili ścisły kanon tego gatunku. „Złota księga” ma pokazać, że fantasy to nie tylko post-tolkienowskie sagi o smokach, krasnoludach i wyprawach po magiczne przedmioty, ale pełnoprawna literatura z ambicjami i tradycją.

Zebrane w jednym tomie te świetne opowiadania dowodzą, że fantasy może być literaturą wysokiego lotu. Napisane w latach 1939-1990, są w większości znane polskim czytelnikom (często w innych tłumaczeniach). Lektura „Złotej księgi” nasuwa przede wszystkim refleksję, że fantasy to gatunek bardzo szeroki. Zawarto w niej utwory bardzo różne: najogólniej rzecz można, że fantasy to fantastyka, która nie

zawiera elementów spekulacji naukowej ani opisów urządzeń technologicznych.

W „Księdze” znaleźć można teksty pisarzy zaliczanych często do głównego nurtu, takie jak alegoryczny „Topielec” Ballarda czy słynne „Tlon, Uqbar, Orbis Tertius” Borgesa. Obok nich zamieszczono utwory plasujące się na pograniczu fantasy i SF – Dicka, Silverberga, Bradbury’ego, Heinleina. „Basileus” Silverberga to na przykład historia o genialnym informatyku, który odkrył metodę zniszczenia świata – sygnał symulujący atak nuklearny i zmuszający do kontruderzenia. Klasyfikacja tego opowiadania jako fantasy budzi wątpliwości. Bardzo podobnie jest z „Wiarą naszych ojców” Dicka, mroczną fantazją o autorytarnym państwie rządzone przez nieziemską istotę. Diabliczno-boski przywódca ma moc zsyłania halucynacji na swoich podwładnych i przekształcania postrzeganego przez nich obrazu świata.

W zbiorze nie ma praktycznie opowiadań słabych czy wtórnych. Kierowane do czytelników o rozmaitych upodobaniach, reprezentują rozmaite rodzaje fantasy. Wysoki poziom tomu utrudnia wybranie tego najlepszego utworu, można się jednak chyba zgodzić z wynikami plebiscytu przeprowadzonego przez Silverberga, w którym pierwsze miejsce zajęła „Loteria” Shirley Jackson, a drugie „Jeffty ma pięć lat” Harlana Ellisona. Na szczególną uwagę zasługuje też „Śmierć na balu” Petera S. Beagle’a.

Sława „Loterii” wykracza znacznie poza krąg miłośników fantasy. Uznawane za klasykę krótkiej formy, pokazuje ono dziwaczną uroczystość organizowaną co roku w pewnym miasteczku. W skodyfikowany, ściśle ustalony sposób mieszkańcy tego osiedla losują, a następnie kamienują jednego spośród siebie. Jackson nie daje wyjaśnienia tego rytuału, lecz otwiera pole do dywagacji. Czy loteria ta ma miejsce w „naszej” Ameryce, czy w jakiejś alternatywnej historii, a może w kolonii ziemskiej na innej planecie?

„Jeffty ma pięć lat”, fantasy zupełnie innego rodzaju, nostalgicznie wspomina złote czasy amerykańskiej kultury pop. Mały chłopiec Jeffty nie tylko na zawsze pozostaje pięcioletkiem, ale też świat w jego najbliższym otoczeniu to wiecznie koniec lat czterdziestych.

„Złota księga” zawiera też utwory komiczne, oparte na zderzeniu realizmu z fantastyką. „Kłopoty z wodą” H. I. Golda na przykład to historia zatargu z wodnikiem. „Tego nie ma w regulaminie” L. Sprague de Campa mówi o syrenie na zawodach pływackich, a „Operacja Afryt” Paula Andersona o wykorzystaniu magii w wojsku. Generalnie jednak „Księga” udowadnia, że fantasy może być prozą metaforyczną i głęboką.

Dominika Materska

Złota księga fantasy. Red. Robert Silverberg. Tłum. różni. Prószyński i S-ka 1999. Cena 37 zł.

STARE I NOWE



W słynnej książce Josepha Campbella „Bohater o tysiącu twarzy”, poświęconej mitom o bohaterach, autor zdradza ogólną strukturę takiego mitu. Oto bohater zostaje wyrwany ze świata powszedniości i skierowany do innej rzeczywistości (równoległej?), gdzie czekają go zmagania z siłami i przeciwnikami nie z tej ziemi. Zwyciężając w tych próbach, umiejętnie dobierając sojuszników, wraca na ten padół, ale nie z pustymi rękami: tym, co uda mu się wynieść, ubogaci ludzkość. Oczywiście, tak pojmowany mit szczepi się łatwo na żywym organizmie SF; przypomnijmy sobie choćby owe „pierwsze wyprawy” poza Ziemię i poza Układ Słoneczny. Ich uczestnicy już w momencie startu, kiedy jeszcze niczego nie dokazali, kreowani byli na tytanów w ludzkiej skórze.

Oto powód, dla którego fantastyka musi wykazywać szczególne zainteresowanie sferą mitów: opowieści stamtąd po niewielkiej przeróbce można okrzyknąć osiągnięciami gatunku dla ich głębi i zawartości. W „Popularnej encyklopedii mitów i legend” Stuarta Gordona czytelnik znajdzie oczywiście przegląd wielkich i małych mitologii świata, od greckiej po eskimoską, z rozpisaniami na bohaterów, podstawowe motywy itp. Zostało to ułożone w hasła, w których podstawowe mity są skompresowane, ale też mamy rozpisanie podstawowych motywów występujących we wszystkich czy w większości mitów (zwierzęta, liczby, symbole, tabu, klejnoty, karły, olbrzymy, góry, drzewa itp.).

Tym, co odróżnia pracę Gordona od innych zestawień tego typu, jest dołączenie współczesnych mitów i legend. Pojawiają się więc takie hasła jak Greta Garbo, Marilyn Monroe, James Dean, Hollywood, John Kennedy, Elvis Presley, Beatlesi czy ogólnie mit rock

and rolla. Jest Dzik Zachód, kino, komiksy, new age, trójkąt bermudzki itp. Niestety, wydaje się, że tu, gdzie autor musiał wykazać się własną inwencją, encyklopedia ma najwięcej słabych stron. Nie wiedzieć czemu, Gordon ogranicza się tylko do strefy anglosaskiej, a i w niej ziejają szpary (np. brak Robinsona, choć jest Robin Hood). Z nowszych bohaterów mitologicznych mógłby się znaleźć choćby Gagarin czy amerykańscy zdobywcy Księżyca.

Fantastyka jest reprezentowana jako tako, ma osobne hasło (w przeciwieństwie do fantasy), chociaż cokolwiek egzotycznie sformułowane. Hasła osobne dostali znani nam autorzy: Ballard, Borges, Burroughs, Carroll, Clarke (ale Asimov nie), Haggard, Lewis, Lovecraft, Orwell, Poe, Mary Shelley, Stapledon, Swift, Tolkien, Verne i Wells. Nie ma, jak widać, Lema. Z haseł spokrewnionych znalazły się astronomia, baśnie, czarodziejskie istoty, nadludzkie istoty (tu pomieszczon został cały ludek fantasy), a także np. eksperyment filadelfijski, ludzie w czerni, nieziemscy autostopowicze, Roswell (gdzie rozbiło się UFO), UFO, Star Trek itp. Z bohaterów obecni są tytani tej miary co Tarzan, Superman, Batman, Frankenstein, a nawet Święty Mikołaj. Ni stąd, ni zowąd zaplątały się nawet roboty.

W części współczesnej jest to więc pewne pomieszanie materii: bohaterzy mitologiczni z bohaterami literackimi. Współczesne mity ze współczesnymi fikcjami typu literackiego. Owszem, niekiedy jedno i drugie się pokrywają, lecz trzeba było precyzyjniejszych kryteriów i lepszego naukowego przetaka, żeby to pooddzielać. Ale i tak encyklopedia Gordona jest wydawnictwem pożytecznym: zawiera sporo materiału, a sposób umieszczenia odnośników (przy tytule hasła – główne, w jego treści – dodatkowe) powoduje, że można po nim podróżować jak po internecie. Jak na encyklopedię popularną – wystarczy.

Marek Oramus

Stuart Gordon: Popularna encyklopedia mitów i legend. Tłum. Agnieszka Jacewicz. Amber 1999. Cena 69,80 zł (na okładce) i 49,80 zł (na obwolucie).

KARNAWAŁ I POST



W „Agencie Dołu”, najlepszej do wczoraj powieści Wolskiego, szary człowieczek wezwany przez Piekło próbował sprowadzić na świat fizyczne i duchowe zniszczenie. W późniejszym o 15 lat „Psie w studni” tym razem to Góra uruchamia kontrofensywę. Powołanie Wiary-Nadziei-Miłości ogarnia wszelako w tej książce osobowość dwuznaczną. Alfredo Derossi, renesansowy mędrak z Rosettiny, cynik i gorszytel, wpada w czasowy (halucynacyjny?, psychotyczny?) tunel, by się obudzić jako Aldo Gurbiani – nowożytny skandalista, właściciel i szef pornoimperium. Skrzyżowanie Larry’ego Flinta z Jerzym Urbanem to dość ryzykowny kandydat na szermierza przebudowy moralnej. Chyba żeby zaczął ów Aldo od nawrócenia, a przebudowę rozpoczął od siebie.

Nawet bohater nie wie zrazu tego wszystkiego na pewno. Skazany na śmierć za współżycie z żoną księcia ocknął się po czterech wiekach w zabytkowej Studni Potępionych z tęgimi lukami w pamięci. Zdążyli go poobijać porywacze, współcześni fundamentalści religijni; polują nań władze, a medycy spod ciemnej gwiazdy o mało co nie poćwiartowali Gurbianiego na przeszczepy. Także współpracownicy z medialnego biznesu, szykujący akurat nową brudną aferę zachowują się wobec zaburzonego szefa podejrzliwie i podejrzanie. Staje więc Alfredo/Aldo wobec podobnych zagrożeń i wyzwań, jak bohater Wnukowego „Wiru pamięci”. Musi zrekonstruować wydarzenia, które doprowadziły go na skraj przepaści, wyjaśnić skomplikowaną tajemnicę czasowego przeskoku, odzyskać prawdziwą tożsamość, ergo – ocalić świat oraz siebie.

W komentarzu do fragmentu przedstawionego w „NF” 11/99 polecał Wolski „Psa w studni” jako literacką polemikę z nowoczesnym libertynizmem, wojującym ateizmem i obyczajowym wszechprzyzwoleniem. Rzeczywiście, znajdziemy w książce nostalgiczną afirmację wiary i chrześcijańskich cnót; szczęśliwie nie przytłacza to wartkiej i bujnej akcji, zwłaszcza że mamy tu do czynienia z bujnością dwójakiego rodzaju. We współczesności, jak to u Wolskiego, obcujemy z Forsythowskim dreszczowcem: pogonie, strzelaniny, pułapki, wybuchy, szybkie miłości i wielka miłość, gangsterskie porachunki; medialna intryga, w której trudno odróżnić przeciwników od swojaków. Częścią historyczną powieści, spokojniejszą i bardziej refleksyjną, rządzi wyraźniejszy zamiar filozoficzny i psychologiczny. Daje tu bowiem Wolski syntetyczny wizerunek mentalności renesansowego humanisty, odtwarzającej się w każdym czasie. Opowieść o małym Alfredo, synu pijaka, który

skonał w srachu, o jego kolejnych wtajemniczeniach (w przyjaźń, w płatny seks, śmierć, historię, w hipokryzję i fałszywą religijność) to skrócony zapis szczególnych doświadczeń, wyborów i resentymentów. W ich wyniku osoby utalentowane, ciekawe świata, głodne uczuć, a pozbawione powściągliwości, kończą często jako nieprzyjaciele Pana Boga, rzucający cyniczne wyzwanie czystości i prawdzie.

Jest w powieści mimo ideowego i duchowego bogactwa nieuchronna skrótowość i pospieszność. Jest jednoznaczne opowiedzenie się w drażącym współczesną kulturę sporze konserwatystów z liberałami. Zapewne byłoby to nie do zniesienia dla połowy polskich czytelników, gdyby nie fakt, że nikogo Wolski nie oskarża, dopuszcza do głosu obie strony, w dodatku wszystkie ideowe operacje i porachunki przeprowadza właściwie na sobie. Przed nami neoficka w jakimś sensie książka ekslibertyna, który zwierza się w imieniu własnym i sporej części pokolenia z wykonanej przez się duchowej wolty ku opcji, którą trzydzieści lat temu uznaliby za wsteczność bądź przeżytek. Pokolenie Wolskiego (tzn. również moje) też zrazu uległo zauroczeniu dialektyką, materializmem; bardzo mu odpowiadał klimat totalnej, choćby kontrkulturowej wolności. Pokazuje też Wolski w obu czasowych odsłonach powieści, jak ważna dla człowieczych postaw bywa osoba przewodnika, duchowego autorytetu. Alfredo dostał od losu na preceptora rozpustnego kapłana, humanistę i intryganta, flirtującego z kobietami i władzą. Aldo miał szczęście spotkać w pstrokatej i wyzywającej nowoczesności XXI wieku autentycznego, świętego męczennika. Ten wyrok losu waży wszelako tylko do czasu. Codziennie dokonujemy wyborów, im dalej w czas, tym bardziej świadomie.

Część renesansowa książki utrzymana zrazu w stylu szyderczym i frywolnym, nabiera więc cech osobistego dramatu (socjalnej krzywdy i uczuciowego zawodu), by przejść w historyczną traumę inkwizycyjnego szaleństwa. Część współczesną, nienaganną od strony akcyjnej, rozsadzają widzenia i wątpliwości bohatera dotyczące jego podwójnej tożsamości. Trwa też walka moralnego neofity o rozłożenie pornoimperium od wewnątrz, co wcale nie jest proste. Całość ubarwiają postmodernistyczne, kabaretowe nawiązania Wolskiego do renesansowych, oświeceniowych i nowożytnych myślowych perełek, z których wiele okazało się czeską zgołą biżuterią. Także z tego chwytu, wyglądającego na rynkowe grepsiarские wabienie, potrafi się autor przy końcu powieści przekonywająco wyliczyć. Stąd zaskakująca puenta, czyniąca z powieści rodzaj kulturowej psychoanalizy (psycho-dramy?), jaką autor zaaplikował współczesności i samemu sobie.

Maciej Parowski

Marcin Wolski: *Pies w studni*. SuperNOWA 2000. Cena 25 zł.

RETRO



Nie miałem przed lekturą „Milion otwartych drzwi” Johna Barnes’a wielkich oczekiwań, więc nie zawiodłem się. Poprawnie napisana przygodowa SF o kolorowym świecie (a nawet dwóch). Nie czytałem z wypiekami, ale też bez bólu.

Barnes zbudował swój kosmos podług algorytmu znanego w SF od dziesięcioleci (stosowali go m.in. Le Guin, Simmons, McMaster Bujold czy Kołodziejczak). Migracja w kosmos licznych społeczności mających ekscentryczne konstytucje kulturowo-prawne, sukcesywna kolonizacja i terraformowanie dostępnych planet. Kiedy prędzej czy później następuje powtórny kontakt, mamy scenę gotową. W dowolnym momencie możemy wprowadzić dowolną ekstrawagancję; każda scenografia, każda postać, każda niespodzianka technologiczna będzie usprawiedliwiona i nie złamie kreacji. Nic dziwnego, że potem pisa-

rze nie czują już potrzeby generowania nowych uniwersów; algorytm nieuchronnie generuje cykle powieściowe. Również „Drzwi” mają swój ciąg dalszy.

Ekumena Barnes’a zwie się Tysiąc Kultur. Powieść zaczyna się na Nou Occitan, skąd pochodzi główny bohater (jest to kultura gloryfikująca archetyp romantycznego kochanka, szermierza-poety, renesansowego *macho*); rychło przenosi się do Kaledonii, niemal dokładnego przeciwieństwa Nou Occitan (teokracja za pomocą ekonomii wdrażająca doktrynę Boga ultraracjonalistów), także klimatycznego. Kolonie dzieli ładnych parę lat świetlnych, lecz natychmiastowy przeskoczek jest możliwy dzięki wynalazkowi teleportera. Tenże wynalazek jest przyczyną tzw. szoku zjednoczeniowego: fali nieuniknionych wstrząsów kulturowych, ekonomicznych itd., przetaczających się przez kolonie „powtórnie przyłączane”. Nasz bohater trafia do Kaledonii właśnie jako członek ekipy mającej tam złagodzić ów szok. Miast tego katalizuje rewolucję.

Barnes jest porównywany do Heinleina i, zaiste, chwilami miałem wrażenie, że czytam książkę pochodzącą z lat sześćdziesiątych czy siedemdziesiątych, przyozdobioną w niektó-

re gadżety wynalezione przez SF później (np. nanoboty). Autor wszelako nie wyciąga z nich nigdy konsekwencji fabularnych/kreacyjnych: są, a jakby ich nie było; słowa. Pod nimi – Heinleinowska SF sprzed ćwierćwiecza. Sposób pierwszoosobowej narracji, konstrukcja psychiczna bohatera, jego ironiczne komentarze na tematy polityczne i erotyczne – pozornie głębokie, a po sekundzie zapadające się pod ciężarem ogólników. Heinlein lat dziewięćdziesiątych; nie jest to komplement. Cała naiwność „Drzwi” wychodzi na wierzch w opisie przewrotu na Kaledonii. Jest to dokładnie klasa Heinleinowskiej „Luny”, wyobrażenie mechanizmów polityki na poziomie szkoły podstawowej.

Wbrew pozorom nie są „Drzwi” klasyczną space operą; więcej tu romansu niż akcji. I za to należy się Barnesowi mały plusik: że mianowicie zakochał bohatera w kobiecie fizycznie zdecydowanie nieatrakcyjnej, i konsekwentnie tak ją przedstawia; a nie jest to miłość z litości. Dla tego wątku i dla opisów egzotycznych światów warto książkę przeczytać.

Jacek Dukaj

John Barnes: *Milion otwartych drzwi*. Tłum. Michał Jakuszewski. MAG 1999. Cena 25 zł.

FANTAZJA SZTUCZNEJ INTELIGENCJI

Książka „Gödel, Escher, Bach: An Eternal Golden Braid” Douglasa R. Hofstadtera ma już prawie dwadzieścia lat. Nie starzeje się jednak, nie przestaje inspirować fachowców ani pobudzać fantazji dyletantów. Jest określana jako „kultowa” w środowiskach znawców sztucznej inteligencji. Jak dotąd nie ukazała się po polsku.

Przygotowania do tłumaczenia i przymiarki kilku wydawnictw trwały wiele lat. Wielusetstronicowe dzieło ukaże się w końcu nakładem Zyska i Spółki. Na pojawienie się książki na rynku czeka także sam Hofstadter nie ukrywający wyjątkowego sentymentu do Polski, którą odwiedził dwukrotnie w latach siedemdziesiątych, odbywając podróż sentymentalną śladami Szopena i swoich dziadków.

Hofstadter skończył „GEB” mając 36 lat, już w wieku „poprodukcyjnym” jak na fizyka, a jeszcze zbyt młodym na mędrca-filozofa. Skutek jest taki, że książka jest bardzo dynamiczna i błyskotliwa, ale jednocześnie skrupulatnie przemyślana w planie naukowym. Za walory literackie autor dostał nagrodę Pulitzera. Zawartość doceniają do dzisiaj uczeni, chętnie czytując i cytując ten i inne teksty Hofstadtera. Sam autor nazwał dzieło swojego życia *metaforyczną fugą na temat umysłów i maszyn w duchu Lewisa Carrolla*. Nic dziwnego, że roi się w nim od żartów i gier językowych. Palindromów, kalamburów, akronimów, anagramów, akrostychów i rozmaitych gier słownych jest mnóstwo.

Już sam tytuł jest anagramem podtytułu: Gödel, Escher, Bach – An Eternal Golden Braid (jak to najlepiej przetłumaczyć? *ezoteryczna girlanda bezkresu, efemeryczna głębia bezkresu, bezowocna eliminacja granic, bezgraniczna eksplozja geniuszu, blask genialnej enigmaty...*). Zentencje to złote myśli filozofii Zen, odbiornik TVarunkowy to telewizor zdolny do pokazywania hipotetycznych powtórek. Kilkustronicowy dialog (jeden z wielu zapisów rozmów pomiędzy Achilesem, Żółwiem i ich przyjaciółmi) jest jednym wielkim palindromem – da się czytać sensownie od początku i od końca. Na dodatek inicjały rozmówców układają się w sekwencję liter takich, które nazywają też szeregi zasad w cząsteczkach DNA. Achilles z Żółwiem bawiąc się z azjatycką zdobioną skrzynką pełną złota, dyskutują o połączonych pojęciach *wariacji Goldberga* i *hipotezy Goldbacha* (*very Asian gold box* jest fonetycznie identyczne z *variation Goldbach*), którego nazwisko przypominają sobie zresztą dopiero po rozpatrzeniu dwóch innych możliwości: Kupfergödel i Silberescher.

Ostatnia fermata fugi kojarzy się z ostatnim twierdzeniem Fermata. B-A-C-H okazuje się melodią, która po pomnożeniu i zaokrągleniu występujących tam interwałów liczonych w półtonach daje melodię, którą można zapisać jako C-A-G-E, co jest nazwiskiem sławnego współczesnego kompozytora, znanego np. z utworu „4'33”, składającego się z trzech różnej długości okresów ciszy, najlepszego do wykonania, zdaniem jednej z postaci występujących w książce, w pobliżu klatek z drapieżnikami w zoo (klatka po angielsku to cage).

Triki językowe wypełniają głównie owe przezabawne rozmowy Achillesa z Żółwiem i postaciami towarzyszącymi, które stanowią

przerywniki pomiędzy poszczególnymi rozdziałami, ale jednocześnie wprowadzają w obrazowy sposób w istotę omawianych tu po nich problemów. Kompozycję całości uzupełniają rysunki znanego holenderskiego grafika M. C. Eschera o samoistnej, stymulującej intelektualnie wartości, a jednocześnie, jak się okazuje, bardzo gödłowskie.

Podkładem do rozważań na temat twierdzenia Gödla jest prezentacja szeregu paradoksów opartych na samozwrotności, i to układających się w nieskończony ciąg (rekursywnie). W tym samym celu, a w sposób przypominający zabawę w coraz to bardziej złożoną układankę, wprowadza Hofstadter podstawowe pojęcia logiki i teorii algorytmów. Autor przywołuje przykłady analogicznych procesów rekursywnych z różnych dziedzin, łącznie z biologią molekularną, filozofią zen i muzyką (kompozycje Bacha). Nie zauważamy nawet po drodze, że osiągamy całkiem niezłą znajomość rachunków predyktów czy idei numeracji gödłowskich. Samo twierdzenie Gödla i dowodzenie za pomocą metody przekątniowej opisane jest na przykładzie „uniwersalnego” gramofonu; teoretycznie powinien być w stanie odtwarzać dźwięki o takiej częstotliwości, która jest dla niego destrukcyjna na skutek rezonansu.

W drugiej części książki, również w oparciu o analogiczne zjawiska z innych dziedzin, rozważana jest kwestia dualności holizmu i redukcjonizmu w odniesieniu do komputerów i ludzkiego mózgu. Jest to miejsce przedstawienia głównej tezy książki dotyczącej zagadnienia sztucznej inteligencji, a mianowicie postulatu istnienia poziomu symbolicznego, analogicznego do występującego w działaniach człowieka, którego redukcja do fundamentu fizycznego jest co prawda możliwa, ale zarazem ograniczająca.

Otrzymujemy tu także przegląd dokonań i perspektyw sztucznej inteligencji, właśnie pod kątem możliwości i ograniczeń charakterystycznych dla systemów żywych z jednej strony i systemów formalnych z drugiej. Stajemy twarzą w twarz z głównymi problemami nurtującymi osoby usiłujące modelować myślenie – teza Churcha, zagadnienie „stopu” Turinga, twierdzenia Tarskiego, argumenty Lucasa.

Kolejny raz splatają się idee związane z nazwiskami Gödla, Eschera i Bacha w odniesieniu do pytania o możliwość poznania umysłu przez samego siebie, pytania o naturę samoświadomości i wolnej woli. Konkluzje są powrotem do początków książki, do paradoksów samoodniesienia. Całe więc dzieło jest skomponowane w wielką pętlę samozwrotną, analogiczną do twórców jej patronów – Kurta Gödla, M. C. Eschera i Jana Sebastiana Bacha.

Drukowane tu dialogi „Dwuczęściowa inwencja” (na motywach Lewisa Carrolla) i „Trzyczęściowa inwencja” są ilustracją dwóch pierwszych rozdziałów książki „Gödel, Escher, Bach”. Dotyczą przede wszystkim paradoksów ruchu i błędnego koła rozumowań. Mają formę „muzyczną” inwencji, których Bach napisał kilkanaście w każdym rodzaju (dwugłosowych i trójgłosowych).

Krzysztof Gurba

DWUCZĘŚCIOWA INWENCJA CZYLI CO ŻÓŁW POWIEDZIAŁ DO ACHILLESA

DOUGLAS R. HOFSTADTER

Achilles prześcignął Żółwia i usadowił się wygodnie na jego grzbiecie.

– Więc dotarłeś do końca trasy naszego wyścigu? – powiedział Żółw. – Mimo że dystans naprawdę składa się z nieskończonego szeregu odległości? Myślałem, że jakiś tam mądrała udowodnił, że taka rzecz nie może się zdarzyć?

– MOŻE się zdarzyć – odparł Achilles. – ZDARZYŁA SIĘ! *Solvitur ambulando*. Zrozum,

że odległości wciąż się ZMNIEJSZAŁY; i dlatego...

– A gdyby się wciąż ZWIĘKSZAŁY? – przerwał mu Żółw. – Co wtedy?

– Wtedy nie byłoby mnie tutaj – skromnie odpowiedział Achilles – a TY w tym czasie zdążyłbyś wykonać kilka rund dookoła świata!

– Nie płaszcz się. Chciałem powiedzieć, nie spłaszczaj mnie – powiedział Żółw. – Waga ciężka z pana, NIE ma co! Więc dobrze, chciałbyś usłyszeć o takiej trasie wyścigu, która wydaje się dla większości ludzi do przebycia w dwa, trzy kroki, a w RZECZYWISTOŚCI składa się z nieskończonej liczby odcinków, z których każdy następny jest dłuższy od poprzedniego?

– Ależ bardzo! – rzekł grecki wojownik, wyciągając z hełmu (mało który grecki wojownik posiadał w owym czasie KIESZENIE) potężny notatnik i ołówek. – Mów dalej! Tylko proszę, POWOLI! STENOGRAFIOWANIE jeszcze nie zostało wynalezione!

– Ach, ten piękny Pierwszy Postulat Eukli-

desa! – Żółw zamruczał rozmarzony. – Podziwiasz Euklidesa?

– Pasjami! O tyle, o ile MOŻNA podziwiać traktat, który zostanie opublikowany dopiero za kilka stuleci!

– No więc weźmy drobną część argumentacji dotyczącej Pierwszego Postulatu – tylko DWA kroki i wniosek, który z nich wynika. Zechciej wpisać je do swojego notatnika. I aby wygodniej móc się do nich odwoływać, nazwijmy je A, B i Z:

(A) Rzeczy, które są równe tej samej rzeczy, są sobie równe.

(B) Dwa boki tego Trójkąta są równe tej samej rzeczy.

(Z) Dwa boki tego Trójkąta są sobie równe.

Czytelnicy Euklidesa uznają, jak przypuszczam, że Z wynika logicznie z A i B, w taki sposób, że każdy, kto przyjmuje A i B za prawdziwe, MUSI przyjąć za prawdziwe także Z?

– Bez wątplenia! Najmłodsze dziecko w szkole średniej uzna TO, gdy tylko szkoły średnie zostaną wymyślone, co nastąpi dopiero za jakieś dwa tysiące lat.

– A jeśli nawet jakiś czytelnik NIE przyjął jeszcze tego, że A i B są prawdziwe, może, jak sądzę, przyjąć powyższą SEKWENCJĘ jako PRAWDŁOWĄ?

– Niewątpliwie taki czytelnik mógłby istnieć. Mógłby powiedzieć: Przyjmuję jako prawdziwy Hipotetyczny Sąd, że jeśli A i B są prawdziwe, Z musi być prawdziwe; ale NIE przyjmuję A i B za prawdziwe. Taki czytelnik zrobiłby mądrze, gdyby dał sobie spokój z Euklidesem i przerzucił się na piłkę nożną.

– A czy nie mogłoby być TAKŻE czytelnika, który powiedziałby: przyjmuję A i B jako prawdziwe, ale NIE akceptuję Hipotetycznego Postulatu?

– Z pewnością. ON również lepiej by zrobił, zajmując się piłką.

– I ŻADEN z nich obu – kontynuował Żółw – nie jest JAK DOTĄD logicznie zmuszony, aby przyjąć, że Z jest prawdziwe?

– Zupełna racja – zgodził się Achilles.

– W porządku, chciałbym teraz, abyś MNIE uznał za czytelnika tego DRUGIEGO rodzaju i zmusił logicznie do przyjęcia, że Z jest prawdziwe.

– Żółw grający w piłkę byłby... – zaczął Achilles.

– ...anomalią oczywiście – przerwał Żółw pospiesznie. – Nie odbiegaj od tematu. Zajmijmy się najpierw Z, a piłką później!

– Mam zmusić cię do przyjęcia Z, tak? – rozważał Achilles. – A ty przyjmujesz A i B za prawdziwe, ale NIE przyjmujesz Hipotetycznego Postulatu...

– Nazwijmy go C – powiedział Żółw.

– ... ale NIE przyjmujesz:

(C) Jeśli A i B są prawdziwe, to Z musi być prawdziwe.

– To jest moje obecne stanowisko – rzekł Żółw.

– Zatem muszę prosić cię o przyjęcie C.

– Uczynię to – zgodził się Żółw – skoro tylko wprowadzisz to do tego twojego notatnika. Co tam jeszcze w nim masz?

– Tylko kilka notatek – Achilles, nerwowo potrząsnął kartkami – kilka notatek na temat bitew, w których się wyróżniłem!

– Zostało, jak widzę, mnóstwo wolnych kartek! – zauważył wesoło Żółw. – Będziemy ich WSZYSTKICH potrzebowali! (Achilles wzdygnął się.) Teraz pisz, dyktuję:

(A) Rzeczy, które są równe tej samej rzeczy, są sobie równe.

(B) Dwa boki tego Trójkąta są równe tej samej rzeczy.

(C) Jeśli A i B są prawdziwe, to Z musi być prawdziwe.

(Z) Dwa boki tego Trójkąta są sobie równe.

– Powinieneś to zdanie nazwać D, a nie Z – rzekł Achilles. – Jest NASTĘPNE w kolejności po pierwszych trzech. Jeśli przyjmujesz A, B i C, to MUSISZ przyjąć Z.

– A dlaczego muszę?

– Ponieważ to wynika z nich LOGICZNIE. Jeśli A, B i C są prawdziwe, Z MUSI być prawdziwe. Myślę, że nie zaprzeczysz TEMU?

– Jeśli A, B i C są prawdziwe, Z MUSI być prawdziwe – powtórzył Żółw w zamyśleniu. – Jest to NASTĘPNY Hipotetyczny Postulat, nieprawdaż? I jeśli nie dostrzegam jego prawdziwości, mógłbym zaakceptować A, B oraz C i dalej nie uznawać Z, nieprawdaż?

– Mógłbyś – przyznał nasz bohater bez zmyły – chociaż taka tępotą byłaby z pewnością niezwykła. Niemniej zdarzenie takie jest

MOŻLIWE. Więc muszę prosić cię, abyś uznał jeszcze JEDEN Postulat Hipotetyczny.

– Bardzo dobrze. Chętnie go uznam, gdy tylko go napiszesz. Nazwiemy go:

(D) Jeśli A i B i C są prawdziwe, Z musi być prawdziwe.

Zapisałeś to do notosu?

– TAK! – radośnie wykrzyknął Achilles, chowając ołówek na miejsce. – Wreszcie doszliśmy do końca tego doskonałego wyścigu! Teraz jeśli przyjmiesz A i B i C i D, OCZYWIŚCIE musisz przyjąć Z.

– Czyżby? – zapytał Żółw niewinnie. – Wyjaśnijmy to dokładnie. Przyjmuję A, B, C i D. Założmy, że NADAL będę odmawiał przyjęcia Z.

– Wtedy Logika chwyci cię za gardło i ZMUSI, abyś to uczynił! – odpowiedział Achilles z triumfem w głosie. – Logika powie: nic ci już nie pomoże. Teraz jeśli uznałeś A i B i C i D, MUSISZ uznać Z! Jak więc widzisz, nie masz wyboru.

– Niezależnie od tego, co jest łaskawa mówić mi LOGIKA, warto to ZANOTOWAĆ – powiedział Żółw. – Wpisz to, proszę, do swojego kajeciku. Niech to będzie:

(E) Jeśli A i B i C i D są prawdziwe, Z musi być prawdziwe.

Dopóki nie uznam TEGO, nie muszę oczywiście uznawać Z. Więc jest to całkowicie KONIECZNY krok, rozumiesz?

– Rozumiem – powiedział Achilles. Smutek dawał się wyczuć w jego głosie.

Tutaj narrator, mając nagłące interesy w Banku, został zmuszony do porzucenia wesołej pary i dopiero kilka miesięcy później przechodził obok tego miejsca. Achilles wciąż siedział na plecach bardzo cierpliwego żółwia i pisał w swoim notatniku, jak się zdaje, prawie całkiem wypełnionym. Żółw mówił: „Zapisałeś już ostatni krok? Jeśli nie straciłem rachuby, to już tysiąc pierwszy. Będzie jeszcze kilka milionów następnych. Czy ZECHCESZ uczynić mi ten zaszczyt, biorąc pod uwagę, jak wielce pouczające będzie to nasze kolokwium dla Dziewiętnastowiecznych Logików, a więc czy zechcesz przyjąć pewną grę słów, którą mój kuzyn Żółw-Kpiarz następnie utworzy, i pozwolisz się przemianować na ŻÓŁWICIELA?”

– Jak chcesz – odpowiedział głosem pełnym desperacji znużony wojownik, zanurzając twarz w dłoniach. – Pod warunkiem, że TY, ze SWOJEJ strony, przyjmiesz grę słów, której Żółw-Kpiarz nigdy nie utworzy, i pozwolisz sobie zmienić imię na ACHMILCZESZ.

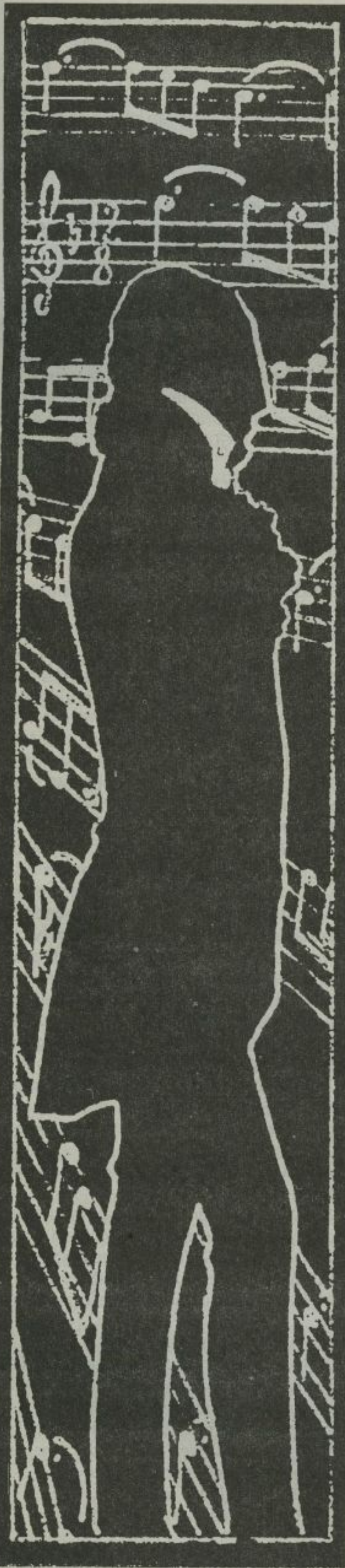
TRZYCZĘŚCIOWA INWENCJA

DOUGLAS R. HOFSTADTER

Achilles (grecki wojownik, najszybszy biegacz wśród śmiertelników) i Żółw stoją na piaszczystej bieżni w gorących promieniach słońca. W oddali na wysokim maszcie wisi wielka prostokątna flaga. Jest cała czerwona i tylko przez wycięty w niej wąski otwór w kształcie pierścienia dostrzec można niebo.

ACHILLES: – Co to za dziwna flaga na końcu drogi? Przypomina mi nieco rycinę mojego ulubionego artysty M. C. Eschera.

ŻÓŁW: – To flaga Zenona.



ACHILLES: – Czy to możliwe, że otwór w niej przypomina otwory we wstędze Möbiusa, którą kiedyś namalował Escher? Chyba coś jest nie tak z tą flagą.

ŻÓŁW: – Pierścień, który został z niej wycięty, ma kształt zera, ulubionej cyfry Zenona.

ACHILLES: – Ale zero jeszcze nie zostało odkryte! Wymyśli je dopiero za kilka tysięcy lat pewien hinduski matematyk. A zatem, panie Ż., jest to dowód, że taka flaga jest niemożliwa.

ŻÓŁW: – Twój argument jest przekonujący, Achillesie, i muszę się zgodzić, że taka flaga jest rzeczywiście niemożliwa. Ale w każdym razie jest piękna, nieprawdaż?

ACHILLES: – O, tak, bez wątpienia jest piękna.

ŻÓŁW: – Zastanawiam się, czy jej piękno jest związane z jej niemożliwością. Nie wiem. Nigdy nie mam czasu na analizowanie Piękna. To Wartość Pisana Wielką Literą, a tak się składa, że nigdy nie mam czasu na Wartości Pisane Wielką Literą.

ACHILLES: – Skoro mówimy o Wartościach Pisanych Wielką Literą, czy zastanawiał się pan kiedyś, panie Ż., nad Celem Życia?

ŻÓŁW: – O Boże, nie.

ACHILLES: – Nie zastanawiał się pan nigdy, dlaczego tutaj jesteśmy, albo kto nas wymyślił?

ŻÓŁW: – Och, to zupełnie inna sprawa. Jesteśmy wymysłem Zenona (jak się pan wkrótce przekona); a jesteśmy tu po to, aby się wyścigować.

ACHILLES: – Wyścigować? Też pomysł! Ja, najszybszy ze wszystkich śmiertelników, z panem, najbardziej ociężałym ze wszystkich ociężałych! Taki bieg nie ma żadnego sensu.

ŻÓŁW: – Mógłbyś dać mi jakieś fory.

ACHILLES: – Musiałyby być ogromne.

ŻÓŁW: – Nie mam nic przeciwko temu.

ACHILLES: – Ale i tak cię złapię, wcześniej czy później – raczej wcześniej.

ŻÓŁW: – Nie dasz rady, jeśli rzeczy toczą się zgodnie z paradoksem Zenona. Zenon ma nadzieję wykorzystać nasz bieg do wykazania, że ruch jest niemożliwy. Według Zenona ruch jest możliwy tylko w umyśle. Przeczy samej Możliwości Idei I Istnienia ruchu. Całkiem elegancko tego dowodzi.

ACHILLES: – O tak, teraz sobie przypominam: słynny koan zen o Mistrzu Zen Zenonie. Tak jak powiedziałeś, jest to rzeczywiście bardzo proste.

ŻÓŁW: – Koan zen? Mistrz Zen? Co masz na myśli?

ACHILLES: – Brzmi to jakoś tak: Dwaj mnisi sprzeczali się na temat flagi. Jeden powiedział: „Flaga się porusza”. Drugi powiedział: „Wiatr się porusza”. Przypadkiem przechodził obok szósty patriarcha, Zenon. Powiedział im: „To nie wiatr i nie flaga, tylko umysł się porusza”.

ŻÓŁW: – Chyba ci się coś pokręciło, Achillesie. Zenon nie jest żadnym mistrzem zenu – nic z tych rzeczy. To grecki filozof z miasta Elea (leży ono w połowie drogi między punktami A i B). Wieki miną, zanim będzie sławiony za swoje paradoksy ruchu. W jednym z tych paradoksów ty i ja będziemy odgrywać główne role.

ACHILLES: – To ja już nic nie wiem. Pamiętam przecież wyraźnie, że ilekroć wyliczałem

nazwiska sześciu patriarchów zenu, mówiłem: „Szóstym patriarchą jest Zenon, szóstym patriarchą jest Zenon...” (Nagle powiał lekki ciepły wietrzyk.) O tam, panie Żółwiu, spójrz na falującą flagę! Ogromnie lubię obserwować zmarszczki przemykające przez jej miękką tkaninę. Pierścień z niej wycięty też faluje!

ŻÓŁW: – Nie bądź głupi! Flaga jest niemożliwa, zatem nie może falować. To wiatr faluje.

W tym momencie pojawia się Zenon.

ZENON: – Czołem, cześć! Moje sześć! Co słyszać?

ACHILLES: – Flaga się porusza.

ŻÓŁW: – Wiatr się porusza.

ZENON: – Och, przyjaciele! Przyjaciele! Zaniechajcie sporu! Powstrzymajcie jadowitość! Połóżcie kres niezgodzie! Albowiem ja rozwiążę wasz problem niezwłocznie! Hej! I to w taki piękny dzień!

ACHILLES: – Ten facet chyba zgrywa głupiego.

ŻÓŁW: – Nie, zaczekaj, Achillesie. Wysłuchajmy, co ma nam do powiedzenia. O Nieznajomy Panie, proszę przekazać nam swoje przemyślenia w tej materii.

ZENON: – Z największą ochotą. Nie wiatr, nie flaga – żadne z nich nie porusza się ani nic nie porusza się w ogóle. Ponieważ ja odkryłem wielkie Twierdzenie, w myśl którego nieprawdą jest „Możliwość Idei I Istnienia ruchu”. A z tego twierdzenia wynika jeszcze większe – Twierdzenie Zenona: „Mobilność Uniemożliwiona”.

ACHILLES: – „Twierdzenie Zenona”? Czy nie jesteś, sir, przypadkiem Zenonem z Elei, filozofem?

ZENON: – Zaiste nim jestem, Achillesie.

ACHILLES (drapiąc się w głowę z zakłopotaniem): – Skąd on znał moje imię?

ZENON: – Jak mógłbym was przekonać, abyście wysłuchali, dlaczego to jest prawdą? Całe popołudnie szedłem do Elei z punktu A, po to tylko, aby znaleźć kogoś, kto przyjrzałby się uważnie moim wyostrzonym argumentom. Ale wszyscy się spieszyli i nie mieli czasu. Nie macie pojęcia, jak przygnębiające jest spotkanie się z ciągłą odmową. Cóż, bardzo przepraszam, że obarczam was swoimi kłopotami. Chciałbym tylko spytać o jedną rzecz: czy bylibyście tak dobrzy, by poświęcić kilka chwil – tylko kilka, obiecuję – staremu zwirowanemu filozofowi i jego ekscentrycznym teoriom?

ACHILLES: – Ależ oczywiście! Proszę nas oświecić! Mogę mówić za nas obu, ponieważ mój towarzysz, pan Żółw, dosłownie przed chwilą mówił z wielkim szacunkiem o panu, a w szczególności o pańskich paradoksach.

ZENON: – Dziękuję. Otóż mój Mistrz, piąty patriarcha, uczył mnie, że rzeczywistość jest jedna, stała i niezmienna; wszelka mnogość, zmiana i ruch są tylko złudzeniami zmysłów. Niektórzy drwili z jego poglądów; ale ja wykazę absurdalność ich drwin. Mój argument jest zupełnie prosty. Zilustruję go za pomocą dwóch postaci, powstałych dzięki mojej własnej Inwencji: Achillesa (greckiego wojownika, najszybszego biegacza wśród śmiertelników) i Żółwia. W mojej opowieści zostają oni nakłonieni przez jakiegoś przechodnia do ściągania się na trasie do odległej flagi powiewającej na wietrze. Żółw biega znacznie wol-

niej, więc założmy, że dostał fory, powiedzmy, pięćdziesiąt metrów. Zaczyna się wyścig. W kilka chwil Achilles dociera do punktu, z którego wystartował Żółw.

ACHILLES: – Ha!

ZENON: – Żółw jest teraz tylko pięć metrów przed Achillesem. W jednej chwili Achilles osiąga ten punkt.

ACHILLES: – Ho ho!

ZENON: – Jednak w tej samej krótkiej chwili Żółw zdołał posunąć się nieznacznie do przodu. W oka mgnieniu Achilles przebiega również tę odległość.

ACHILLES: – Hi hi hi!

ZENON: – Ale w ciągu tegoż mgnienia oka Żółw zdołał postąpić naprzód o maleńki kawałek i Achilles wciąż jest za nim. Widzicie więc, że aby Achilles złapał Żółwia, trzeba tę zabawę w „co mi zrobisz, jak mnie złapiesz” powtórzyć NIESKOŃCZENIE wiele razy – a zatem Achilles NIGDY nie może dogonić Żółwia!

ŻÓŁW: – He he he he!

ACHILLES: – Hmm... hmm... hmm... hmm... Wydaje mi się, że ten argument jest błędny. Nie wiem jeszcze co, ale coś w nim jest nie tak.

ZENON: – Ciężki orzech do zgryzienia, co? To jest mój ulubiony paradoks.

ŻÓŁW: – Przepraszam, Zenonie, ale zdaje się, że twoje opowiadanie ilustruje nie tę zasadę, co trzeba. Właśnie opowiedziałeś nam to, co będzie wiele wieków później znane jako „paradoks Achillesa”, z którego wynika (hmm!), że Achilles nigdy nie dogoni Żółwia; a dowód, że nie jest Możliwa Idea I Istnienie ruchu (a wskutek tego jest Mobilność Uniemożliwiona), zawarty jest w twoim „paradoksie dychotomicznym”, czyż nie tak?

ZENON: – Tak mi wstyd. Masz, oczywiście, rację. Paradoks ten mówi o tym, że idąc z A do B trzeba najpierw przejść połowę drogi, a następnie połowę pozostałego odcinka, i tak dalej, i tak dalej. Ale oba paradoksy rzeczywiście mają ten sam posmak. Szczerze mówiąc, miałem tylko jedną Wielką Ideę – eksplloatowałem ją tylko na różne sposoby.

ACHILLES: – Słowo daję, w tych argumentach tkwi jakiś błąd. Nie bardzo wiem, gdzie, ale nie mogą być przecież poprawne.

ZENON: – Wątpisz w słusność mojego paradoksu? To może by go po prostu sprawdzić? Widzisz czerwoną flagę, tam na końcu drogi?

ACHILLES: – Tę niemożliwą, opartą na rycinie Eschera?

ZENON: – Dokładnie. Co byś powiedział na propozycję wyścigu z panem Żółwiem do tej flagi. Dałbyś panu Ż. fory, powiedzmy...

ŻÓŁW: – Może pięćdziesiąt metrów?

ZENON: – Bardzo dobrze – pięćdziesiąt metrów.

ACHILLES: – W każdej chwili.

ZENON: – Wspaniale! Co za moment! Empiryczny sprawdzian mojego ściśle dowiedzonego Twierdzenia! Panie Żółwiu, zechce pan ustawić się pięćdziesiąt metrów dalej? (Żółw przesuwa się pięćdziesiąt metrów w stronę flagi.) Jesteście obaj gotowi?

ŻÓŁW i ACHILLES: – Gotowi!

ZENON: – Na miejsca! Gotów! Start!

Douglas R. Hofstadter

LEKSYKON MIŁOŚNIKA FANTASY (7)

ANDRZEJ SAPKOWSKI



YONEC

Bohater Lai o Rycerzu zaklętym w Jastrzębia, jednej z dwunastu Lais autorstwa Marie de France. Pewien stary i zazdrosny bogacz, poślubiwszy – celem zapewnienia sobie spadkobiercy – młodą pannę, zamknął ją w wieży i strzegł pilnie, nie pozwalając na żaden kontakt ze światem i pokusą grzechu. Młódka płakała żałościwie z okienka. Któregoś dnia na parapecie pojawił się wielki jastrząb. Ptak miłym głosem uspokoił młodą, wystraszoną jego drapieżnym wyglądem, przecisnął się przez kraty i przybrał postać pięknego rycerza. Jak łatwo się domyślić, czas młodym upłynął mile, choć w szachy tam nie grano. O świcie rycerz znowu przeobraził się w jastrzębia i odleciał. Wizyty Rycerza-Jastrzębia u Pięknej Uwięzionej stały się na tyle regularne, że, wykrył je wreszcie staruch-mąż. Okrutnik uknuł plan iście szatański: kraty w oknie, na których lądował Jastrząb, kazał potajemnie uzbudzić cienkimi, niewidocznymi, ale ostrymi jak brzytwy kolcami. Następnego wieczora młódka w wieży usłyszała rozpaczliwy krzyk. Przez kraty przecisnął się broczący krwią Jastrząb, który przeistoczył się w rycerza tylko po to, by na zalanych krwią prześcieradłach wyznać swej lubej, że ranion jest śmiertelnie i umrzeć musi, ale jego mścicielem będzie syn, którego luba – choć jeszcze nie wie o tym – nosi pod sercem.

Jastrząb uleciał, a młódka, dokonawszy desperackiego skoku z wieży, podążyła za krwawym tropem. Trop doprowadził ją wreszcie do zaklętego miasta, w którym na katafalku odnalazła swego kochanka. Ten, potwierdziwszy, że dogorywa, nakazał jej natychmiast odejść i powrócić nie wcześniej niż wtedy, gdy syn, którego urodzi, będzie zdolny do noszenia miecza. Syna, który urodził się w przepisowym czasie, kochanka Jastrzębia nazwała imieniem Yonec. Yonec wyrósł na dzielnego rycerzyka i wówczas niewiasta postarała się, by wszyscy troje – ona, Yonec i stary zazdrośnik – udali się w dniu św. Aarona do zaklętego miasta. Tu stanęli przy grobowcu, w którym spoczywał Muldumarec, król tego zaklętego miasta i kraju. Był on wielbiony przez swych poddanych, którzy wiedzieli o nim tylko jedno – gdzieś pod Caerwent, w kraju Króla Artura, wpadł w jakąś zasadzkę i wrócił po to tylko, by skonać. Natenczas niewiasta opowiedziała wszystkim zgromadzonym całą historię – o niej, o Jastrzębiu, o ich miłości, a także o niecej, morderczej, kolczastej pułapce. Wyznawszy wszystko, białogłowa oddała ducha u stóp grobowca, Yonec zaś chwycił miecz i uciął okrutnemu staruchowi głowę.

Ci, którzy zasłyszeli o tej historii, ułożyli później Lai, balladę o cierpieniu i o bólu, które stały się udziałem kochanków. Le-

genda i Lai inspirowały liczne utwory o zaklętych w ptaki i inne zwierzęta kochankach, między innymi „Błękitnego ptaka” hrabiny d'Aulnoy. Echa Lai o Królu Jastrzębiu odnajdziemy też w fantasy – wymienić wystarczy film „Ladyhawke” z Michelle Pfeiffer i Rutgerem Hauerem. Zaś polscy wieśniacy, których o znajomość Lais Marie de France nie podejrzewam, do dziś polują na jastrzębie i kanie, wbijając obok przywiązanej kury zastrzone rowerowe szprychy.



ZIELONY RYCERZ

Bohater opowieści „Sir Gawain i Zielony Rycerz”, najbardziej znanej w swej XIV-wiecznej wierszowanej postaci, nieznanego autorstwa (choć podejrzewa się, że ten sam autor popełnił słynną „Perłę”), nawiązującej do legendy o królu Arturze. W Caerleon, na zamku króla Artura, zjawiał się podczas jednej z uczt tajemniczy rycerz, odziany cały w zieleń. Opowiedział się rycerzem błędnym i oświadczył, że przybył, by naocznie i namacalnie sprawdzić, czy prawdą jest, co powiadają, że to niby u króla Artura wszyscy rycerze są dzielni, prawi i honorowi, albowiem jemu, Zielonemu Rycerzowi, widzi się to tylko czczymi przechwałkami.

Porwali się na takie *dictum* zza okrągłego stołu Arturowi rycerze, gotowi potykać się z przybyszem pieszo lub konno. „Moja próba dzielności – rzekł Zielony Rycerz – jest inna. Oto jam gotów wystawić moją szyję na każdy wasz cios – pod warunkiem, że ten, co cios zada, stawi się za rok, w moim zamku, w Zielonej Kaplicy, gdzie ja zażadam jego głowy”. Zapadła cisza, którą przerwał dzielny Sir Gawain. „A co mi tam – zakrzyknął, plując w dłonie i ujmując toporzyko – ja spróbuję! Nadstaw szyi, Zielony Rycerzu”.

Zielony Rycerz pochylił głowę, Gawain ochoczo ciał toporem, krew trysnęła z żył, głowa odpadła od ciała. Cały dwór wrzasnął jednym głosem, albowiem bezgłowy Zielony Rycerz wstał i podjął uciętą głowę z posadzki. „Sir Gawainie – przemówiła grobowym głosem głowa – przypominam, mam prawo do rewanżu. Czekam na ciebie za rok w Zielonej Kaplicy. Tam ty pochyłisz szyję, a ja rąbnę”. I Zielony Rycerz opuścił zamek z własną głową pod pachą. Minął rok. Gawain pomarkotniał, ale co robić, *nobile verbum*. Wsiadł na konia i pojechał. Po jakimś czasie dotarł do kasztelu, gdzie udzielono mu gościny i podjęto godnie – a uczyniła to pani zamku, pan był bowiem na polowaniu. Gawain podjadł i popił, po czym legł spać. Nim jednak zdołał zachrapać, piękna kasztelanka weszła do komnaty, zrzuciła gieźło i wlaźła pod koc. „Kocham cię, Sir Gawainie – wydyszała namiętnie – chociażem cię nigdy nie widziała, po-

kochałam sam dźwięk twego sławnego imienia w pieśniach bardów. Teraz tyżes tu, własną osobą, więc jam twoja, bierz mnie!” „Nic z tych rzeczy – rzekł zimno Gawain – figlowanie z żoną innego rycerza zakazane jest przez kodeks rycerski, obyczaj i Kościół”. I choć kasztelanka mocno nalegała, rycerz potraktował ją odmownie.

Rano odjechał. Bez śniadania, jak łatwo zgadnąć. Nie ujechał nawet mili, gdy spostrzegł przed sobą postać na zielonym koniu i w zielonej zbroi. Słowa nie były potrzebne. Gawain zaklął z cicha, zsiadł, uklęknął i pochylił szyję. Zielony Rycerz wznosił do ciosu miecz i ciał tak, że aż zaświzczało. Ale o dziwo – ostrze spadło na kark Gawaina nie przecinając nawet skóry! „Wstań, mężny i prawy Sir Gawainie – rzekł Zielony Rycerz – i dowiedz się, że w grze jest tu czarostwo. Moja żona pokochała cię, a żeby cię zdobyć, weszła w kon-szachty z Morgan Le Fay, resztę, w tym i moją przemianę w Zielonego Rycerza, sprawiły jej perfidne czary. Gdybyś uległ niewieście, gdybyś pofolgował z nią sobie pod moim dachem, głowa twoja spadłaby pod mój miecz, a i ja też już bym nie żył. Ale ty honoru, jak widzę, lekce sobie nie ważysz! I dobrze to, bo ninie zły czar jest zdjęty!”

Obaj, Gawain i odczarowany Zielony Rycerz, udali się do Caerleonu, by Arturowi i Rycerzom Okrągłego Stołu opowiedzieć ową niewiarygodną historię.

Finis. No, zanim finis, jeszcze kilka uwag. Źródło opowieści szukać należy w „Mabinogionie”, w Pierwszej Gałęzi, noszącej tytuł „Pwyll władca Dyfed”. Pwyll, który wymienił się postaciami z władcą podziemi Arawnem, honorowo wstrzymuje się od spółkowania z żoną Arawna i zyskuje dzięki temu jego przyjaźń. Istnieje też identyczna z „Zielonym Rycerzem” walijska bajka, w której to sam król Artur wyzwany jest do wzajemnego ucinania głów przez groźnego olbrzyma, a stawką jest królowa Gwenhwyfar. Irlandczycy znają zaś jedną z legend o Cuchulainnie, w której bohater Ulsteru staje do identycznego pojedynku z czarownikiem Cu Roi. Cu Roi (w postaci odrażającego wielkoluda) wyzywa wszystkich wojów Ulsteru identycznie jak Zielony Rycerz. Choć znajduje się kilku takich, którzy ucinają mu głowę, do rewanżu naza-jutrz, gdy trzeba własną położyć na pieńku, nie odważa się stanąć nikt. Poza Cuchulainnem. Cu Roi uderza jednak „nie przecinając skóry”, po czym ogłasza Cuchulainna wojownikiem nie znającym trwogi, najmężniejszym z mężnych pośród wojów całej Irlandii.

Od następnego numeru rozpoczynamy druk kolejnego fragmentu leksykonu Andrzeja Sapkowskiego. Tym razem będzie to *bestiarium fantasy* „Stwory światła, mroku, półmroku i ciemności”. (Red.)

DODZWONIĆ SIĘ DO SIERRA LEONE

NOWE ŚREDNIOWIECZE

Demografia to jedyna chyba dziedzina nauki, która podaje ścisłe informacje na temat przyszłości. Na mniej więcej sześćdziesiąt lat mamy wgląd w sytuację ludnościową i możemy określić, ile w danym roku będzie żyć mężczyzn, kobiet i dzieci.

Jeżeli, rzecz jasna, nie nastąpi jakaś katastrofa, która zniweczy wszystkie plany „myszy i ludzi”. Wojna nuklearna, na przykład, niszczy wszystkich równo, wojna zaś konwencjonalna (to trochę dziwne słowo w tym kontekście – wyprucie flaków bagnetem okazuje się aktem konwencjonalnym) preferuje młodych i zdrowych mężczyzn, pozostawiając na wykresie zwanym drzewkiem demograficznym szczyrbę, która przez dziesięciolecia przesuwana się ku szczytowi owego drzewka, a właściwie choinki. Zaraza wybierze najmniej odpornych, nie zwracając uwagi na zewnętrzne cechy fizyczne. I tak dalej.

Wiemy już, że Polska, podobnie jak inne kraje europejskie, będzie miała coraz więcej ludzi starszych. W roku 2030, podaje Główny Urząd Statystyczny, co czwarty Polak będzie emerytem. *Jeżeli nie będzie gwałtownych wstrząsów, wypłaty emerytur nie powinny być zagrożone* – mówi Marek Styczeń z Instytutu Socjologii UW. Było „Sto lat samotności”, nas czeka „Trzydzieści lat ostrożności”, żeby się nie wstrząsnęło.

Starzenie się społeczeństwa spowoduje wiele różnych skutków. Czy dizajnerzy nie powinni już myśleć o produktach dla starców? W socjalizmie produkowano coś, co było skrzyżowaniem kiepskiego motocykla z wózkiem inwalidzkim, może to jest idea przyszłości?

A w polityce coraz bardziej będzie się liczyć Partia Emerytów i Rencistów. Wiadomo, że starcy, zwłaszcza bezpotomni (a od tego problem się zaczął), niechętni są inwestycjom długofalowym. W pewnej czeskiej powieści występował emeryt, który chciał otrzymać zasiłek pogrzebowy przed śmiercią, żeby coś z tego mieć. Starzec może być słabowity, ale jego kartka wyborcza ma taką samą moc jak głos młodego osiłka czy żadnego awansu japiszona. Czy nie będzie tendencji, żeby ukrócić władzę gerontokracji, czy seniorzy nie zjedzą demokracji? A może, skoro społeczeństwa bardziej od polskiego postępowe akceptują likwidację dzieci pchających się na świat, to wkrótce przyzwolą na likwidację starców, uparczywie odmawiających odejścia z tego świata? Byłby to logiczny następny krok. W książeczce Ewy Kołodziejkiej i Anny Sikorzyńskiej „Tests in English – Testy do matury” (Wyd. piąte, WSiP 1997) zamieszczony jest temat dla uczniów: „Wszyscy ludzie

po siedemdziesiątce powinni podlegać eutanazji. Discuss”. Ciekawe, do czego dojdziemy w tej dyskusji i czy ludzi po siedemdziesiątce pyta się, co zrobić z maturzystami. Na razie w gronie osób starszych dyskutuje się, czy reforma zdrowia, której towarzyszy podniesienie cen leków i utrudnienie dostępu do lekarza, jest czy nie jest formą eutanazji.

Po opublikowaniu faktu, że Polska wkroczyła w strefę przewagi śmierci nad urodzinami, przez jakieś trzy dni prasa interesowała się kwestią przyszłości, żeby zaraz znów wrócić do problemu dnia wczorajszego. Ciekawe, że we wszystkich rozważaniach, jakie czytałem na tematy demograficzne, nie tylko żurnaliści, ale i przedstawiciele nauk, którzy powinni wiedzieć lepiej, traktowali Polskę jak jakieś izolowane akwarium. Przecież jednocześnie propaguje się z aprobatą władz „społeczeństwo otwarte”, a wokół zwo-

ces ten jest w coraz mniejszym stopniu kontrolowany.

Powstał intratny, choć nielegalny zawód przemytnika ludzi. Czytamy z oburzeniem, w jak nieludzkich warunkach transportowano niewolników do Ameryki pod pokładem statków. Dziś ludzie, przewożeni pod podłogą ciężarówki, mają podróż nie bardziej komfortową, tyle że muszą za nią słono płacić. Jednym z przykładów takiej trasy, taką dziurą w europejskim płocie, są dwie enklawy hiszpańskie na wybrzeżu Maroka, Ceuta i Melilla. Odkąd Hiszpania weszła do Unii Europejskiej, stały się one celem pielgrzymek z głębi Afryki. Wyobraźmy sobie grupę mieszkańców na przykład Nigru, którzy decydują się na taką wyprawę. Muszą albo dostać się na statek, płynący wzdłuż wybrzeża, albo wędrować rozklekotanymi autobusami i ciężarówkami przez terytorium kilku krajów z różnymi językami i walutami. Po drodze czyhają na nich bandyci, policjanci i urzędnicy. Potem trzeba pokonać Saharę, potem Maroko (Marokańczycy patrzą na wędrowców przez palce; nie uznają obecności Hiszpanów i cieszą się z ich kłopotów). A potem już tylko trzeba się przedostać przez dwie linie płotów kolczastych, między którymi jeżdżą patrole, i już się jest w Europie. Pod parasolem liberalnego prawodawstwa. Policjant hiszpański, spytany, dlaczego wszystkie procedury trwają tak długo, odpowiedział pytaniem: *Czy próbował pan kiedyś dodzwonić się do policji w Sierra Leone?*

Jakiś procent tych, którzy wyruszają w drogę, dociera na miejsce. Wyprawa działa jak sito, dochodzą najsilniejsi, najzdrowsi, najsprytniejsi. Oni zapracowali na prawo zostania Europejczykami. Oblicza się, że w ciągu następnych dziesięciu lat do Europy przybędzie ponad dwadzieścia milionów takich przybyszów. Dzisiaj to nie wielcy wodzowie i królowie, ale oni, bezimienni biedacy, zmieniają oblicze świata. Toż to „Odyseja” i „Iliada” w jednym. A o czym piszą nasze gazety? Czym zajmuje się współczesna literatura? O czym kręci się filmy? Wstyd powiedzieć. Największe wydarzenie współczesności pozostaje poza polem widzenia przeciętnego mieszkańca naszej cywilizacji, przesłonięte wynikami meczów sportowych i skandalami z życia gwiazd.

Ale czy inaczej było w czasach upadku Imperium Rzymskiego? Wandalowie i Hunowie nie mieli literatury (choć nie przesadzajmy z tym ich barbarzyństwem i dzikością – ojciec ostatniego cesarza Rzymu Romulusa był sekretarzem niejakiego Attyli – Huna), a Rzymianie grali w totolotka. Różnica jest dziś taka, że szlak wędrowki z głębi Afryki do upragnionej Europy jest jednocześnie pełną tęsknych i rozpaczliwych nawoływań infostradą, bo co któryś z wędrowców wyposażony jest w telefon komórkowy lub korzysta z budek telefonicznych i porozumiewa się raz ze swoimi współplemieńcami, głodującymi w budzie na przedmieściu afrykańskiego miasta, a raz ze szczęśliwcami, którzy już są parobkami w baraku gdzieś w Hiszpanii czy Francji.

Lech Jęczyk



lenników hasła „Polska dla Polaków” panuje atmosfera jednoznacznego moralnego potępienia. W ciągu zaledwie dziesięciu lat tej otwartości dorobiliśmy się tłumy rumuno-cygańskich żebraków, pracujących wietnamskich handlarzy i niemałej liczby trzymających się dyskretnie w cieniu zamożnych Chińczyków. W tajemniczy sposób pojawiła się mniejszość niemiecka (bo przecież migracja odbywała się w kierunku z Polski do Niemiec), co krok spotykamy zatrudnionych przy mało prestiżowych pracach Ukraińców i Białorusinów. Czy są bardziej pracowici, czy zgarniamy najpracowitszą śmietankę? To prawda, że część tych przybyszów wraca do swoich krajów (zwiększając liczbę Wietnamczyków rozumiejących polski), ale będzie ich tu coraz więcej, żyjemy bowiem w czasach wielkiej wędrowki ludów i jej kierunek jest oczywisty: to zemsta za czasy białego kolonializmu. Dziś to ludy kolorowe kolonizują Amerykę Północną i Europę, i pro-

ZRÓB SAM COŚ DLA SIEBIE

E-MAILEM Z DOLINY KRZEMOWEJ

Stworzenie własnej firmy uchodzi za ukoronowanie kariery w Dolinie Krzemowej. Najskuteczniejszy przepis na pieczeń nadziewaną milionami to kolejno: dyplom inżynierski szanowanej uczelni, staż w dużej korporacji dający praktyczne doświadczenie, szkoła biznesu dla zdobycia MBA (*Master of Business Accounting*) i własna firma, w której to wszystko można wreszcie wymienić na konkrety. Wtedy przechodzi się na emeryturę w wieku lat 35 (lub 40 w wypadku bardziej opieszalych). Z tej najprostszej ścieżki z powodzeniem korzystają Amerykanie; cudzoziemcy mają opóźniony start, ale też im się udaje, bo często idą na skróty.

Na początek trzeba złożyć miesięczne wypowiedzenie w kadrach swojej obecnej instytucji. Po godzinie wkracza na scenę przedstawicielka human resources. „Czy masz jakieś problemy z pracą? Jeśli coś jest nie tak – naprawimy, pomożemy”.

„Ależ nie, zamierzam po prostu stanąć na własnych nogach”.

„Chcesz odejść – twoja wola, podpisz tylko papiery, że nie będziesz z nami rywalizować ani podkraść technologii, i jesteś za drzwiami”.

To zbyt ostre ostrzeżenie, bo i tak wszyscy w chwili zatrudnienia musieli składać oświadczenie o zachowaniu tajemnicy służbowej. Jest w nim też klauzula o zakazie późniejszej współpracy z konkurencją.

Po latach wirowania w korporacyjnym młynie dziwnie być na swoim. Co prawda, zawsze dopuszcza się zmianę pracy. Gdy dzwonią headhunterzy, a czasami dzwonią codziennie, nie odkłada się słuchawki. Dobrze mieć rozeznanie na wszelki wypadek. Ale porzucenia posady nie traktuje się poważnie, chyba że człowiekowi przyjdzie do głowy POMYSŁ.

Więc ludzie z pomysłami, ale bez lokalu, zbierają się ze swoimi laptopami w „Café Verona”, kawiarni w Palo Alto. Słyszeli już, jak zakłada się *start-up*. Na początek trzeba zdobyć pieniądze. To powinno być łatwe. W Internecie cyrkulował od lat do znudzenia cytowany pastisz algorytmu na zabicie fortuny w Dolinie Krzemowej:

1. Przyjedź do Doliny; wybierz jakieś drzewo.

2. Jeśli nim mocno potrząsniesz, spadnie z niego inwestor.

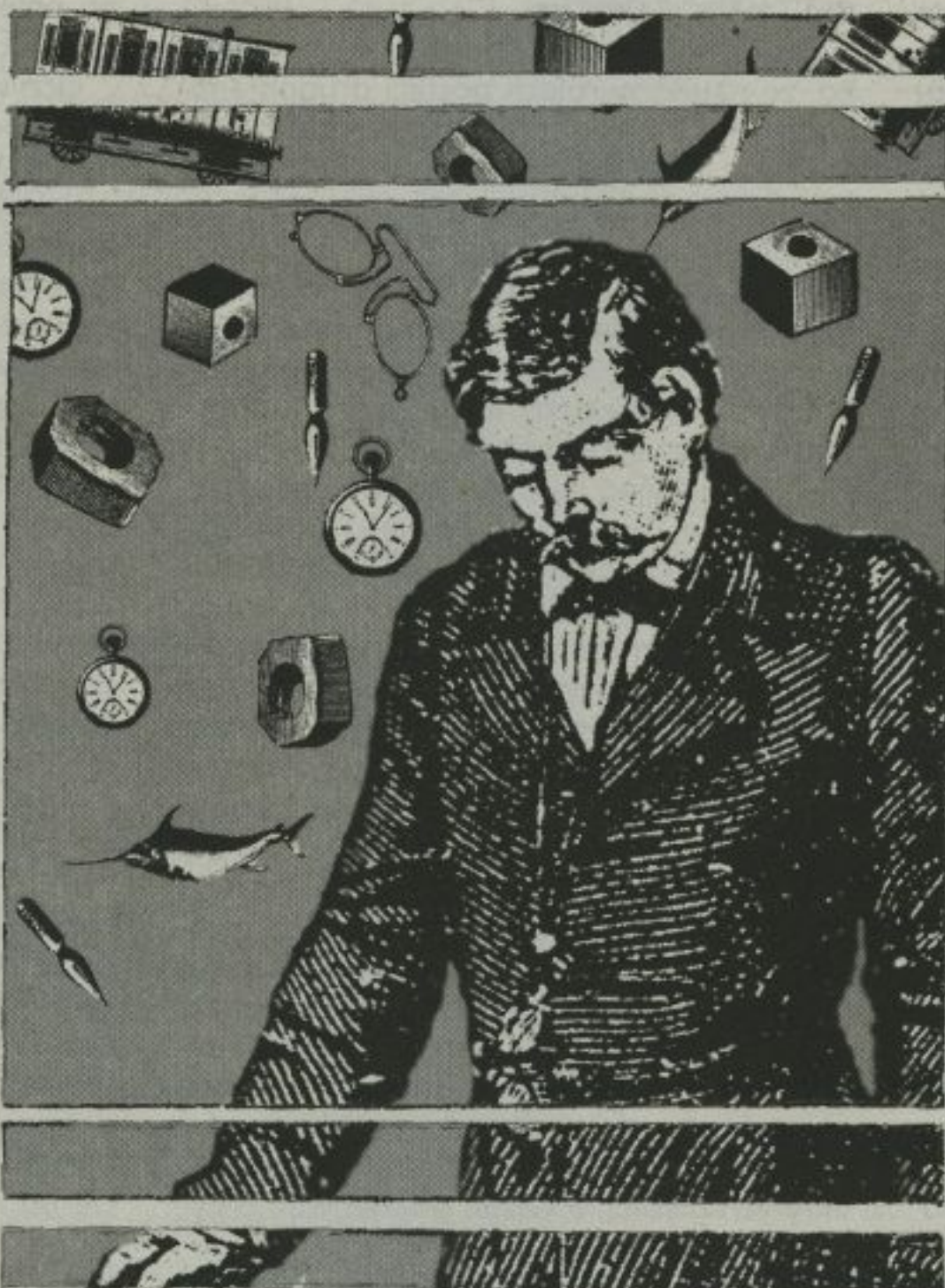
3. Zanim dojdzie do siebie, podrzuć mu parę hasel: *Internet. Grafika. Bankowość i handel elektroniczny. Sieci komputerowe.*

4. Inwestor wręczy ci parę milionów dolarów.

5. Po półtora roku wejdiesz ze swoją firmą na giełdę.

6. Sprzedaj własne udziały w firmie. Powtórz algorytm od kroku numer 1.

To nie może być aż tak proste. Trzeba zasięgnąć opinii specjalistów. Ja, na przykład, zwróciłem się o poradę do mieszkającego o dwa domy ode mnie Daniela z firmy inwestorskiej na Sand Hill Road. Ci inwestorzy od *venture capital* nie siedzą z założonymi rękami czekając na klientów. Biegają po Dolinie, organizują seminaria na temat nowych technologii, patrolują bary wsłuchując się w inżynierskie dyskusje. Czasem je przerywają z błyskiem w oczach. „Toż to rewelacja, macie rynkowy przebój. Ile pieniędzy trzeba, żeby go rozkręcić? Pięć, dziesięć milionów?” W 1997 roku za-inwestowali w ten sposób 11 miliardów do-



larów, równowartość budżetu niewielkiego państwa.

Bankowcy *venture capital* nie pożyczają pieniędzy na procent, tylko w zamian za udziały w finansowanych przedsięwzięciach. Założyciele i pierwsi pracownicy przedsiębiorstwa mają możliwość kupować akcje za, powiedzmy, 10 centów (pakiety opcji prezesa i sekretarki, oczywiście, różnią się o parę rzędów wielkości, ale w sprzyjających układach może i ona dołączyć do klubu przyszłych milionerów). *Venture capital* dostaje akcje już za dolara i też nie narzeka. *Venture* znaczy *ryzyko, los szczęścia*, blisko do *adventure* (przygoda).

Daniel chyba tylko czyhał na taką okazję. Ilekroć podczas weekendu widział mnie na

patio, pojawiał się natychmiast z dwoma puszkami piwa. „Cześć, co słychać? Uporałeś się z zeszlými liściami? Kiedy będziesz malować garaż?” Czwarte pytanie było nie mniej standardowe: „Dopracowaliście się już sensownego modelu biznesowego na wyeksploatowanie Internetu?”

Zbywałem go ogólnikami. Teraz jednak mam konkret: chcę założyć firmę, dobrałem wstępnie zespół i potrzebuję kapitału. „Wspaniale. Mogę to pilotować bez opłat – dasz mi procent, jeśli się powiedzie. Tylko, błagam, trzymaj się przy mnie do końca. Trzeba rozpocząć od solidnego biznesplanu. Nie zawracaj sobie głowy detalami, ja wszystko załatwię”.

Od poniedziałku zespół spotyka się w jego biurze. Daniel robi wykłady z cyklu „Zakładanie własnego biznesu – wstęp dla przygłupów”. Są cztery kryteria, które *start-up* musi spełniać, żeby mu się powiodło. „Pierwsze: solidny pomysł i rozsądny harmonogram jego realizacji – to macie.

Drugie: najlepszy, w pełni zaangażowany zespół ludzi – siedzicie właśnie przede mną. Trzecie: finansowanie – z tym dam sobie radę sam. Czwarte: odpowiednia infrastruktura, czyli tanie miejsce do pracy i konieczny sprzęt – tu coś wymyślimy”.

Wygląda na to, że podstawowe kryteria są spełnione. Teraz Daniel przechodzi do szczegółowych zaleceń:

„Zacznijcie od określenia potrzeb rynkowych. Sprawdźcie, czy te potrzeby zaspokoili wasz produkt, a jeśli tak, to dlaczego klienci go kupią.

Rozpoznajcie konkurencję. Jeżeli nie istnieje, będziecie musieli – przy pomocy swojej innowacyjnej technologii – wykreować nowy rynek. Co oznacza ryzyko do kwadratu. Gdy konkurencja już istnieje, określcie: wielkość rynku (powyżej miliarda dolarów?), jego stopę wzrostu (więcej niż 30% rocznie?) oraz przewidywaną marżę (czy przekracza 50%?). Jedynie »tak, tak, tak« w odpowiedzi na te trzy pytania uprawnia was do traktowania przyszłego interesu poważnie.

Musicie przyjrzeć się swojej koncepcji jeszcze raz i zastanowić się, czy na pewno zdołacie zaspokoić oczekiwania potencjalnych odbiorców; na trzeźwo ocenić, jaka jest wasza przewaga nad konkurencją.

Nie stawajcie do wyścigu na kulawym koniu! Jeżeli wasz produkt nie trafi w rzeczywiste potrzeby klientów, porzućcie go, nawet jeśli jest rezultatem waszej pracy doktorskiej. I pamiętajcie, że musicie być dostatecznie elastyczni, aby zrewidować swoją strategię, kiedy sytuacja się zmieni.

Skoro jednak uznaliście, że dacie sobie radę, to nie oglądajcie się za siebie. Macie szansę wygrać, więc skoncentrujcie wszystkie dostępne siły i środki, żeby tego dokonać. Parafrazując prezydenta J. F. Kennedy'ego: »Nie pytaj, co twój kraj może zrobić dla ciebie. Zrób coś dla siebie sam«”.

Marek Holyński

ARKA OTCETENA

PIĄTE PIWO

Który to mógł być konwent w Staszowie? Czy pierwszy, kiedy w autobusie, którym nas dowieziono, brodziło się po kolana w butelkach, zaś wysiadając (był to autobus kursowy) posłyszałem uwagę: „Patrzcie, jak bezpieka się bawi”? Czy ten, kiedy trzeciego dnia ledwo stoimy na nogach (precz, bezlitosna fotografii!), zaś z przepelnionych koszy w tle wysypują się – co za traf – znowu butelki? Moja pamięć zachowała w każdym razie taki epizod: po nocnych rozmowach, gdy wszelki alkohol już przepadł w gardzielach dyskutantów, znalazłem się sam w pustym korytarzu. Nasłuchiwałem, czy nie posłyszę jakichś oznak życia – lecz nie, konwent udał się na spoczynek, a ja za Chiny nie mogłem sobie przypomnieć, gdzie zostałem zakwaterowany. I gdy frasowałem się nad zagadnieniem noclegu, otworzyły się jakieś drzwi i wychynął z nich Stefan Otceten. Samotny spacerowicz wzbudził jego zainteresowanie; od słowa do słowa zaproponował mi własny pokój. Ktoś nie dojechał, było wolne łóżko, więc z niejaką ulgą skorzystałem z propozycji.

Zbudził mnie ciężar niemiłosiernie gniotący mi pierś. Rozwarłem powieki, co wymagało takiego wysiłku, jakbym przetaczał kamienie młyńskie: siedział na mnie okrakiem przemily mój gospodarz, czyniąc mi gorzkie wyrzuty z powodu czasu, jaki poświęcam na przychodzenie do siebie. Dla podkreślenia wagi swych słów wywijał litrową na oko butelką, w której przelewał się bezbarwny płyn. Sądząc, że to antidotum na kaca, pokrzepiłem się tęgim lykiem, w następstwie czego odebrało mi dech. Otceten spojrzał z zainteresowaniem: „Spirytus 96-procentowy” – objaśnił lapidarnie, po czym sam zażył specyfiku. W ten oto sposób zaprzyjaźniliśmy się, gdyż nie wypadało rezygnować z towarzystwa tak serdecznego człowieka.

Ów specyfik Otceten produkował własnym sumptem (były to czasy prohibicji), nadto zaś praktykował inne hobby: fantastykę, o której potrafił rozprawiać ciekawie i długo. Lech Jęczmyk nazwał go z tego powodu krytykiem oralnym, jako że Stefan niczego naonczas nie publikował. Sądziłem, że to tylko kwestia czasu – i w momencie, kiedy przyszedł czas Otcetena, kiedy powinien stać się jednym z opiniotwórczych ludzi w środowisku, jakoś tak pod koniec lat osiemdziesiątych Stefan Otceten zaginął. Nikt nie wie, co się z nim stało. Śledztwo nie przyniosło żadnego wyjaśnienia. Był człowiek, i to sporych gabarytów – nie ma człowieka. Nie odnalazł się do tej pory.

Zostały po nim zdjęcia i wpisy w kronice klubowej Wojtka Sedeńki, kilka szkiców (coś jednak pisał) oraz słusznych rozmiarów powieść „Przechowalnia”. Czytelnik, który do niej zajrzy, natychmiast dozna szoku, tyle tu znajomych nazwisk. Bo też Otceten uczynił załogą swej podróżującej poprzez kosmos Arki w kształcie walca – bohaterów wyjętych z innych powieści SF. Samo rozpoznanie, którzy są którzy, już może służyć niezłej

zabawie; rozeznałem się mniej więcej w polowie. Jest więc Rudolf Sikorski z „Żuka w mrowisku” Strugackich, Leon Cartwright z „Blade Runnera” Dicka, Robert Childan, pan Tagomi i Hawtorne Abendsen z „Człowieka z Wysokiego Zamku” Dicka, jest agent Staniewski z „Sennych zwycięzców”, Roy Complain z „Non stopu” Aldissa i Guy Montag z „471° Fahrenheita”. Mało tego, bohaterowie ci z grubsza wykonują te same zadania, zawody bądź funkcje co w macierzystych powieściach. Sikorski odpowiada za bezpieczeństwo, Abendsen jest pisarzem, zmuszonym do milczenia z powodu wyprodukowania opowiadania o nieortodoksyjnej wersji historii, Montag to szef grup awaryjno-remontowych (u Bradbury’ego strażak), Vergil van Troff to fizyk znany z „Cylindra van Troffa” Zajdla itp.

Zapobiegliwość Otcetena idzie tak daleko, że nawet w rolach postaci drugoplanowych znaleźli się prominentni bohaterowie literaccy. Glen Runcinter z „Ubika” jest tu astronomem, Joe Chip z tegoż „Ubika” występuje w roli telepaty, Elliot Grosvenor z „Misji międzyplanetarnej” tu i tam jest neksjalistą (to taka specjalizacja interdyscyplinarna, dziś byśmy powiedzieli – podejście holistyczne). Niekiedy autor ma ochotę porzucić dosłowną solenność i zdobywa się na żart, obsadzając na przykład Kilgore’a Trouta (szalony autor SF z powieści Vonneguta) w roli kierownika Działu Humanistyki czy Ijona Tichego (Lem) w roli radcy. Salvor Hardin, burmistrz, to chyba nazwisko z „Fundacji” Asimova, podobnie jak Hari Seldon, który wszystko namotał. Ted Benteley, szef chemików, to postać ze „Słonecznej loterii” Dicka, a Gulliver Foyle, realizator wideo, wzięty został chyba z powieści „Gwiazdy – moje przeznaczenie” Bestera. Reese Verrick to znowu człowiek ze „Słonecznej loterii”, Leonid Gorbowski to ktoś od Strugackich, a Jason din Alt, ekolog, został zmobilizowany z „Planety śmierci” Harry’ego Harrisona. (Wszystkie te postaci identyfikuję, ufając zawodowej pamięci, gdyż zwały książek blokują mi dostęp do tytułów ukrytych głębiej, a wszak pisanie winno być pracą umysłową, nie fizyczną).

I tak to leci cały czas; mniemam prostoliniennie, że mając w „Przechowalni” około setki bohaterów (cała załoga Arki liczy jakieś 40 tysięcy) Otceten nie pozwolił sobie na jeden przypadek fikcji. Ustalenie zatem, kto jest kim, może być dla czytelnika zajmujące, jeśli dysponuje się elementarnym czytaniem w gatunku. Z drugiej strony jest to miara owego czytania; u 98 procent test ten da wynik negatywny. Zarazem dobór owych nazwisk świadczy o preferencjach literackich autora; zechcą państwo łaskawie zauważyć, że brak tu całkowicie bohaterów fantasy. Niby wiadomo, że kosmos to nie jest dla nich środowisko, ale taki Conan w rakiecie, obsadzony w roli atlety w cyrku albo niedźwiedzia z kółkiem w nosie, specjalnie by w tej scenerii nie raził.

Ale po cóż, ach po cóż ta Arka tak gna? Skąd i dokąd tę Arkę jej silnik tak pcha?

Przez kosmos, przez kosmos, przez kosmos na wprost. Przez próżnię, przez pola, przez łąkę, przez most? Ano, tego do samego końca nie wiadomo i ja też teraz tego nie zdradzę, bo powieść ukaże się na jesieni nakładem wydawnictwa Solaris i wobec tego nie należy czytelnikom psuć przyjemności. Zdradzić mogę tyle, że w 1467 roku podróży na statku narasta kryzys dwojakiego rodzaju: ideologiczny (pryncypia, w które każą załodze wierzyć, nie wytrzymują naporu logiki) oraz aprowizacyjny – po tylu latach podróży nastąpiło wyjałowienie upraw, co może spowodować głód i rozruchy. Jedni więc udają się po radę do Zapisów Pradków, drudzy studiują Pisma Objawione, licząc że Pan Kosmosu dostarczy im jakichś wskazówek, trzeci zasię nigdzie nie idą (co najwyżej po rozum do głowy), tylko kombinują, czy dogmat o jedynostworzeniu Arki nie jest przypadkiem fałszywy. No i oczywiście wyjdzie na jaw, że Arka jest dziełem innych rąk, wyprawionym w drogę z pewnego powodu i w pewnym konkretnym celu. Lecz jaki to cel i powód – ani mru-mru.

Oczywiście, cała sytuacja na statku mocno jest umowna, nie chce mi się wierzyć, żeby naukowcy dysponujący aparaturą nie wykryli wokół gwiazd, w pobliżu których przelatują, żadnych planet. Że jest to możliwe przy zastosowaniu nawet współczesnej niskorozdzielczej aparatury, udowodniły ostatnie lata – tyle że Otceten pod koniec dekady lat osiemdziesiątych nie mógł o tym wiedzieć. I jakże to jest, że Arka może tylko podążać przed siebie ze stałym, jak rozumiem, przyspieszeniem, które daje grawitację wzdłuż długiej osi walca, ale nie może modyfikować kierunku podróży? Nie chce mi się liczyć, lecz coś mi się widzi, że po tylu latach podróży ze stałym przyspieszeniem rzędu 1 g musiałyby dawno wystąpić efekty relatywistyczne, które Otceten całkowicie lekceważy. Ano, jego powieść, jego brocha; żałuję, że nie można już z nim o tym pogadać.

Lecz lubię taką myśl, że nigdzie w ziemi nie leży biały szkielet Otcetena obgryziony przez mrówki ani też gdzieś w zakolu rzeki opłukany z mięsa przez wodę, tylko że Otceten w ramach swych skłonności do żartowania z całego świata wywinał numer swego życia. Oto postanowił porzucić dotychczasowe egzystowanie i zacząć całkowicie od nowa, incognito, odcinając się radykalnie od swej dotychczasowej przeszłości. Uczynił to tak skutecznie, że ni bit informacji o jego nowym wcieleniu nie dotarł do nas, którzyśmy go kiedyś znali. Co mam na potwierdzenie? Ano nic. Intuicja nigdy nie była moją mocną stroną. Wojtek Sedeńko, do którego „Przechowalnia” przyszła pocztą, nie przypomina sobie nadawcy. Maszynopis liczący jakieś 350 stron jest opisany do druku i odbity na ksero. Skądś wydawało mi się, że miała to firmować Alfa, lecz Marek Nowowiejski indagowany w tej sprawie kategorycznie zaprzeczył. Jest więc i w „Przechowalni”, i w całym zniknięciu Otcetena jakaś tajemnica, której być może już nigdy nie rozwiążemy, a może rozwiązanie, gdy je poznamy, wyda nam się najtrywialniejsze na świecie.

Marek Oramus

Stefan Otceten: *Przechowalnia*. Maszynopis.

Gdzie się podziela literatura science fiction? Ta spod znaku nauki, futurologii, kosmosu, pierwszego kontaktu, podróży w czasie? Pisana przez Asimova, Bradbury'ego, Clarke'a, Lema i Strugackich? Nikt tego nie wie. Znikła, skolapsowała. Jeszcze dziesięć lat temu taka SF była bardzo poszukiwana przez czytelników, teraz kosmology wymieniono na miotły, lasery na magię, skafandry próżniowe na zaklęte zbroje. I jak tu nie wierzyć w nadejście Nowego Średniowiecza.

Fantastyka spod znaku SF niby nadal zajmuje połowę wydawanych książek z fantastyki w Polsce, w omawianym poniżej miesiącu nawet dominowała, nie zmienia to jednak faktu, że nowy czytelnik

SAMO FICTION

NA KSIĘGARSKIM RYNKU

powoli, ale systematycznie traci chęć czytania twardej SF. Powie ktoś, że ludzie przestali się interesować nauką, że ludzkość w ogóle odwraca się od kosmosu i jego badań. To nie tak, nigdy jeszcze w dziejach postęp naukowy nie był równie gwałtowny, zwłaszcza w takich dziedzinach jak informatyka czy medycyna, ze szczególnym uwzględnieniem genetyki. Ale coraz więcej ludzi przestaje kontrolować kierunek, w którym nauka podąża. Kolejne odkrycia, nawet epokowe, szybko są spychane w mediach przez inne wydarzenia. Nowinki techniczne tak już spowszedniały, że zwykły obywatel istnienie wehikułu czasu przyjmuje równie obojętnie, jak wiadomość o nowym modelu mercedesa.

Do pisania SF trzeba wiedzy, do jej odbioru również. A w dzisiejszych czasach w książkach szuka się raczej nie intelektualnej rozrywki, ale samej rozrywki, samego fiction. Stąd, nawet jeśli weźmiesz do ręki książkę sygnowaną znakiem SF, to najczęściej jest to powieść o VR, światach wygenerowanych przez komputery, gdzie dominuje i tak sztafaż rodem z fantasy. Bo fantasy jest na topie. A nasi wydawcy, jakby na złość czytelnikom, w marcu zaserwowali głównie fantastykę naukową.

Najwięcej książek wydał Amber, który najwyraźniej złapał wiatr w żagle. Były to wyłącznie książki spod znaku SF: „Klucz spoza czasu” Andre Norton zakończył tetralogię Ross Murdock, „Planeta śmierci 2” Harry'ego Harrisona kontynuowała przygody din Alta, „Zwycięstwo na Centerpoint” Rogera MacBride'a Allena zakończyło Trylogię Koreliańską w serii „Gwiezdnych wojen”, „Królestwo bogów” Roberta Sheckleya to samodzielna powieść, łącząca wątki SF z fantasy, a „Przez morze słońc” Gregory'ego Benforda to drugi tom Centrum Galaktyki, cyklu opowiadającego o konflikcie Ziemi z cywilizacją maszyn. To jedyna książka z tu wymienionych, odpowiadająca dawnemu charakterowi i stylowi SF.

Zysk i S-ka zaprezentował cztery książki, z tego trzy w głównonurtowej serii Kameleon. Były to: opasła (ponad 1300 stron) powieść Stephena Kinga „Bastion”, antologia opowiadań grozy H. P. Lovecrafta „W górach szaleństwa” i nominowana do World Fantasy Award powieść Rachel Pollack „Matka chrzestna noc”. Ofertę uzupełnia powieść SF brytyjskiego autora Paula J. McAuleya „Cztery miliardy gwiazd”.

Również cztery książki przedstawił Prószyński i S-ka. „Dziecięcy ogród” Geoffa Rymana to dawno oczekiwana u nas książka jednego z prekursorów cyberpunku, „Miasto złudzeń” Ursuli K. Le Guin to wznowienie powieści z cyklu Hain, „Głosy w jasności” Seana McMullena to pierwszy tom nowego cyklu pod nazwą Wielkoziemie, a „Zadomowienie” Orsona Scotta Carda traktuje o nawiedzonym domu.

Rebis wydał tylko jedną powieść, za to tak lubianą przez amatorów fantasy: Terry'ego Goodkinda „Dusza ognia”, piąty tom Miecza Prawdy. Ciekawą ofertę, złożoną z dwóch tytułów, przedstawił MAG. Była to powieść Waltera Iona Williamsa „Stacja Aniołów” (powieść o pierwszym kontakcie!) i wznowienie pierwszego tomu cyklu fantasy Feliksa W. Kresa „Północna granica”.

Wojtek Sedeńko

„NOWA FANTASTYKA” W PRENUMERACIE 30% TANIEJ

Proponujemy PÓŁROCZNĄ oraz ROCZNĄ prenumeratę naszych czasopism.

- Prenumeratę można zamówić od dowolnie wybranego miesiąca na okres 6 lub 12 miesięcy.
- Osoby zamawiające po kilka egzemplarzy pisma na ten sam adres otrzymują dodatkową bonifikatę (szczegóły w tabeli poniżej).
- Prenumeratę należy opłacić z wyprzedzeniem co najmniej 6-tygodniowym (np. prenumeratę zaczynającą się od numeru sierpniowego należy opłacić do 15 czerwca): w banku lub na pocztę, korzystając z kuponu zamieszczonego obok; kartą płatniczą (Visa, MasterCard itp., podając informacje o karcie telefonicznie, faksem lub przez Internet).
- Koszty manipulacyjne związane z dokonaniem wpłaty w banku lub na pocztę ponosi zamawiający.
- Koszty wysyłki czasopism na terenie kraju ponosi wydawca.

OPLATY ZA PRENUMERATĘ KRAJOWĄ

Liczba zamawianych egzemplarzy każdego numeru	Cena 1 egz. w prenumeracie (zł)	Oплата półroczna (zł)	Oплата roczna (zł)
Nowa Fantastyka (cena 1 egz. w kiosku 5,50 zł)			
Kuchnia + Lubie gotować (cena w kiosku 4,60 zł + 1,80 zł = 6,40 zł)			
Ładny Dom (cena 1 egz. w kiosku 4,90 zł)			
Ogrody, ogródkki, zieleńce (cena 1 egz. w kiosku 6,90 zł)			
1	3,90	23,40	46,80
2	3,70	44,40	88,80
ponad 2	3,60		
Cztery Kąty (cena 1 egz. w kiosku 3,90 zł)			
Dziecko (cena 1 egz. w kiosku 3,90 zł)			
Kuchnia (cena 1 egz. w kiosku 4,60 zł)			
Kwietnik (cena 1 egz. w kiosku 3,30 zł)			
Motomagazyn (cena 1 egz. w kiosku 3,90 zł)			
1	2,90	17,40	34,80
2	2,60	31,20	62,40
ponad 2	2,40		
Poradnik Domowy (cena 1 egz. w kiosku 2,50 zł)			
1	2,20	13,20	26,40
2	2,00	24,00	48,00
ponad 2	1,80		
Świat Nauki (cena 1 egz. w kiosku 7,90 zł)			
1	5,50	33,00	66,00
2	5,00	60,00	120,00
ponad 2	4,50		
Wiedza i Życie (cena 1 egz. w kiosku 4,40 zł)			
1	3,30	19,80	39,60
2	3,10	37,20	74,40
ponad 2	2,90		

Oferta ważna do 30 czerwca 2000 r.

Pytania dotyczące prenumeraty krajowej lub zagranicznej oraz reklamacje prosimy kierować:

- listownie pod adresem
Dział Prenumeraty Prószyński i S-ka
skr. poczt. 21, 02-600 Warszawa 13
- telefonicznie (w godz. 8.00-18.00)
0-800 220 700 (połączenie bezpłatne)
- faksem z dopiskiem „prenumerata”
(0-22) 849 73 17
- pocztą elektroniczną
prenumerata@proszynski.com.pl

Uprzejmie informujemy, że dokonując wpłaty, wyrażacie Państwo zgodę na umieszczenie swoich danych w bazie danych prenumeraty służącej do obsługi prenumeraty oraz do celów marketingowych grupy firm Prószyński i S-ka. Jednocześnie macie Państwo prawo wglądu do swoich danych i ich poprawiania.

Oplata zł	12 m-cy	6 m-cy	Od m-ca	Liczba egz. każdego numeru	Tytuł	Nowa Fantastyka	NF 05	Razem
	6 m-cy							

Oplata zł	12 m-cy	6 m-cy	Od m-ca	Liczba egz. każdego numeru	Tytuł	Nowa Fantastyka	NF 05	Razem
	6 m-cy							

Oplata zł	12 m-cy	6 m-cy	Od m-ca	Liczba egz. każdego numeru	Tytuł	Nowa Fantastyka	NF 05	Razem
	6 m-cy							

Oplata zł	12 m-cy	6 m-cy	Od m-ca	Liczba egz. każdego numeru	Tytuł	Nowa Fantastyka	NF 05	Razem
	6 m-cy							

ZAPRENUMERUJ „NOWĄ FANTASTYKĘ” – NIE PRZEGAPISZ ŻADNEGO NUMERU

Potwierdzenie dla poczty

zł _____

słownie _____

WPLACAJĄCY

imię _____

nazwisko _____

numer _____

klienta _____

ulica, nr domu, nr mieszkania _____

kod pocztowy _____

miejscowość _____

telefon _____

na rachunek

Prószyński i S-ka SA
02-651 Warszawa, ul. Garazowa 7
PBK SA XIII O/W-wa
11101053-15600-2720-6-67

Datownik _____

podpis przyjmującego _____

zł _____

podano opłatę _____

Potwierdzenie dla banku

zł _____

słownie _____

WPLACAJĄCY

imię _____

nazwisko _____

numer _____

klienta _____

ulica, nr domu, nr mieszkania _____

kod pocztowy _____

miejscowość _____

telefon _____

na rachunek

Prószyński i S-ka SA
02-651 Warszawa, ul. Garazowa 7
PBK SA XIII O/W-wa
11101053-15600-2720-6-67

Datownik _____

podpis przyjmującego _____

zł _____

podano opłatę _____

Potwierdzenie dla właściciela rachunku

zł _____

słownie _____

WPLACAJĄCY

imię _____

nazwisko _____

numer _____

klienta _____

ulica, nr domu, nr mieszkania _____

kod pocztowy _____

miejscowość _____

telefon _____

na rachunek

Prószyński i S-ka SA
02-651 Warszawa, ul. Garazowa 7
PBK SA XIII O/W-wa
11101053-15600-2720-6-67

Datownik _____

podpis przyjmującego _____

zł _____

podano opłatę _____

Potwierdzenie dla wpłacającego

zł _____

słownie _____

WPLACAJĄCY

imię _____

nazwisko _____

numer _____

klienta _____

ulica, nr domu, nr mieszkania _____

kod pocztowy _____

miejscowość _____

telefon _____

na rachunek

Prószyński i S-ka SA
02-651 Warszawa, ul. Garazowa 7
PBK SA XIII O/W-wa
11101053-15600-2720-6-67

Datownik _____

podpis przyjmującego _____

zł _____

podano opłatę _____

LISTA BESTSELLERÓW • MARZEC 2000

Kiepski był to miesiąc dla fantastyki, ukazało się niewiele książek. Może polscy wydawcy przymierzają się do realizacji mojej szalonej idei, by nie drukować nic? Może się rynek opamięta? Ale jest gorsza wersja: że niczego nie zauważy.

Agencja Promocji Książki „Solaris”, Olsztyn

1. Raymond E. Feist: *Książę kupców* (Zysk)
2. *To, co najlepsze w SF*, t. 2 (Zysk)
3. *W hołdzie królowi* (Zysk)
4. Michael Crichton: *Linia czasu* (Amber)
5. Jack L. Chalker: *Zemsta Tańczących Bogów* (Zysk)

Księgarnia „Pod Arkadami”, Myślenice, Piotra Skargi 1

1. Terry Pratchett: *Trzy wiedźmy* (Prószyński)
2. Jack L. Chalker: *Zemsta Tańczących Bogów* (Zysk)
3. Michael Bishop: *Nie masz wroga prócz czasu* (Zysk)
4. R. A. Salvatore: *Miecz rodu Bedwyrów* (Zysk)
5. Joan D. Vinge: *Deszcz snów* (Prószyński)

Księgarnia „Oramus”, Warszawa, Młynarska 9

1. A. E. van Vogt: *Wojna z rullami* (Amber)
2. R. A. Salvatore: *Nowy dom* (ISA)
3. Harry Harrison: *Planeta śmierci 1* (Amber)
4. Michael A. Stackpole: *Ja, Jedi* (Amber)
5. Raymond E. Feist: *Książę kupców* (Zysk)

EMPIK Megastore, Wrocław, Rynek 50

1. Edmund Wnuk-Lipiński: *Apostezjon* (SuperNOWA)
2. H. P. Lovecraft: *W górach szaleństwa* (Zysk)
3. R. A. Salvatore: *Nowy dom* (ISA)
4. Anthony Burgess: *Mechaniczna pomarańcza* (Etiuda)
5. Orson Scott Card: *Zadomowienie* (Prószyński)

Księgarnia „Saska”, Warszawa, Brazylijska 9

1. R. A. Salvatore: *Nowy dom* (ISA)
2. R. A. Salvatore: *Wygnanie* (ISA)
3. R. A. Salvatore: *Ojczyzna* (ISA)
4. Michael A. Stackpole: *Ja, Jedi* (Amber)
5. Raymond E. Feist: *Książę kupców* (Zysk)

to Wy

NOWE OBLCZE PISMA

ŁOWCĄ

WYOBRAŹNI

NIEREGULARNIK DLA ISTOT

Z TALENTEM, NATCHNIENIEM..

ORYGINALNIE O FANTASTYCE!

Pytaj: w salonach **EMPIK**,
kioskach **KOLPORTER S.A.**

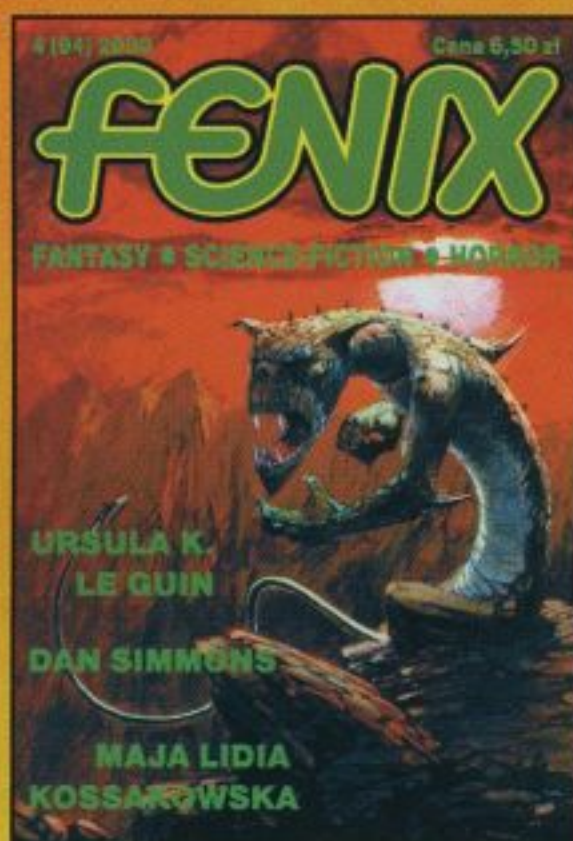
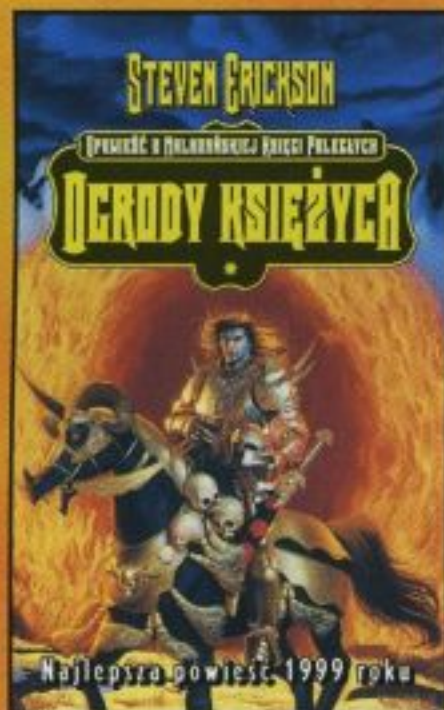
szczegóły: www.lowcawyobrazni.prv.pl



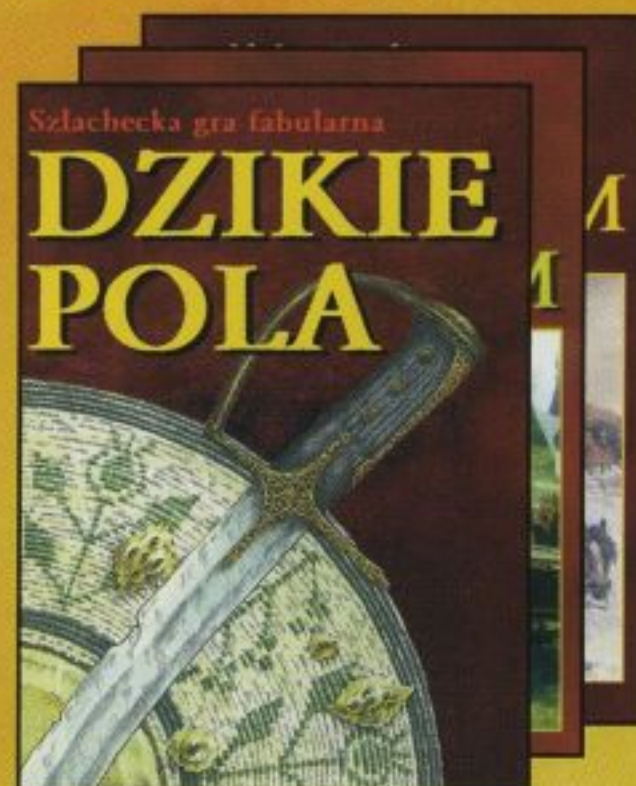
Czy
J.R.R. TOLKIEN
znał
wszystkie fakty
kiedy pisał
Trylogię?

NIE CZYTAJ ZWYKŁYCH PIŚM - CZYTAJ PIŚMA MAGICZNE

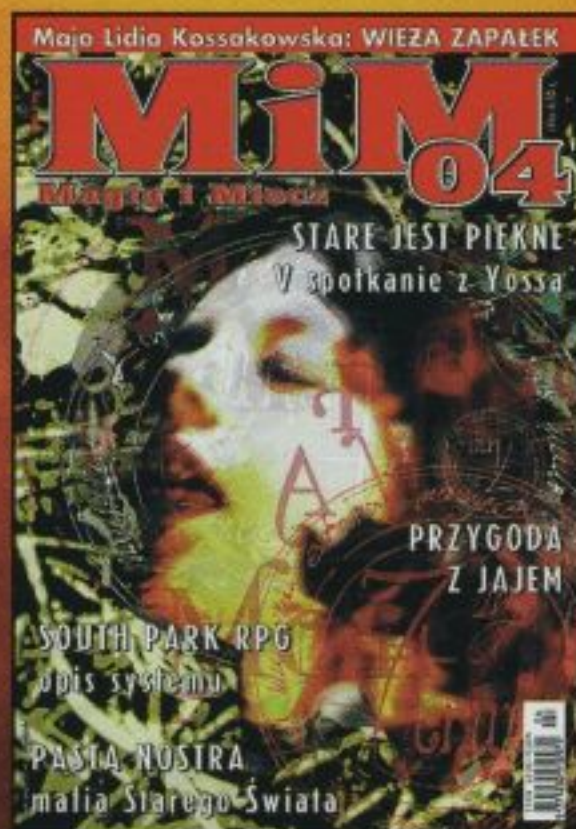
Najnowsza powieść fantasy przebijająca
swym rozmachem dotychczasowe
dokonywania N. Jordana i T. Goodkinda



Prawdziwie polska sarmacka gra fabularna
* Dzikie Pola (podręcznik podstawowy)
* W stepie szerokim (rozszerzenie systemu)
* Ogniem i mieczem (rozszerzenie systemu)



Klasyka światowej fantazy
polecana przez Andrzeja Sapkowskiego



RPG heroic fantasy w najlepszym stylu,
z nowoczesną mechaniką gry

- * Earthdown (podręcznik podstawowy systemu)
- * Mgły zdrady (scenariusz przygody)
- * Księga wiedzy (rozszerzenie systemu)
- * Barsawia (opis krainy)
- * Mieszkańcy Barsawii I i II (rozszerzenie systemu)
- * Ścieżki adeptów (rozszerzenie systemu)

FENIX – TO NAJLEPSZE OPOWIADANIA, NAJLEPSI AUTORZY, INFORMACJE SF
Z KRAJU I ZE ŚWIATA. U NAS ZNAJDZIESZ URSULĘ K. LE GUIN, PATRICIĘ A. MCKILLIP,
DANA SIMMONSA, WILIAMA GIBSONA, BRUCE'A STERLINGA I WIELU INNYCH.

MAGIA I MIECZ – TO NAJSTARSZE I NAJLEPSZE PIŚMO O RPG I OGÓLNIIE POJĘTEJ
FANTASTYCE, W KTÓRYM ZNALEŹĆ MOŻNA PRZYGODY, PORADY DLA MISTRZÓW
GRY ORAZ GRACZY, RECENZJE, WIEŚCI ZE ŚWIATA, OPOWIADANIA.

Potwierdzenie dla banku
zł **88,00**
słownie
osiemdziesiąt osiem 0/100 zł
wpłacający.....
Jan Kowalski
ul. Kubusia Pieczarka 3 m 8
00-959 Szczepieszyń
Imię, nazwisko, dokładny adres wraz z kodem pocztowym
na rachunek:
MAG
00-675 Warszawa, Pl. Konstytucji 5/10
BŚK O/Warszawa, filia Belwederska
10501054-501484430
stempel
pobrano opłatę
.....
podpis przyjmującego
zł

PRODUKTY NASZEGO WYDAWNICTWA MOŻNA ZAMAWIAĆ POCZTĄ ZAZNACZAJĄC NA ODWRODIE KUPONU RODZAJ I ILOŚĆ.
Do zamówienia należy doliczyć koszt przesyłki w wysokości 5 zł.
Bliższe informacje można uzyskać w siedzibie Wydawnictwa ul. Cypryjska 54, 02-761 Warszawa tel.
(0-22) 642 45 45 oraz na naszej stronie internetowej <http://www.mag.com.pl>

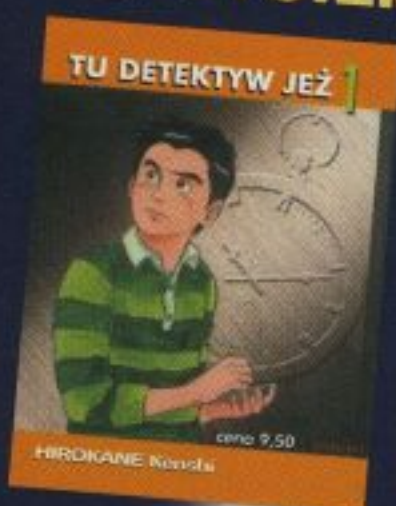
LOCKE SUPERCZŁOWIEK TOM 3 „POGROM CYBERÓW”

和猫 WANEKO

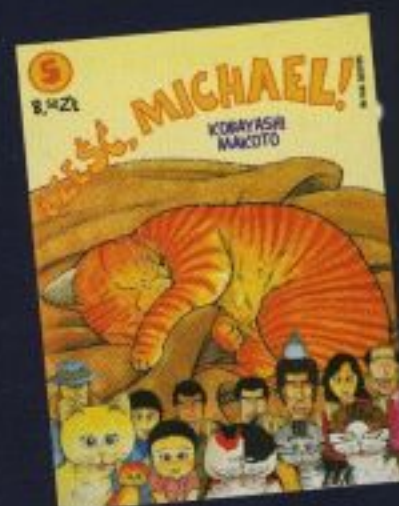
STWORZYĆ COŚ, TO MAŁO!
TRZEBA JESZCZE POTEM
WZIAĆ ZA TO ODPOWIEDZIALNOŚĆ.



NIE KAŻDA
ZAGADKA
DOTYCZY
ŚMIERCI.
WIĘKSZOŚĆ
MA ZWIĄZEK
Z... ŻYCIEM!



WIĘKSZOŚĆ
KOTÓW, TO
PO PROSTU
KOTY! ALE...
TRAFIAJĄ
SIĘ WŚRÓD
NICH TAKŻE
KOCILLE!



KOMIKSY WANEKO są dostępne w kioskach RUCH-u, Jard-pressu, Inmedio,
EMPIK-ach, księgarniach Matras, Domach Książki i innych punktach. Listę znajdziecie
na stronie internetowej www.yo.rim.or.jp/~waneko/.

UWAGA: TERAZ PRZYJMUJEMY ZAMÓWIENIA BEZPOŚREDNIO NA STRONIE!

KLIKASZ – ZAMAWIASZ – DOSTAJESZ PACZKĘ!

POZA TYM OCZYWIŚCIE DZWOŃCIE, FAKSUJCIE, e-maile ŚLIJCIE!

tel./fax: 0 22 628 31 22, e-mail: waneko@yo.rim.or.jp